ARTUR ŚLIWIŃSKI

POWSTANIE LISTOPADOWE

WYDANIE SZÓSTE

PRZEJRZANE I POPRAWIONE

Z 16 PORTRETAMI

1 9 3 0
WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

Drukarnia
Zakładów
Wydawniczych
M. Arct S. A.
W Warszawie.

WSTĘP

Po wywiezieniu cesarza Francuzów, Napoleona, na wyspę Elbę, monarchowie europejscy odetchnęli swobodniej i na nowy ład postanowili urządzić Europę. Kiedy ten mocarz, którego miecz przez kilkanaście lat zwisał groźnie nad wszystkiemi tronami, został nareszcie ubezwładniony, wrogowie jego, to jest monarchowie i przedstawiciele główniejszych państw europejskich, zjechali się w Wiedniu, by, według własnej woli, stanowić o losach świata.

Ta wielka rada mocarstw, znana w historji pod nazwą kongresu wiedeńskiego, miała zadecydować i o przyszłości naszego narodu. Car rosyjski, Aleksander I, nosił się z myślą odbudowania pod swem władztwem państwa polskiego, a ponieważ jego wojska zajmowały niemal wszystkie ziemie dawnej Rzeczypospolitej, projekt ten był pozornie łatwy do urzeczywistnienia. Stało się inaczej. Przeciwko zamiarowi władcy rosyjskiego gwałtownie protestowali przedstawiciele Austrji, Francji i Anglji. Obawiali się oni wzrostu potęgi rosyjskiej, a nie zdając sobie sprawy, że wskrzeszona Polska, bez względu na zwierzchnictwo Aleksandra, nie pozwoli potędze tej wzrastać, czynili wszystko, aby Polakom odebrać nawet pozory samodzielności.

Ale za plecami Aleksandra stał jego doradca, książę Adam Czartoryski, i ze swej strony nie szczędził starań, aby natchnąć cesarza szlachetną ambicją i nie dopuścić, by ten odstąpił od powziętego planu. Podczas obrad doszło do starć ostrych. Sprawa polska do tego stopnia roznamiętniła obradujących, iż groźba nowych wojen zaczęła przyświecać kongresowi. Jednakże nieustanne pogłoski o wylądowaniu Napoleona uśmierzająco działały na wzburzone umysły. Wszyscy czuli, że miecz tego wojownika, znowu wydobyty z pochwy, jednem cięciem może przekreślić traktaty i nową budowlę Europy zmieść z widowni świata, jak domek, wzniesiony z kart. Na myśl o Napoleonie zimny strach zazierał w oczy członkom kongresu i skłaniał ich do szybkiej a zgodnej decyzji. Jakoż z pośpiechem kończono obrady i raz jeszcze dzielono się Polską.

Wielkie Księstwo Warszawskie, utworzone w r. 1807 przez Napoleona, podarte zostało na strzępy i rozdzielone pomiędzy Prusy, Austrję i Rosję.

Prusy otrzymały Wielkie Księstwo Poznańskie, Austrji przyznano Królestwo Galicji i Lodomerji, a Rosji, która pozostała przy nabytkach z poprzednich rozbiorów Polski, dostał się jeszcze szmat ziemi, nazwany Królestwem Polskiem, a liczący podówczas 3.200.000 mieszkańców.

Jedynie z Krakowa wraz z niewielkim okręgiem ziemi uczyniono niepodległą rzeczpospolitą, ale i tę niepodległość skrępowano opieką Rosji, Austrji i Prus.

W ten sposób Polska znowu doświadczyła na sobie przemocy, a patrjoci, marzący o przywróceniu ojczyźnie niezależności, raz jeszcze ponieśli klęskę. Ale usiłowania, podjęte przez legjony, nie zginęły marnie. Bo aczkolwiek na kongresie wiedeńskim nie wskrzeszono Polski, nie odważono się przecież na brutalne podeptanie wszystkich praw narodu. Kongres obiecywał Polakom we wszystkich trzech dzielnicach

odrębną organizację polityczną, a car Aleksander zastrzegł sobie prawo powiększenia terytorjum Królestwa Polskiego ziemiami, wcześniej do Rosji przyłączonemi.

Cesarz austrjacki i król pruski również nie szczędzili obietnic. I nic dziwnego. Chciano spokoju, a nie zapomniano jeszcze o bohaterskich czynach Polaków na polach bitew i dobrze pamiętano ów zapał, z jakim młodzież polska zaciągała się pod sztandary Napoleona, w nadziei, iż pod sztandarami temi wywalczy niepodległość. Liczono się z możliwym wybuchem patrjotyzmu i rozpaczy, a że pożądano spokoju, więc obietnicami starano się złagodzić nową zbrodnię, która raz jeszcze rozdrabniała naród i zmuszała go do życia pod trzema rządami.

Dalsza przyszłość Polski zależała teraz od umiejętności rozszerzania praw pozostawionych, od mnożenia wszystkiego, co stanowi własną siłę, tę jedyną gwarancję, na której zawsze śmiało można polegać.

Od czasów kongresu wiedeńskiego, t. j. od roku 1815, los narodu zawisł przedewszystkiem od przyszłości zaboru rosyjskiego, Rosja bowiem zagarnęła największą część dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Aleksander wyraźnie obiecywał rozszerzyć terytorjum nowoutworzonego Królestwa, a społeczeństwo polskie rozumiało tę obietnicę, jako zapowiedź przyłączenia do Królestwa krajów, które niedawno jeszcze należały do Polski, a które podczas rozbiorów weszły w skład państwa rosyjskiego.

W ten sposób przed oczyma narodu rozbłysła nadzieja lepszej i jaśniejszej przyszłości.

Królestwo Polskie, połączone z Litwą i Rusią, stać się mogło gwarancją powetowania krzywd doznanych, pozwalało się bowiem spodziewać, że Polska, wymazana z mapy Europy, wzmoże się niebawem na siłach i o losie swoim sama decydować będzie.

Wszystko, coby kazało się wyrzec tej nadziei, musiało odtąd wzniecać niezadowolenie i coraz głębszy wywoływać niepokój, a wraz z niepokojem i dalsze następstwa.

Ostatniem z tych następstw było powstanie, znane w historji pod nazwą p o w s t a n i a l i s t o p a d o w e g o.

I.

KRÓLESTWO KONGRESOWE

Piękny kraj polski ze swą urodzajną ziemią, ze wspaniałą Wisłą, niosącą bystre wody do Bałtyku, z lasami i puszczami, o których tyle pięknych napisano pieśni, słynął niegdyś dostatkami i bogactwem. Krainą, płynącą miodem i mlekiem, nazywano Polskę. Nie zrujnowały tej pięknej krainy ani napady hord dzikich, ani liczne wojny, prowadzone z sąsiadami, ani coraz większy zbytek, wkradający się do siedzib magnatów i zbogaconej szlachty. Polska, jak wydawać się mogło, posiadała zasoby niewyczerpane.

Ale odkąd rządy ościenne wzięły w swe ręce kierownictwo wewnętrznemi sprawami państwa, kraj cały zaczął się chylić do upadku.

Później nastąpiły rozbiory i na ziemi polskiej rozsiadły się obce siły i piły jej soki, i korzystały z jej bogactw. Polska stała się domem zajezdnym, w którym kolejno gospodarowali sąsiedzi. Utworzenie Wielkiego Księstwa Warszawskiego powstrzymało na chwilę tę gospodarkę, ale kraj inne ponosił ciężary. Przez ziemie polskie przeciągnęły burze napoleońskie, przewaliły się krocie tysięcy żołnierzy, a nowa gospodarka, przystosowana do potrzeb wielkich wojen, i nieustanne przemarsze wojsk ostatecznie kraj wyniszczyły.

Nieuprawne pola stały odłogiem, na miejscu wielu siół i wsi dymiły się zgliszcza, a ludność, niepewna jutra, nękana nędzą i głodem, nie posiadała dość siły, aby się dźwignąć i nowe rozpocząć życie...

Zabrakło Napoleona, którego imię miało moc magiczną budzenia nadziei, a wraz z nadzieją wskrzeszania sił. Wprawdzie cesarz Francuzów porzucił swe więzienie na wyspie Elbie, wylądował we Francji, zuchwałym pochodem na Paryż odzyskał państwo — i zdumionej Europie ukazał znowu krwawą żagiew wojny, ale klęska pod Waterloo rozstrzygnęła wszystko na rzecz nowego porządku.

Opadły resztki dymów bojowych i świat zapadał w martwą odrętwiałość. Żołnierz polski, powróciwszy do kraju, ujrzał wkoło siebie zgliszcza i ruiny. Jak sen, minęły piękne marzenia o odbudowaniu wolnej ojczyzny: pod znakiem obcej woli rozpoczynał naród nową erę życia.

Na wieść o wynikach kongresu wiedeńskiego smutek owionął serca, przygnębienie ogarnęło obywateli, zdających sobie sprawę, do czego zmeirza nowy podział kraju i co warte są czcze obietnice. Ale znaleźli się ludzie, przekonani głęboko, że car Aleksander istotnie wskrzesi Polskę i nowoutworzone Królestwo połączy z Litwą, a, kto wie, może nawet z Rusią. Przekonania te były bezpodstawne. Jaskrawo przeczyła im historja, świadcząca, że Rosja od wieków dąży do rozszerzania swych granic kosztem sąsiadów. Ale serca pragnęły pokrzepienia i uderzały żywiej na myśl o dobrodziejstwach, które miały spłynąć z wysokości tronu rosyjskiego.

Car Aleksander skutkiem swego postępowania w Wiedniu zyskał ogromną popularność i, gdy w listopadzie 1815 r. zawitał do Warszawy, stara stolica Polski przyjęła go uroczyście. Podczas pobytu Aleksandra w Warszawie wzmocniły się rozbudzone nadzieje. Sympatyczne wrażenie, jakie nowy władca osobiście wywierał, uprzejmość i doprowadzona do wiel-

kiego kunsztu umiejętność podobania się ludziom, wreszcie obietnice, których podówczas nie szczędził, zjednały mu serca obywateli.

Konstytucja, którą, jako król polski, ogłosił Aleksander, zapowiadała zgóry, że Królestwo Polskie na wieki zostaje połączone z Cesarstwem, ale obok tego gwarantowała Polakom ustrój odrębny i całkowitą samodzielność wewnętrzną. Obywatele Królestwa mieli zapewnioną wolność osobistą, wolność prasy, wychowanie publiczne narodowe i bezpłatne, samorząd miast. Sądy miały być niepodległe, wspólne i jednakowe dla wszystkich, bez różnicy stanu i religji. Jedynie do sądzenia wyższych urzędników lub przestępstw politycznych powołany był Sąd Sejmowy, składający się z członków izby senatorskiej. Nikt nie mógł być aresztowany bez wskazania powodu, nikt karany — bez wyroku sądowego. Urzędy publiczne mogły być sprawowane tylko przez Polaków, a język polski miał panować niepodzielnie we wszystkich urzędach, zarówno sądowych, jak administracyjnych. Wojsku pozostawiono wszelkie oznaki, świadczące o jego odrębności narodowej, liczbę zaś wojska uzależniono od zasobów materjalnych kraju.

Władza prawodawcza oddana została Sejmowi, który miał być zwoływany co dwa lata na przeciąg dni trzydziestu, a składał się z króla i dwu izb: senatorskiej i poselskiej. Król miał prawo odroczyć zwołanie Sejmu, a w tem prawie krył się już zaród bezprawia. Była to brama, szeroko otwarta dla samowoli carskiej.

W izbie senatorskiej zasiadali dożywotnio mianowani przez króla członkowie, do izby poselskiej szlachta wybierała 77 posłów, a zgromadzenia gminne 51 deputowanych. Prawa obu izb były równe i tylko projekty przez obie izby przyjęte mogły być przedstawiane do sankcji królewskiej i dopiero po otrzymaniu tej sankcji stawały się prawem.

Dziedzicznym królem polskim, jak opiewała konstytucja, jest cesarz rosyjski. Koronuje się on na króla w Warszawie i składa przysięgę na konstytucję. W razie jego nieobecności, władza naczelna przechodzi na namiestnika, który zasiada w Radzie Stanu, złożonej z ministrów i wyższych dygnitarzy. Rada Stanu dzieli się na zgromadzenie ogólne i Radę Administracyjną, do której należy władza wykonawcza.

Ogniwem, łączącem Radę Administracyjną z królem, jest minister sekretarz stanu, stale mieszkający przy cesarzu, a komunikujący mu wszelkie przedstawienia Rady i nawzajem uwiadamiający Radę o żądaniach cesarza.

Tak się przedstawiały prawa, które miały odtąd obowiązywać Królestwo.

Dodać jeszcze należy, że Aleksander i włościanom obiecywał „ojcowską troskliwość" i „gruntowny dobrobyt", ale była to tylko zapowiedź, która narazie nie obowiązywała do niczego. Tymczasem sprawa włościańska, jako sprawa najliczniejszej w kraju klasy mieszkańców, należała do spraw najważniejszych i od jej uregulowania wiele zależało w przyszłości. Wybitniejsi patrjoci polscy oddawna zajmowali się włościanami, dobrze rozumiejąc, że potęga kraju spoczywa w masach ludowych.

Kościuszko, Staszic, Kołłątaj, a więc ludzie, którzy głową i sercem znacznie przerastali swoje pokolenie, zdawali sobie sprawę, że losy kraju, złożone w ręce ludu, będą zabezpieczone; wiedzieli także, że, chcąc dzieła tego dokonać, trzeba ten lud podnieść moralnie i materjalnie, trzeba z włościanina uczynić obywatela, korzystającego z pełni praw swoich. To też już w r. 1814 Kościuszko domagał się od Aleksandra zniesienia niewoli włościan, utworzenia dla nich na koszt rządu szkół w całej Polsce i nadania im praw, pozwalających rozporządzać swem mieniem, jak zupełną własnością.

Zasady konstytucji nie sięgały tak daleko, ale mimo wad i ograniczeń, były, jak na owe czasy, liberalne i stać się mogły podwaliną, jeżeli nie szczęścia, to znośnego bytu nowoutworzonego Królestwa.

Po wyjeździe Aleksandra radość zapanowała w Warszawie. Jego obietnice przechodziły z ust do ust i długo rozbrzmiewały po całym kraju. Ci, co byli dopuszczeni do nowego władcy, wychwalali jego uprzejmość i dobroć, mówili dużo o jego najlepszych chęciach i zamiarach na przyszłość.

Poeci, niedawni chwalcy Napoleona, zaczęli wnet w pieśniach swoich rzucać gromy potępienia na upadłego imperatora i wielbić a sławić nowego apostoła wolności. Kajetan Koźmian, który w r. 1812 pisał, że sam Bóg nie mógłby dać Polakom więcej, niż Napoleon, kamienuje teraz swojego bohatera i w „Odzie na upadek dumnego" odmawia mu nazwy człowieka. Za pisarzami poszła opinja, powiewna, jak dym, a, jak wiatr, zmienna.

Ale krótko trwało to oszołomienie.

Już pierwsze nominacje nowego króla przyniosły rozczarowanie.

Na namiestnika Królestwa, a więc najwyższy w kraju urząd, opinja publiczna przeznaczała księcia Adama Czartoryskiego, a na czele wojsk chciała widzieć Kościuszkę. Tymczasem, ku powszechnemu zdumieniu, namiestnikiem mianowany został gen. Zajączek, a naczelnym dowódcą wojsk polskich — brat cesarski, wielki książę Konstanty.

Gen. Zajączek, niegdyś legjonista, później żołnierz napoleoński, oficer pełen zalet, odznaczał się dzielnością na polu bitwy, ale nie miał danych, aby sprawować władzę naczelną. Był to człek słabego charakteru, z duszą karjerowicza, o umyśle płytkim i ciasnym. Za lat młodych zagorzały rewolucjonista, potem wielbiciel Napoleona, w chwili swej nominacji był wielbicielem Aleksandra i wyznawcą przekonań konserwa-

tywnych. Niespodziewaną godność zawdzięczał głównie protekcji w. ks. Konstantego, a już to jedno czyniło go zależnym od swego protektora.

Tymczasem i w. ks. Konstanty nie budził w nikim zaufania.

Każdego, kto się do niego zbliżył, odstręczał już samą powierzchownością. Wysoki i barczysty, zbudowany krzepko, miał twarz, którą dość było ujrzeć raz jeden, aby zapamiętać na zawsze. Z pod wysokiego czoła, osłonięte jasną brwią szczeciniastą, patrzyły bladoniebieskie oczy, bystre i badawcze, podejrzliwe i niespokojne. Nos wklęsły z nozdrzami, wzniesionemi do góry, i wypukłe kości policzkowe nadawały głowie wyraz drapieżny. W ruchliwej twarzy było coś dziwacznie śmiesznego i okrutnego zarazem. Patrząc na tę twarz, każdy odczuwał, że w. książę łatwo zapala się gniewem i że gniew jego musi być straszny.

Największą namiętnością Konstantego było wojsko. Spędziwszy wiele lat w szeregach wojskowych, poznał dobrze służbę frontową i w szczegóły a drobnostki tej służby kładł całą swoją duszę. Kochał się w rewjach, musztrach, marszach, oddychał chętnie atmosferą koszar, lubował się widokiem wszelkiego rodzaju ćwiczeń i parad. Ale natura despotyczna nie pozwalała mu zamknąć się w obrębie spraw wojskowych. Nie znosząc obok siebie cudzej woli, chciał wiedzieć o wszystkiem i wszystkiem rządzić, a jako brat cesarski przyzwyczajony był do ślepej uległości otoczenia.

Pozbawiony charakteru Zajączek nie dawał rękojmi, że w razie potrzeby potrafi w. księciu przeciwstawić swą wolę, odrazu więc było widoczne, że naczelny wódz wojsk polskich stanie się władzą naczelną. W ten sposób cesarz Aleksander, dając Polakom konstytucję, jednocześnie obdarzył ich w. ks. Konstantym, który na konstytucję patrzył, jak wilk patrzy na owcę.

Obok w. ks. Konstantego wielką rolę odegrać miał niebawem Mikołaj Nowosilcow, tajny radca i senator rosyjski, przebywający w Warszawie w charakterze pełnomocnika cesarskiego. Nowosilcow miał zabawić w stolicy polskiej kilka miesięcy, a gdy ukształtują się stosunki w Królestwie, powrócić do Petersburga. Ale rozgościł się w Warszawie na dobre, założył własną kancelarję, zaczął się wszystkiem zajmować i badać wszystko, a wkrótce wszedł nawet do Rady Administracyjnej, jako stały jej członek.

Nowosilcow był to starzec pełen temperamentu, zaprawiony w ogniu matactw, intryg i spisków, uparty, namiętny i mściwy. Życie tego dygnitarza składało się niemal wyłącznie z czynów występnych i rozpustnych. Jako krętacz polityczny nie miał sobie równych. W swoim czasie brał żywy udział w knowaniach przeciw carowi Pawłowi, czas jakiś udawał wielkiego liberała i wolnomyśliciela, później zasłynął szeroko, jako zagorzały wróg wolności i reakcjonista. W karjerze swojej sprawował najróżnorodniejsze urzędy, zajmował się wszystkiemi aktualnemi sprawami, stale uganiając się za groszem, którego brak wiecznie odczuwał, a który zdobywał, nie przebierając w środkach. Kradzieże i przekupstwa były dla niego fraszką, gdy chodziło o zdobycie pieniędzy. Pan senator lubił pić i hulać, a dla dogodzenia swym namiętnościom nie gardził niczem. Wkradłszy się w łaski Aleksandra, lekceważył opinję i pozwalał sobie na wszelkiego rodzaju gorszące wybryki.

Ten namiętny starzec, obsypany orderami i godnościami, przyjechał do Warszawy, jako układny dworak, pełen najlepszych chęci i zamiarów. Upewniał Polaków o przyjaznem usposobieniu cesarza Aleksandra i wiele mówił o swojej własnej przychylności, ale już przy roztrząsaniu zasad konstytucji zdradził się, jako wróg Polski. Niebawem jaskrawo przejawił swoje wrogie względem całego społeczeństwa intencje

i przestał grać rolę dworaka. Nawet namiętności swoich nie uważał za stosowne ukrywać. Wkrótce też mieszkańcy Warszawy ujrzeli pana senatora, włóczącego się po ulicach w stanie wysoce nietrzeźwym. Nieraz nawet widziano go nad ranem, jak tarzał się po rynsztokach, w ubraniu zabłoconem i obdartem, z głową, udekorowaną doraźnemi śladami awanturek nocnych.

W. ks. Konstanty patrzał na to wszystko przez palce. Zasady konstytucyjne ciążyły mu, jak kajdany. Więc zaczął je rozluźniać i szarpać, a w tem dziele niszczenia konstytucji Nowosilcow okazał się najlepszym pomocnikiem.

Tak się przedstawiali dwaj ludzie, w których ręce cesarz Aleksander złożył władzę nad Królestwem Polskiem.

Sejm, który miał obradować co dwa lata, po raz pierwszy zwołany został w r. 1818. Na otwarcie Sejmu przyjechał Aleksander i uroczyście zagaił obrady. W mowie, wygłoszonej w języku francuskim, dźwięczała nuta wielkiej dla nowego Królestwa życzliwości.

— Spełniają się wasze nadzieje i moje życzenia — mówił do zebranych. — Podaliście mi sposobność okazania mojej ojczyźnie tego, co dla niej oddawna gotuję... Wznieście się do wysokości waszego zadania. Skutki prac waszych nauczą mnie, czy wierny swoim przedsięwzięciom będę mógł dalej r o z s z e r z a ć to, co już dla was uczyniłem.

Mowa tronowa głębokie na słuchaczach uczyniła wrażenie. Zrozumiano ją, jako zapowiedź przyłączenia do Królestwa Litwy — i nadzieja znowu jaśniejszym zapłonęła blaskiem. To też posłowie starali się nie stwarzać rządowi trudności. W myśl tego zatwierdzili wniesione przez rząd projekty, prócz proponowanej zmiany prawa cywilnego w sprawie małżeństw i rozwodów. Rząd chciał utrudnić rozwody, liberalni posłowie byli temu przeciwni i projekt rządowy odrzucili znaczną większością głosów. To pierwsze starcie pomiędzy

władzą najwyższą a Sejmem nie doprowadziło do poważniejszych następstw. Cesarz, zamykając obrady, oświadczył, że odrzucenie projektu przypisuje dobrej wierze posłów, nie zaś chęci walczenia z rządem — i wyjechał z Warszawy, pozornie zadowolony z obrad Sejmu i pełen najlepszych chęci.

Pobyt Aleksandra w Warszawie podtrzymał nadzieje, rozbudzone pierwszą jego bytnością. Ale nie trwało to długo.

Wyższe sfery rosyjskie krzywo patrzyły na to, co się dzieje w Polsce, i niedwuznacznie wyrażały swoje oburzenie z powodu zamiaru przyłączenia do Królestwa Litwy. Zadął silny wiatr reakcji. Głośny historyk rosyjski Karamzin złożył Aleksandrowi memorjał, w którym między innemi pisał:

„Zdobyliśmy Polskę mieczem; oto nasze prawo, któremu wszystkie państwa swój byt zawdzięczają, bo wszystkie są owocem zaborów... Dotąd naszem prawidłem państwowem było: ani piędzi ziemi, czy to wrogowi, czy przyjacielowi. Czy możesz nam, Najjaśniejszy Panie, odjąć własność Rosji?... Czy odbudowanie Polski zgadza się z dobrem państwa rosyjskiego, ze świętemi Twojemi obowiązkami?..."

Pod wpływem takich słów usposobienie Aleksandra, który był wielce wrażliwy na głosy opinji, szybko ulegało zmianie — i konstytucyjny król polski coraz niechętniej spoglądał na Królestwo i coraz wyraźniej przechylał się na stronę biorącej górę reakcji. Okazało się, że pod płaszczem życzliwości, którą Aleksander okazywał Polsce, mieści się dużo chytrości i obłudy. Król polski przemieniał się w moskiewskiego cara o drapieżnych instynktach despoty.

Taki stan rzeczy w Rosji rozwiązywał ręce w. ks. Konstantemu.

Zaczął on rządzić, jak pan samowładny i despotyzmem swoim wzbudzać ogólne szemranie, a później gniew, który do czasu miał wrzeć głucho w duszy obrażonego narodu.

Rozpoczęły się w Królestwie rządy samowoli.

Zajączek, nie chcąc się niczem narazić swemu protektorowi, komunikował mu wszelkie projekty administracyjne, radził się we wszystkich poważniejszych sprawach i zawsze stosował się do usłyszanych życzeń i wskazówek. A podejrzliwy i despotyczny Konstanty, nie ufając nikomu z Polaków, radził się ze swej strony Nowosilcowa i w gruncie rzeczy w jego ręce przeniósł władzę namiestniczą, sam zaś oddał się ulubionemu zajęciu, t. j. przeglądom i musztrowaniu wojska.

I teraz dopiero dał poznać swoją gwałtowną, tygrysią naturę.

Słynne przeglądy na placu Saskim stały się torturowaniem żołnierzy i oficerów. Najmniejsze uchybienie przepisom wojskowym wprawiało w. księcia w stan niesłychanego rozdrażnienia. Na widok źle przyszytego guzika lub jakiejkolwiek innej drobnostki wpadał we wściekłość. Delikwenta, na którego zwrócił swój straszny gniew, najczęściej uderzeniem pięści obalał na ziemię, a później tratował nogami bez miłosierdzia i upamiętania. Oficerów nieraz lżył przed frontem, znieważał nawet starszych a zasłużonych wojskowych. Takie postępowanie do żywego oburzało całe wojsko, gdyż w armji polskiej przechowywały się tradycje Napoleona i wysokie pojęcie honoru ożywiało szeregi. Starzy żołnierze z zaciśniętemi zębami znosili tyranję naczelnego wodza, a oficerowie, nie mogąc znieść wyrządzanych im obelg, podawali się do dymisji. Kilku szlachetnych młodzieńców, nie chcąc żyć po doznanych zniewagach, odebrało sobie życie. Ale ani samobójstwa, ani szemrania całego kraju nie miały wpływu na w. księcia. Nie zważając na nic, w dalszym ciągu znęcał się nad pozostawionem jego pieczy wojskiem, dręczył na musztrach bataljony, pułki, brygady, torturował całą armję, doprowadził ją rzeczywiście do ogromnej sprawności w ćwiczeniach, ale zarazem pozbawił ją najdzielniejszych elementów.

A za plecami w. księcia knował swe intrygi Nowosilcow i powoli, lecz systematycznie doprowadzał kraj do rozpaczy...

Intrygant ten poprzysiągł sobie zniszczyć odrębność Królestwa i połączyć je w jedną całość z Cesarstwem. Dla dopięcia tego celu pisał tajne raporty do Petersburga i w raportach owych żółcią a sadzami malował społeczeństwo polskie, wyzyskując najmniejszą drobnostkę, któraby mogła zmienić usposobienie Aleksandra. Swoją krecią robotę rozpoczął od zorganizowania policji tajnej i wprowadzenia do wszystkich sfer życia systemu szpiegowskiego. Kreatury Nowosilcowa należały do mętów społecznych. Byli to oszuści, złodzieje, wypuszczeni z więzienia, znikczemniali urzędnicy, pragnący się zbogacić, słowem, wyrzutki, wyprane z czci, wyzute z sumienia. Szpiegowie Nowosilcowa wkradali się różnemi sposobami do zaufania podejrzanych jednostek, wciskali się do domów prywatnych, podsłuchiwali w restauracjach, kawiarniach, na ulicach i o wszystkiem, co słyszeli, a co wydało im się podejrzanem, donosili natychmiast swojemu panu, który hojnie donosy te opłacał. Na czele owej bandy szpiegowskiej stanęli dymisjonowani oficerowie: Van-der-Noot i Kampen, a potem główną rolę odegrali w niej fryzjer Makrot i porucznik Szlej.

Otóż na zasadzie wiadomości, otrzymywanych od takich ludzi, Nowosilcow składał raporty w. księciu i posyłał swe relacje Aleksandrowi. Na słabym i chwiejnym Zajączku, wbrew wyraźnym zapowiedziom konstytucji, wymógł powołanie do życia komitetu cenzury. Na czoło tego komitetu wysunął Polaka Szaniawskiego, który niegdyś głosił teorje rewolucyjne, a później przedzierzgnął się w zapamiętałego wroga wolności i swobód. Wybór był doskonały. Szaniawski okazał się wytrawnym mordercą drukowanego słowa. Na prasę polską posypały się kary, pisma zaczęto zamykać, redaktorów — więzić.

I oto obywatele polscy przekonywali się codziennie, że

w kraju wolnym i konstytucyjnym nie tylko działać, ale nawet mówić szczerze nie wolno.

W takim stanie rzeczy zebrał się po raz drugi Sejm (r. 1820).

I tym razem przyjechał na otwarcie Sejmu cesarz Aleksander. Ale źle usposobiony przez Nowosilcowa przyjechał cierpki i gniewny. W mowie, zagajającej obrady, przestrzegał posłów przed złym duchem, co się nad Europą unosi, a zarazem dał do zrozumienia, że nadaną Królestwu konstytucję może odwołać.

Złowrogo zabrzmiały te słowa w uszach zgromadzonych, ale izba poselska nie myślała rezygnować z praw swoich.

Na posiedzeniu Sejmu rząd wniósł dwa projekty, z których jeden ograniczał jawność rozpraw sądowych, a drugi ograniczał prawo posłów do kontrolowania ministrów. Oba projekty wyraźnie zmierzały do utorowania dróg samowoli, oba niezgodne były z konstytucją. W obradach Sejmu na czoło opozycji wysunęli się posłowie kaliscy, Wincenty i Bonawentura Niemojowscy. Zwłaszcza Wincenty Niemojowski ostro krytykował rząd, a gdy projekty rządowe zostały odrzucone, posunął się jeszcze dalej i zażądał od izby poselskiej, aby zakwestjonowała prawność rozporządzeń, powołujących do życia komitet cenzury.

Wniosek ten nie został przyjęty, ale odrzucenie projektów rządowych i śmiałe mowy Niemojowskiego rozgniewały Aleksandra.

Gniew ten rozdmuchali pochlebcy — i w królu konstytucyjnym obudził się samowładca rosyjski. Zamykając obrady Sejmu, Aleksander wyraźnie dał poznać swoje usposobienie. W mowie jego zabrzmiała nuta groźby.

— Opóźniliście — oświadczył posłom — dzieło przywrócenia ojczyzny. Ta ciężka odpowiedzialność na was spadać będzie...

A nazajutrz, opuszczając Warszawę, powiedział w. ks. Konstantemu, że pozostawia mu zupełną swobodę działania, a konstytucję bierze na siebie. Niemojowskim, którzy opozycją zwrócili na siebie uwagę, zabronił cesarz przyjeżdżać do Warszawy.

I oto reakcja poczęła z każdym dniem wzrastać.

Nowosilcow, mając rozwiązane ręce, zapoczątkował prześladowania na wielką skalę. Doszło do tego, że trzeba było się pilnować nie tylko na ulicy, ale na zebraniach poufnych, a nawet we własnem mieszkaniu, bo nie można było wiedzieć, czy za drzwiami nie stoi szpieg i nie spisuje tego, co przyjaciel przyjacielowi w zaufaniu mówi. W. ks. Konstanty coraz częściej teroryzował już nie tylko wojskowych, ale każdego, kto choćby tylko wyglądem swoim nie budził w nim zaufania. Nawet na ulicy zaczepiał przechodniów i znęcał się nad nimi. A Szaniawski stał na straży cenzury, węszył wszędzie nieprawomyślność i w żelaznych kleszczach reakcji więził prasę polską.

Niepokój ogarnął kraj cały, życie stawało się duszne, ciężkie; nastrój pogodny, wywołany w początkach panowania Aleksandra, rozpływał się w mgłach przygnębienia i niepewności.

Tymczasem Nowosilcow czuwał i nowe niespodzianki szykował społeczeństwu. Nie poprzestając na prześladowaniu dorosłych, senator przeniósł swój wzrok na kształcącą się młodzież i niebawem wzniósł nad nią topór swojej nienawiści.

Rozpoczęła się nowa era prześladowań, uwieczniona w D z i a d a c h Mickiewicza.

Na czele ministerjum oświaty stał Stanisław Kostka Potocki, człowiek szczerze postępowy, o głowie otwartej i wybitnych zdolnościach. Dzięki jego energji, szkolnictwo w Królestwie Polskiem stanęło wkrótce na wysokim poziomie. Już w r. 1816 założono w Warszawie uniwersytet, w rok później

powstał instytut agronomiczny w Marymoncie, jednocześnie zaś powołano do życia kilka wyższych zakładów naukowych. Ilość szkół elementarnych wiejskich i miejskich tak szybko wzrastała, że w osiem lat po utworzeniu Królestwa doszła do pokaźnej, jak na owe czasy, cyfry 900. W ciągu dwóch lat liczba ogólna uczniów z 29.000 wzrosła do 36.000, co najlepiej świadczyło o żywotności narodu, o jego zdrowiu moralnem i sile. System wychowawczy, póki na czele oświaty stał Stanisław Potocki, polegał na rozwijaniu w młodzieży poczucia honoru i obowiązku. Pomiędzy uczącymi się a nauczającymi panowała harmonja, zaufanie wzajemne i przychylność.

Ale stan taki nie trwał długo.

Stanisław Potocki nie mógł się podobać w. księciu ani Nowosilcowowi. Więc musiał podać się do dymisji. Na jego miejsce powołano Stanisława Grabowskiego, należącego do tej samej kategorji ludzi, co słynny cenzor Szaniawski.

Nowosilcow wiedział, że Grabowski, we wszystkiem powolny, odpowie swemu zadaniu. I nie zawiódł się. Liczba uczniów szybko we wszystkich szkołach zaczęła się zmniejszać, w murach szkolnych niknęło zaufanie, rozpoczęły się natomiast szpiegowania, donosy, a wraz z niemi areszty i kary dyscyplinarne.

A były to czasy, kiedy młodzież w całej Europie przenikał prąd spiskowy. Mnożyły się tajne organizacje pod hasłem walki z despotyzmem, a reakcja, idąca zgóry, sprzyjała spiskowaniu. Kto czuł żywiej i goręcej, a do czyjego serca przemawiały hasła równości, wolności i braterstwa, ten zstępował w podziemia, sprzymierzał się z wyznawcami tych samych ideałów i ślubował życie swe tym ideałom poświęcić. Tak działo się na olbrzymiej przestrzeni Europy od gór Uralskich aż po wody Atlantyku, tak działo się i w Królestwie, w którem wobec jawnego gwałcenia swobód odruchy konspiracyjne były całkiem naturalne.

W r. 1819 powstała głośna później organizacja pod nazwą Wolnomularstwa Narodowego. Twórcą tej organizacji był major czwartego pułku linjowego, Walerjan Łukasiński, człowiek o duszy czystej i pięknej, obdarzony niezłomną wolą i hartem, a cały przeniknięty myślą o odbudowaniu ojczyzny. Wolnomularstwo Narodowe miało pozory legalności, ale dążyło do tego, aby cały naród ożywić jednym buntowniczym duchem i wrócić Polsce niepodległość. Organizacja ta została wkrótce zamknięta, lecz Łukasiński nie składał broni i, nie myśląc wyrzekać się konspiracji, utworzył w r. 1821 nowy spisek, ściślejszy i złożony z ludzi zaufania, a znany pod nazwą Towarzystwa Patrjotycznego.

Stowarzyszeni dzielili się na gminy, liczące od 4 — 10 osób, a połączone w okręgi, do których należało 3 — 9 gmin. Okręgi łączyły się w prowincje *), a naczelną władzą był Komitet Centralny, którym rządził Łukasiński.

Policja tajna często wpadała na tropy sprzysiężenia, ale dopiero zdrada jednego ze spiskowców, niejakiego Karskiego, naraziła Towarzystwo Patrjotyczne na prześladowania. W roku 1822 aresztowany został Łukasiński. Oskarżono go o zbrodnię stanu i wtrącono do lochu. Dwa lata nękano go i dręczono, a następnie, wbrew istniejącym prawom, oddano wraz z towarzyszami pod sąd wojenny, ślepo posłuszny w. księciu.

W czerwcu r. 1824 zapadł wyrok, skazujący Łukasińskiego na dziewięć lat ciężkiego więzienia, a dwóch jego towarzyszy, Ignacego Dobrogojskiego i Mikołaja Dobrzyckiego — na lat sześć.

A jakby niedość było tej okropnej kary, w. ks. Konstanty nakazał egzekucję publiczną.

W dzień egzekucji skazańców ubrano w mundury galo-

*) Prowincyj było siedem, a mianowicie: Królestwo Polskie, Litwa, Wołyń i Podole, Galicja, Kraków, W. Księstwo Poznańskie oraz armja polska.

we, udekorowano otrzymanemi poprzednio orderami, a potem wsadzono do furgonu wojskowego i pod eskortą żandarmerji odstawiono do obozu za rogatkami powązkowskiemi. Czekały tam z rozkazu w. księcia liczne oddziały wojsk polskich i rosyjskich. A dokoła stały tłumy ludu warszawskiego, stały w ponurem milczeniu, bezbronne, bezsilne, nieruchome, przygwożdżone do miejsca współczuciem dla skazańców i dławiącą gardła rozpaczą.

Zaturkotały koła furgonu — i oczy tłumów spoczęły na delikwentach. Na miejscu egzekucji więźniom rozkazano wysiąść. Wojska, sformowane w czworobok, sprezentowały broń, a skazańców otoczyli żandarmi z obnażonemi pałaszami i wprowadzili w środek czworoboku. Odczytano wyrok, poczem zaraz odezwały się bębny. Wówczas do skazanych zbliżył się człowiek olbrzymiego wzrostu, cały ubrany czarno. Był to kat. Przystąpił najpierw do Łukasińskiego, zdarł mu szlify i ordery, odebrał szpadę i złamał nad głową. A gdy kat zrobił swoje, rzucili się na skazańców katowscy pomocnicy, zerwali z więźniów odzież, nałożyli siermięgi więzienne, zgolili głowy, poczem powalili delikwentów na ziemię i rozpoczęli zakładać kajdany. Zabrzęczały łańcuchy, odezwały się przeraźliwe dźwięki zakuwanego na żywe ciało żelaza.

W głuchem przerażeniu słuchały tłumy tej strasznej muzyki, ale nie był to koniec okropnego widowiska.

Gdy kajdany zostały nałożone, skazańców ustawiono na ziemi, dano im do rąk taczki, napełnione gruzem, i kazano przejść przed frontem zgromadzonego wojska.

I znowu głucho zawarczały bębny.

Skazańcy spełnili rozkaz. Pierwszy szedł Łukasiński. Szedł ogolony, w odzieży zbrodniarza, kajdany do krwi wrzynały się w ciało, trupia bladość pokrywała jego policzki. Ale szedł z hardo podniesioną głową, pchał przed sobą taczkę i jasnym, niewinnym wzrokiem wodził zwolna po frontowej linji żoł-

ADAM MICKIEWICZ

nierzy, patrzył wprost w oczy szeregowcom i oficerom. A tuż za nim, dzwoniąc kajdanami, postępowali Dobrogojski i Dobrzycki.

Na widok takiego upokorzenia i takiej niedoli zimny dreszcz wstrząsnął widzami. Wojskowi, zarówno Polacy, jak Rosjanie, nie mogli się powstrzymać od łez, a piersią tłumu wstrząsało rozgłośne szlochanie, głuszone łoskotem bębnów.

W taki to sposób w. książę Konstanty chciał dać przykład, któryby odstraszył innych od wstępowania w ślady Łukasińskiego.

Przykład, jak to łatwo przewidzieć, odniósł rezultat wręcz przeciwny. Łukasiński stał się bohaterem narodowym, a jego działalność licznych znalazła naśladowców. I Towarzystwo Patrjotyczne nie tylko nie przestało istnieć, ale spotęgowało swą czynność. Znaleźli się nowi działacze — i organizację poprowadzili dalej, próbując dróg nowych, a między inn. porozumienia się z rewolucjonistami rosyjskimi, którzy w owym czasie marzyli o zamachu i przekształceniu rządów absolutnych w Rosji.

Spiski, pociągając w swój wir ludzi starszych, szerzyły się jednocześnie i śród kształcącej się młodzieży. Upokorzenia, jakich doznawał naród, odczuwała ona głęboko, a nie mogąc jawnie uczuć swych wyrażać, zaczęła naradzać się szeptem i skrycie marzyć o odbudowaniu utraconej ojczyzny. Na grunt tych marzeń padały ziarna, przynoszone prądami rewolucyjnemi z Zachodu — i hasła równości, wolności, braterstwa, krzewiły się w młodych sercach. I oto zapanował śród młodzieży nastrój serdeczny, podniosły, rosła chęć zdobywania wiedzy, a zarazem potęgował się duch patrjotyczny.

Jedną z pierwszych organizacyj tajnych śród młodzieży w Królestwie był związek, powołany do życia w r. 1820 pod nazwą Wolnych Braci Polaków.

Związek ten dzielił się na trzy loże, albo chorągwie, no-

szące imiona sławnych Polaków: Kościuszki, Rejtana i Kołłątaja. Każda z chorągwi miała swego delegata w kapitule, na której czele stał wielki mistrz. Przyjmowanie do związku odbywało się z wielkiemi ostrożnościami, z zachowaniem form, które podówczas szeroko śród spiskowców były rozpowszechnione.

Kandydata wprowadzano do obszernej komnaty, osłonionej gęstym kirem, i tam w obecności zamaskowanego mistrza i żałobnie przystrojonych towarzyszy odbierano uroczystą przysięgę. Na stole, przy którym zasiadał mistrz, widniała trupia czaszka na znak grobowej tajemnicy i ostrzegawczo błyszczał sztylet, przeznaczony dla tych, coby zdradzić zamierzyli sprawę. Po odebraniu przysięgi zgromadzeni intonowali półgłosem pieśń chóralną — i kandydat stawał się członkiem związku.

Trzy lampki spirytusowe, rzucające niebieski blask na zebranych, miały przypominać trzy dzielnice Polski, których połączenie powinno było stać się celem życia dla każdego, kto przekroczył próg tajemniczej komnaty.

Już sama ceremonja przyjęcia do związku czyniła na młodych umysłach głębokie wrażenie i nieraz budziła uczucia, które, przetrwawszy zmienne koleje życia, do grobu nie opuszczały sprzysiężonych. Znakomity poeta, Seweryn Goszczyński, w takich słowach wspominał później chwilę swego wstąpienia do związku:

Nie wiem, jak długo w tym zachwycie stałem,
Bo w nieskłóconej, tajemniczej ciszy
Wciąż pieśń ta brzmiała — a ja słuchałem,
A choć ucichła, dotąd ją słyszy
Dusza w swej głębi... Odtąd całe życie
Śpiewam ją sercem, przez nią, bracia mili,
Zawsze mię takim ujrzycie,
Jakim byłem w onej chwili.

I rzeczywiście, niektórzy związkowcy szeroko zasłynęli zczasem, jako ludzie wielkiego serca i poświęcenia dla poślubionej w młodości sprawy.

O wiele wcześniej, bo już r. 1817, powstało w Wilnie Towarzystwo Filomatyczne, w którem rej wodzili Tomasz Zan, Józef Jeżowski i Adam Mickiewicz. Oni to wraz z innymi kolegami powołali do życia jawne Towarzystwo Przyjaciół pożytecznej zabawy, czyli Promienistych, a gdy władze uniwersyteckie nie pozwoliły towarzystwu temu działać, przekształcili je w tajne towarzystwo Filaretów.

We wszystkich tych związkach kształcono się żarliwie, czytano celniejsze utwory literatury polskiej, zaznajamiano się ze stanem spraw krajowych, a nie brak było i czynów, mających następstwa doraźne. Oto np. Promieniści skupowali książki, rozsyłali je ubogim kolegom po szkołach i szkółkach litewskich, by przenieść i tam zasady, które tak bujnie krzewiły się w Wilnie. Podczas wakacyj zbierali wszelkie wiadomości o stronach rodzinnych, zbliżali się do ludu, nieśli pod strzechę słowa pociechy i nadziei, a widocznie umieli pozyskiwać miłość, bo w chatach włościańskich widziano ich mile i podejmowano serdecznie.

Z biegiem czasu mnożyła się liczba tajnych stowarzyszeń i coraz szersze obejmowała koła.

A jednocześnie z budzeniem się nowych uczuć i nowych pożądań powiał świeży wiatr i w literaturze ojczystej.

To młodość rozwinęła skrzydła i ukazała się w dymach upojenia, w obłokach marzeń, ukazała się krzepka, dzielna, bezwzględna, budząc gniew i przerażenie śród obywateli, którzy nie oczekiwali niczego i, porywając wszystkich, co ku nowemu życiu z tęsknotą wyciągali ramiona i przyzywali je całą potęgą i całą wiarą młodzieńczego serca. Adam Mickiewicz rzucił był właśnie w świat swą słynną O d ę d o m ł o d o ś c i i tym grzmiącym utworem, nawołującym do śmiałego

czynu i do odpowiadania gwałtem na gwałt, ujarzmił wyobraźnię pokolenia. Większe jeszcze wrażenie uczynił poematem: Konrad Wallenrod. Ten tajemniczy rycerz, wypowiadający bój śmiertelny krzyżakom, ukazał się oczom ówczesnych, jako zwiastun walki nieubłaganej — i nowa pieśń Mickiewicza, jak daleki grzmot, poprzedzający burzę, rozległa się po całej ziemi polskiej.

Znaczenie tego poematu zrozumiał nawet Nowosilcow i w tajnym raporcie, przedstawionym w. księciu, pisał, że Mickiewicz chce przygotować przyszłe wypadki i nauczyć swoje pokolenie być lisem, aby je zczasem przemienić w lwa.

I tym razem nie mylił się Nowosilcow. Istotnie Mickiewicz lwa chciał obudzić w pokoleniu, a jeśli nawet celu tego nie dopiął, to uczynił wiele, gdyż młodzież, czytającą Konrada Wallenroda, przenikało uniesienie i żądza walki coraz silniej wżerała się w serca.

Wielkie wrażenie wywoływały również poematy takich poetów, jak Malczewski, Zaleski i Goszczyński, a także artykuły młodego, pełnego entuzjazmu krytyka Mochnackiego, który w swych pracach, pełnych ognia i zapału, tłumaczył publiczności znaczenie owych utworów lub w polemikach z przeciwnikami nowego prądu w literaturze, zwanego romantyzmem, odpierał ich zarzuty i słowami, ostremi jak miecze, miażdżył zwolenników rutyny, ładu, spokoju oraz krępujących lot twórczy przepisów, którym hołdowali pisarze, zwący się klasykami.

Powoli dojrzewały pragnienia młodzieży i myśl o powstaniu coraz wyraźniejsze przybierała kształty.

A Nowosilcow czuwał i na swój sposób czynił wszystko, aby ta myśl na chwilę nie przestała nurtować umysłów.

Przeniósłszy swój lisi wzrok na kształcącą się młodzież, puścił pomiędzy nią swych szpiegów i odkrył związek Wolnych Braci Polaków.

Klasztor Karmelitów na Lesznie, przerobiony na więzienie, zapełnił się niebawem nowemi ofiarami. Rozpoczęły się śledztwa, a później posypały się kary. Spiskowców zaczęto wcielać do wojska rosyjskiego, wysyłać w głąb Rosji, pozbawiać praw i traktować, jak zbrodniarzy.

Prześladowania Nowosilcowa sięgnęły i do Wilna.

A stało się to tak.

Jeden z uczniów gimnazjum wileńskiego, kilkunastoletni Michał Plater, w rocznicę konstytucji 3 maja napisał w klasie na tablicy: „Niech żyje konstytucja 3 maja!“ I ten drobny fakt pociągnął za sobą nieobliczalne i nieprawdopodobne następstwa. Platera podpatrzył nauczyciel języka rosyjskiego, Ostrowski, i tak się przeraził owym napisem, iż zawiadomił o nim gubernatora. Gubernator, rzecz nie do uwierzenia! przeraził się również i ze swej strony wysłał raport do w. ks. Konstantego. A w. książę rozgniewał się srodze i polecił Nowosilcowi zbadać przyczynę „buntu“.

Dla Nowosilcowa była to gratka nielada!

Oczywiście, z zapałem zabrał się do dzieła i począł uśmierzać buntowników.

O tem uśmierzaniu całe dzieło możnaby napisać, ale dość powiedzieć, że młodziutkiego Platera zakuto w kajdany i pod silnym konwojem odesłano na dalsze śledztwo do Warszawy, w samym zaś Wilnie uwięziono rektora uniwersytetu, kilku profesorów i nauczycieli, wreszcie zaczęto nękać mieszkańców nieustannem badaniem i rewizjami.

Wkrótce policja wpadła na trop istniejących towarzystw— i od tej pory zaczęła się nowa era śledztw, aresztów, gromadnych wywożeń w głąb Rosji i na Sybir, słowem, era udręczeń, którą tak nieporównanie nieśmiertelnem swem piórem opisał w D z i a d a c h Mickiewicz.

Jedyną jaśniejszą stroną życia w tym smutnym okresie był gospodarczy stan kraju. Dzięki pokojowi, podniosło się

zaniedbane rolnictwo, ożył handel, rozwijać się zaczął przemysł górniczy i fabryczny. W miasteczkach, które w owych czasach składały się z chat, krytych słomą, przybywało coraz więcej domów murowanych, zwiększyła się ilość dróg bitych i traktów. Skarb Królestwa Polskiego znalazł się wkrótce w stanie kwitnącym i najzupełniej wystarczał na opędzanie niezbędnych potrzeb kraju. Przyczynił się do tego minister skarbu, książę Ksawery Lubecki, człowiek wielce pomysłowy i rzutki, obdarzony silną wolą i energją. W r. 1821 stanął on na czele skarbu i uratował zachwiane finanse Królestwa. Niedobór wydatków przenosił 20 miljonów złotych polskich w r. 1820. Lubecki pokrył wszelkie zaległości, doprowadził do równowagi budżet, t. j. wydatki i dochody, napełnił puste kasy i wykazał, że mały kraj sam wszystkie potrzeby może zaspokajać. Lubecki umiał zyskać zaufanie Aleksandra, a później Mikołaja, zdobył ogromny wpływ w Petersburgu, był w kraju jedynym człowiekiem, który przeciwstawiał swą wolę w. księciu i nieraz walczył bardzo skutecznie z Nowosilcowem. Dzięki Lubeckiemu, przyszło do skutku założenie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, które oddało wielkie usługi rolnikom, jego też dziełem był Bank Polski, instytucja urządzona i działająca wzorowo. Bank Polski popierał przemysł, handel i rolnictwo, a działalnością swoją budził podziw nawet nieprzychylnych Polsce cudzoziemców.

Niestety, potężny książę Lubecki lekceważył konstytucję. Gdy stała mu na drodze, to ją deptał bezceremonjalnie, twierdząc, że prawa konstytucyjne są przywilejem nie obywateli, lecz panującego. Szczęście Polski widział minister w ścisłem przymierzu z Rosją, względem Petersburga był zawsze lojalny, spiski potępiał, myśl o powstaniu uważał za przedsięwzięcie szalone i niebezpieczne. Zbogacając skarb Królestwa, gnębił obywateli podatkami, egzekwował zaległości skarbowe, cofając się kilkadziesiąt lat wstecz. Wbrew

przywilejom, które posiadały miasta, a które pozwalały im wyrabiać i sprzedawać trunki, Lubecki wprowadził monopol rządowy i monopol ten powierzył wyzyskiwaczom, którzy, rozpajając ludność, dorabiali się majątków. Podatki nowe wprowadzał wbrew prawu. W ten sposób dokonał tego, że kasy rządowe napełniły się pieniędzmi, ale postępowaniem, często bezprawnem i bezwzględnem, przyczyniał się do wzrostu niezadowolenia, które pogłębiali nieustannie w. ks. Konstanty i Nowosilcow. To przecież pewna, że powstanie, do którego przygotowywali się patrjoci, nie mogłoby się rozwinąć, gdyby nie to, że dzięki działalności ministra skarbu kasy były pełne, gdyż zgórą 30 miljonów złotych polskich wynosił rezerwowy kapitał, zgromadzony przez Lubeckiego.

W r. 1825 zebrał się po raz trzeci Sejm, na który przyjechał Aleksander, poprzedzając swój przyjazd tak zw. Artykułem dodatkowym do Konstytucji, znoszącym jawność obrad, a więc odbierającym Sejmowi charakter instytucji publicznej. Otwarcie Sejmu inny jeszcze poprzedził wypadek, również w państwie konstytucyjnem nieznany. Oto w. ks. Konstanty, nie chcąc dopuścić do głosu opozycji, kazał aresztować posła Niemojowskiego, który zjechał do Warszawy — i pod eskortą żandarmów polecił odesłać go na wieś.

Jednakże wbrew temu, czego można było oczekiwać, obrady Sejmu przeszły spokojnie, posłowie zachowywali się z wielkiem umiarkowaniem — i Aleksander wyjechał z Warszawy zadowolony.

Wkrótce potem umarł.

Na opróżniony tron rosyjski wstąpił w grudniu roku 1825 młodszy brat w. ks. Konstantego, ponury car Mikołaj.

Był to okrutnik i despota w całem znaczeniu tego słowa. W Rosji rządził postrachem i grozą, a na Królestwo patrzył, jak na łup, oddany na pastwę jego zaborczych instynktów.

Intencje nowego monarchy względem Polski ujawniły się

szybko i niebawem spotęgowały ogarniający społeczeństwo niepokój. Wprawdzie Mikołaj w manifeście, zwróconym do Polaków, przysięgał uroczyście, że utrzyma akt konstytucyjny, ale czyny mówiły co innego. W r. 1826 umarł Zajączek. Cesarz nie mianował nowego namiestnika, lecz władzę namiestniczą przelał na Radę Administracyjną, którą trząsł w. książę. Wogóle Mikołaj nie taił swego despotyzmu i wyraźnie dawał do poznania, że opozycji nieścierpi. Chcąc przeciąć wszelkie marzenia o powiększeniu terytorjum Królestwa Polskiego, zaczął rusyfikować Litwę, a niebawem przekonał wszystkich, że nawet marzenia o odbudowaniu Polski, marzenia, podtrzymywane przez swego poprzednika, uważa za rzecz występną.

Stało się to w okolicznościach następujących.

Wstąpieniu Mikołaja na tron towarzyszyły zaburzenia rewolucyjne, wywołane przez spiskowców rosyjskich, tak zw. dekabrystów. Zaburzenia te krwawo rząd rosyjski stłumił, a śledztwa, mające zbadać przyczynę rozruchów, naprowadziły policję na ślady tajnych towarzystw, działających i w Królestwie Polskiem.

Rozpoczęła się nowa orgja aresztowań.

W ciągu stycznia i lutego 1826 r. niemal codziennie zwożono więźniów do klasztoru karmelitów, a gdy klasztor został przepełniony, obrócono na więzienie pałac brühlowski i lochy ratusza. Srożył się w. książę Konstanty, szalał Nowosilcow, a obaj zapragnęli dać społeczeństwu polskiemu nauczkę, któraby raz na zawsze odebrała chęć do spiskowania. Można było oczekiwać czegoś strasznego. Cały kraj pamiętał proces Walerjana Łukasińskiego i drżał na myśl o tem, co stanie się z uwięzionymi.

Powody tego niepokoju były bardzo poważne, bo w. książę Konstanty i tym razem chciał oddać oskarżonych pod sąd wojenny. Nowosilcow czynił wszystko, aby tę myśl doprowadzić do skutku, na szczęście ks. Lubecki, zawsze lojalny i ule-

WIELKI KS. KONSTANTY

gły, a pomiatający konstytucją, tym razem oparł się na konstytucji i wbrew Nowosilcowowi, którego szczerze nienawidził, domagał się zwołania Sądu Sejmowego.

Sprawa oparła się o samego cara i Lubecki, mający w Petersburgu wielkie wpływy, zwyciężył.

Zjechali się więc na sąd senatorowie i rozpoczęli obrady. Wszyscy rozumieli, że tu chodzi o rzecz bardzo ważną, gdyż wyrok miał kategorycznie potępić ludzi, którzy myśleli o odbudowaniu ojczyzny, lub też uczynić senatorów współuczestnikami zarzuconej spiskowcom zbrodni.

Śród sędziów zdania były podzielone i nikt nie wiedział, jaki wyrok Sąd Sejmowy wyda.

Opinja mocno była zaniepokojona, wszyscy bowiem rozumieli, że tu nie tylko o los oskarżonych chodzi, lecz o dowód, że za oskarżonymi stoi kraj cały.

Więc gdy rozpoczął się proces, oczy całej Polski przeniosły się na ławę oskarżonych.

Kto zwycięży?

W. książę Konstanty i Nowosilcow, czy spiskowcy?

Pytania te przywarły do wszystkich ust i gorączkowe zniecierpliwienie ogarnęło umysły. Ustały wszelkie zabawy, zebrania, zbiegowiska, na ulicach mnóstwo osób ukazało się w żałobie, kościoły przepełniły się ludem. Z naprężeniem śledzono proces, z ust do ust podawano sobie niepublikowane szczegóły rozpraw. Każdą wieść z sądu lotem strzały przebiegała miasto i elektryzowała czekającą wyroku publiczność.

Dnia 10 czerwca 1828 r. sędziowie ogłosili wyrok, orzekający, że oskarżeni nie popełnili zbrodni stanu, że cała ich wina polega na zakładaniu zabronionych towarzystw. Zgodnie z takiem orzeczeniem skazano podsądnych na dwa do trzech miesięcy aresztu. Jedynie Seweryn Krzyżanowski sroższą poniósł karę.

Odetchnęła Warszawa, a z nią cała Polska. W oczach ogółu honor narodu był uratowany.

Lecz teraz jaskrawo wyszły najaw intencje Mikołaja. Wbrew wszelkim orzeczeniom konstytucji car wydał reskrypt, rozkazujący Sądowi Sejmowemu wstrzymać opublikowanie wyroku. Senatorom polecono zatrzymać się w Warszawie, a podsądnych wsadzono na kibitki i powieziono do Petersburga, pod pretekstem skonfrontowania ich ze spiskowcami rosyjskimi.

Sędziom wyraził Mikołaj swoje niezadowolenie.

Wypadki te wszystkim otworzyły oczy. Do tej pory wiele wpływowych osób łudziło się jeszcze, że nadzieje, rozbudzone obietnicami Aleksandra, urzeczywistnią się zczasem, że Królestwo Kongresowe pod panowaniem cesarzów rosyjskich rozszerzy się i odzyska pełnię praw swoich. Obecnie zrozumieli wszyscy, że naród pozbawiony jest wszelkich swobód, że skoro nawet najwyższy sąd w kraju za wyrokowanie, zgodne ze swojem sumieniem, może być surowo karany, to niema żadnej rękojmi, która zabezpieczałaby przyszłość. Przekonano się ostatecznie, że nie tylko rozszerzenie praw narodu, ale utrzymanie ich w takim kształcie, w jakim zostały nadane, wymaga innych środków, niż opozycja w izbie poselskiej.

Pozostawało zdać się na łaskę i niełaskę Mikołaja, lub też o skuteczniejszej pomyśleć obronie.

Starsze pokolenie z trwogą spoglądało w przyszłość, młodzież, przejęta ideałami romantyzmu, ufna w siły własne i w siły narodu, postanowiła porwać się do oręża i z bronią w ręku wystąpić w obronie praw ujarzmionej Polski.

II.

NOC 29 LISTOPADA

Na widownię wystąpić mieli niebawem podchorążowie. Byli to młodzi żołnierze, którzy, służąc w szeregach, dosłużyli się stopnia podoficerskiego, a pilnem wypełnianiem obowiązków zwrócili na siebie uwagę zwierzchności. W. ks. Konstanty postanowił kształcić tych młodych ludzi i przygotować ich na dzielnych, dobrze znających swój zawód oficerów. W tym celu utworzył szkołę, w której podchorążowie ćwiczyli się we władaniu wszelką bronią i zdobywali wiedzę fachową.

Szkoła mieściła się w jednej z oficyn pałacu łazienkowskiego.

W. ks. Konstanty z zadowoleniem śledził postępy tych młodych żołnierzy, cieszył się ich dzielną postawą, postępami w nauce i roztropnością, a społeczeństwo, uważając podchorążych za pupilów w. księcia, nie podejrzewało ich nawet o wznioślejsze uczucia. Nikt nie wiedział, że w. książę tuż pod swoim bokiem umieścił najstraszniejszych wrogów, że te młode dusze, skazane na atmosferę koszar, przenika ogień uniesienia patrjotycznego, że głowy podchorążych płoną i roją o czynach wielkich a śmiałych. Nikt nie przypuszczał, że w tej uczelni, otoczonej troskliwością w. księcia, szerzy się

buntowniczy spisek, że kują się miny i gromadzą się materjały palne.

Dzięki takim warunkom, podchorążowie swobodnie mogli spiskować.

Nieraz w przerwie pomiędzy jednem a drugiem ćwiczeniem na wesołe, zuchowate twarze podchorążych dziwna zstępowała powaga, a słowa, zamieniane ukradkiem, świadczyły, że nietylko koszary i ćwiczenia są przedmiotem rozpraw. Nieraz w noc głuchą, gdy starszyzna przestała czuwać, w murach szkolnych słychać było szept przytłumiony. To podchorążowie rozprawiali o położeniu kraju, spowiadali się ze swoich uczuć i marzeń, radzili wspólnie, jak zaradzić złemu i w jaki sposób wywołać powstanie.

Marzenia te, początkowo niejasne i nieokreślone, znalazły ujście w tajnem sprzysiężeniu, zwanem spiskiem podchorążych.

Spisek ten utworzył w grudniu 1828 r. podporucznik grenadjerów gwardji, a zarazem instruktor w szkole podchorążych, Piotr Wysocki. Była to czysta i płomienna dusza, gotowa do największych poświęceń. Szczerze bolejąc nad tem, co się dzieje w kraju, Wysocki postanowił zorganizować młodzież wojskową i w odpowiedniej chwili zbrojnie upomnieć się o podeptane prawa. Niestety, naczelnik spisku nie sięgał w przyszłość i marzył tylko o wywołaniu wybuchu, sądząc, że na dany sygnał kraj cały porwie się do broni. W dodatku Wysocki nie miał przed sobą jasno określonego celu. W rocie przysięgi, którą składali spiskowcy, mówiono o podniesieniu oręża w obronie konstytucji, tymczasem było rzeczą jasną, że powstanie, zakończone klęską, nie obroni konstytucji, przeciwnie zaś, uwieńczone zwycięstwem, nie poprzestanie na zapewnieniu Królestwu swobód konstytucyjnych, lecz siłą rzeczy doprowadzi do przyłączenia Litwy i Rusi oraz zupełnej niezależności narodu.

Tego wszystkiego nie przewidywał Wysocki ani jego młodzi przyjaciele — i spisek pod złą wróżbą rozpoczynał życie.

Mimo to rósł szybko w siły i znaczenie, w szeregach spiskowców znalazło się wkrótce wielu oficerów z różnych pułków, znajdujących się w Warszawie i na prowincji, a zczasem do spisku przyłączyło się grono cywilne, gotowe oddać swe siły na usługi sprawy.

Do grona tego należał znany poeta, Seweryn Goszczyński, jego serdeczny przyjaciel, Ludwik Nabielak, obaj jakgdyby stworzeni z ognia i siarki, obaj dzielni, odważni, niecierpliwi, silni moralnie i fizycznie, a gotowi na czyny choćby najszaleńsze. Przystąpił do spisku Ksawery Bronikowski, człowiek rzetelny i uczciwy, w robocie spiskowej zaprawiony oddawna, a dalej Maurycy Mochnacki, ten sam znakomity krytyk, który odpierał zamachy na romantyzm, umysł rzutki, przewidujący, najtęższa głowa, jaką zyskał spisek Wysockiego.

Mochnacki szybko zorjentował się w sytuacji i odkrył słabe strony spisku. Rozumiał on, że, chcąc działać z powodzeniem, trzeba przewidzieć wszystko i wszystko przygotować. Namawiał więc Wysockiego, aby przed wybuchem rewolucji pomyślał o zorganizowaniu rządu rewolucyjnego i aby ten rząd utworzył z ludzi młodych, energicznych, którzy z zapałem oddaliby się sprawie i odrazu nadali jej właściwy kierunek.

Spiskowcy porozumiewali się z kilkoma wybitnemi osobistościami, rozmawiali z niektórymi posłami, wtajemniczyli w swoje plany Juljana Ursyna Niemcewicza, towarzysza Kościuszki, zawiadomili o swojem istnieniu księcia Adama Czartoryskiego, komunikowali się z Lelewelem, ukochanym przez młodzież profesorem, tu i owdzie mieli nawet obiecane poparcie, ale o utworzeniu rządu rewolucyjnego nie myśleli całkiem.

Wysocki był przekonany, że rząd taki utworzy się sam

przez się z ludzi znanych i cenionych. O tem, aby spiskowcy pochwycili władzę, ani chciał słyszeć.

— Któż nas zna? — zapytywał Mochnackiego, gdy ten przedstawiał mu swoje projekty.

Ale Mochnacki nie tropił się łatwo.

— Cóż z tego, — odpowiadał Wysockiemu — że nas teraz nikt nie zna, bo czyliż nie damy się wszystkim poznać samem zaczęciem rewolucji? Pierwsze kroki rządu, złożonego z nas, spiskowych, uczynią nas natychmiast wielkimi i znanymi całemu światu — argumentował Mochnacki i mówił o wrażeniu, jakie sprawi uwięzienie w. księcia, rozbrojenie jego gwardji, gwałtowny marsz powstańców na Litwę i Wołyń.

Ale Wysocki nie czuł się o tyle silny, by podołać tak wielkim zadaniom, i ani chciał słyszeć o śmiałych planach Mochnackiego.

W maju r. 1829 przyjechał Mikołaj do Warszawy na koronację i wówczas to powstał projekt dokonania zamachu, który poprzedzić miał powstanie. Projekt nie doszedł do skutku i wybuch powstania został odłożony.

W rok potem przyjechał do stolicy Mikołaj na otwarcie Sejmu.

Publiczność, świadoma usposobienia cara, przyjęła go zimno, a izba poselska, wbrew wyraźnie objawionej woli monarszej, odrzuciła znowu projekt rządowy w sprawie małżeństw i rozwodów. Przeciw projektowi przemawiali gorąco posłowie Wołowski oraz uczony Lelewel, posłujący z powiatu żelechowskiego, i oni głównie przyczynili się do oporu izby. Co więcej, podczas obrad jeden z posłów wygłosił mowę protestacyjną przeciwko ministrowi sprawiedliwości, który zgodnie z reskryptem cesarskim wstrzymał publikację wyroku Sądu Sejmowego. Ponadto domagali się posłowie zniesienia Artykułu dodatkowego do Konstytucji, prosili o ułaskawienie Łukasińskiego, o zwolnienie z pod dozoru po-

PIOTR WYSOCKI

licji Wincentego Niemojowskiego, o powstrzymanie szaleństw, jakich dopuszczała się cenzura.

Oburzył się Mikołaj, widząc zachowanie się posłów. Sejm zamknął przemówieniem gniewnem i chociaż zapewniał, że nie przestanie czuwać nad prawdziwem szczęściem narodu, opuścił Warszawę z zamiarem zawieszenia konstytucji.

Wypadki te podniosły wysoko temperaturę w spisku podchorążych. W dwa miesiące potem, pod wpływem rewolucji lipcowej we Francji, gorętsze żywioły zaczęły nalegać na Wysockiego, by nie odkładał wybuchu.

Pod wpływem takich głosów spiskowcy przystąpili do przygotowań. Warszawa, przeczuwając niedalekie wypadki, zaczęła głośno mówić o rewolucji. Nowosilcow przewidywał, że stanie się coś złego, i uciekł z Warszawy. To samo uczynił znienawidzony cenzor Szaniawski. Tajna policja ostrzegła w. księcia, by miał się na baczności. Jakoż oznaki groźnych wypadków mnożyły się z dnia na dzień. Pomiędzy publicznością kursować zaczęły tajnie drukowane pisemka i odezwy, mówiące w tajemniczy sposób o przyszłych wypadkach, a jakiś figlarz na bramie pałacu belwederskiego przyklejał co pewien czas kartkę z napisem: M i e s z k a n i e d o w y n a j ę c i a co miało oznaczać, że w pałacu tym niedługo już w. książę rezydować będzie.

Tymczasem Konstanty, straszony nieustannie widmem powstania, tym razem nie wierzył w kursujące po mieście pogłoski i aczkolwiek zwrócił baczniejszą uwagę na szkołę podchorążych i dozór nad nią powierzył zaufanemu generałowi Trembickiemu, jednakże przestał zważać na donosy, a nawet kilku spiskowców, pociągniętych do śledztwa, między nimi i Wysockiego, rozkazał uwolnić.

Ale policja każdej chwili mogła wpaść na nowy dowód sprzysiężenia i otworzyć oczy w. księciu. W takich warunkach

nie można było zwlekać — i Wysocki postanowił przystąpić do dzieła.

W podnieconej atmosferze zaczęły się ostateczne przygotowania.

A zaczęły się fatalnie...

Spiskowcy nie mieli dość zdecydowania, aby ważyć się na wszystko i ster powstania ująć w swoje ręce. Nie mieli wodza i nie mieli za sobą ludzi, których popularność zapewniłaby dziełu powodzenie. Całą ich bronią był zapał, całą nadzieją — wiara, że dość wznieść w górę sztandar powstania przeciw znienawidzonej Moskwie, aby kraj cały porwał się do broni. Co stanie się potem, o tem nikt nie myślał. Dopiero 21 listopada przywódcy spisku postanowili zasięgnąć rady i opinji Lelewela, który całą duszą sprzyjał młodzieży, a imię miał sławne i wielce przez wszystkich poważane.

Niestety, światły ten mąż, niezwykle twórczy w dziedzinie nauki, pozbawiony był twórczej woli życiowej i owej energji, która stwarza wypadki i wypadkami kieruje. Znakomity profesor, daleki od śmiałej decyzji, od szybkich i gwałtownych rzutów, od wielkiego ryzyka wreszcie, ugiął się odrazu pod ciężarem odpowiedzialności i nie dał jasnej a wyraźnej odpowiedzi. Nie odradzał powstania, ale i nie zachęcał do niego. Wyraził tylko opinję, że młodzież, zacząwszy powstanie, powinna się zrzec kierowniczej roli i wszelkich pretensyj, nie objawiać woli swojej, lecz cały kierunek sprawy pozostawić s t a r s z y m b r a c i o m, którzy trafniej, niż młodzież, dążenia narodu polskiego przed światem objawią. Radził wreszcie zaufać Sejmowi...

Wysocki poprzestał na tej odpowiedzi, lecz już o żadnej zmianie w swych planach nie myślał.

W ten sposób całe przedsięwzięcie skazane zostało na los przypadku. „Starsi bracia", o których mówił Lelewel, nie byli wtajemniczeni w plany i zamiary powstania, nie wiedzie-

li nic o jego sile i środkach, nie myśleli ryzykować wszystkiego na pierwsze wezwanie garstki młodzieży. A Sejm... Sejm mógł być zwołany dopiero po spełnionym fakcie.

W takich warunkach przyszłość powstania przedstawiała się bardzo niepewnie.

Były serca gorące i ofiarne dusze, były ręce, gotowe do chwycenia na dany sygnał za oręż, nie było tylko kierowniczej woli, nie było głowy, nie było myśli, ogarniającej całość przedsięwzięcia i sięgającej w przyszłość.

I wojskowej strony powstania nie zdołano przygotować, jak należy.

Tymczasem dzień 29 listopada nieodwołalnie przeznaczony został na rozpoczęcie wybuchu.

Prócz wtajemniczonych nikt nie wiedział o wyznaczonym terminie. Wyżsi wojskowi i dygnitarze cywilni nie domyślali się niczego, a jeśli kto z nich żywił jakieś obawy, to rozpraszał je spokój Konstantego.

W normalnych warunkach rozpoczął się ów historyczny dzień 29 listopada i upłynął spokojnie. Lecz oto zbliżał się wieczór i mrok zaczął otulać miasto. Spiskowcy, ukończywszy przygotowania, podążyli na umówione stanowiska i w niezmiernem naprężeniu oczekiwali uderzenia godz. 6-ej, która wyznaczona została na rozpoczęcie kroków stanowczych. Łuny pożarów, jednego na Solcu, drugiego na Nowolipiu, miały wezwać spiskowców do dzieła i oznajmić stolicy o powstaniu.

Dwa główne zadania mieli przed sobą sprzysiężeni.

Jednem z nich było pochwycenie lub zabicie w. księcia, drugiem — rozbrojenie wojsk rosyjskich. Jednocześnie garść młodzieży miała poruszyć lud Starego Miasta, a wojskowi, po dokonaniu rozbrojenia, skoncentrować w jednem miejscu wszystkie pułki polskie, na które można było liczyć.

Jak ułożą się dalsze wypadki, co czynić po dopięciu za-

kreślonych celów, komu oddać władzę i w jaki sposób ją utworzyć, o tem wszystkiem Wysocki nie myślał.

Na Belweder miało napaść ośmnastu śmiałków *) pod wodzą Nabielaka, Wysocki zaś na czele podchorążych winien był uderzyć na koszary trzech pułków gwardji konnej rosyjskiej i pułki te rozbroić. Z odsieczą podchorążym miało przybyć kilka kompanij piechoty.

Dobrze przed szóstą zaczął się zbierać na moście łazienkowskim oddział Nabielaka, ale jeszcze nie zeszli się wszyscy, gdy przedwcześnie rozniecony pożar na Solcu zmieszał zgromadzonych. Pożar wszczął się o godz. 5.30, a o 6 zagasł, na Nowolipiu zaś nie było widać umówionego ognia. Nabielak nie wiedział, co to oznacza, i namyślał się, co przedsięwziąć, gdy w pobliskich koszarach zadzwoniono na alarm ogniowy, a Łazienki zaczęli przebiegać jacyś ludzie, wysłani na zwiady. Spiskowcy postanowili rozproszyć się na chwilę i zebrać się znowu na moście, gdy alarm, wywołany pożarem, ucichnie. Jakoż łuna na Solcu niebawem zagasła i oddział Nabielaka zebrał się ponownie, ale nie wiedział, co robić. Cisza panowała dokoła, wpobliżu tysiącem świateł migotało miasto, ale łuny na Nowolipiu widać nie było. Napróżno zebrani wytężali wzrok. Płynęła minuta za minutą, długa, jak wieczność, park łazienkowski szumiał ponuro nad głowami spiskowców, a oni stali w mroku nocnym, stali zagniewani, niepewni, narażeni w każdej chwili na wielkie niebezpieczeństwo zdradzenia swojej obecności i obudzenia podejrzeń.

Wreszcie Nabielak i Goszczyński wyruszyli na zwiady i szczęśliwym trafem spotkali Wysockiego, który śpieszył do szkoły podchorążych. Od niego dowiedzieli się o fatalnym

*) Oto ich nazwiska: Nabielak, Goszczyński, Trzaskowski, Zenon Niemojowski, Roch i Nikodem Rupniewscy, Orpiszewski, Jankowski, Nasiorowski, Kobylański, Paszkowicz, Poniński, Trzciński, Rottermund, Świętosławski, Krosnowski, Rettel i Kosiński.

zbiegu okoliczności, który nie dozwolił wzniecić jednocześnie dwu umówionych pożarów, a zarazem i o tem jeszcze, że mimo wszystko trzeba rozpoczynać natychmiast.

Wówczas nowy duch wstąpił w garstkę śmiałków Nabielaka. Zniechęcenie prysło w jednej chwili i męstwo wstąpiło w piersi sprzysiężonych. Nabito przyniesione karabiny i oddział podzielono na dwie części, z których jedna miała napaść na Belweder od frontu, a druga pilnować tyłów pałacu, co było konieczne na wypadek, gdyby w. księciu udało się wymknąć.

Tymczasem w Belwederze panowała cisza.

Wielki ks. Konstanty spał spokojnie, nie przeczuwając, co się święci tego wieczora. Naraz na dziedzińcu przed książęcą siedzibą rozległy się przerażające okrzyki, jęknęły szyby pałacowe i rozprysły się z trzaskiem, jacyś ludzie wyważyli drzwi i, jak huragan, wtargnęli do komnat, wołając strasznym głosem:

— Śmierć tyranowi!

Budzi się Konstanty, słyszy hałas i złowróżbne okrzyki, zrywa się na równe nogi i, podtrzymywany przez kamerdynera, biegnie do pokojów żony i w otoczeniu kobiet szuka dla siebie schronienia.

Tymczasem oddział sprzysiężonych, wpadłszy do wnętrza pałacu, przebiega jeden pokój za drugim, lecz nigdzie nie znajduje oporu. Więc czyni ogromny hałas, przewraca napotkane sprzęty, lecz nadaremnie poszukuje w. księcia. Cisza i pustka wieje z każdej komnaty. Dopiero przed sypialnią w. księżny napastnicy spotykają gubernatora Lubowidzkiego, który przybył właśnie do Belwederu, by uprzedzić w. księcia o niebezpieczeństwie. Lubowidzki stoi przed drzwiami i osłania je rozkrzyżowanemi rękoma. Uderzony bagnetami, pada zalany krwią — i napastnicy chcą kroczyć dalej, gdy wtem od tyłów pałacu rozlega się okrzyk:

— Wielki książę zabity!...

Wówczas oddział Nabielaka przerywa dalsze poszukiwania i z tą samą szybkością, z jaką wpadł, wybiega z pałacu. Lecz cóż się okazało? Oto wkrótce przed napadem przyjechał do Belwederu generał rosyjski Gendre. Usłyszawszy groźne okrzyki, rzucił się do tylnego wyjścia i, jak kula, wpadł pomiędzy oddział, pozostawiony na straży tyłów pałacowych. Spiskowcy, dostrzegłszy w ciemnościach mundur generalski, wzięli uciekającego za w. księcia i przeszyli pierś generała bagnetem.

Po chwili oddział połączył się i szybkim krokiem zmierzał do mostu łazienkowskiego.

A w tym samym czasie, gdy w. książę szukał dla siebie schronienia w pokoju żony, do szkoły podchorążych wszedł Piotr Wysocki, przerwał odbywający się o tej porze wykład i, dobywając szpady, zawołał grzmiącym głosem:

— Polacy! godzina zemsty wybiła. Dzisiaj zwyciężym, albo polegniem...

W sali zapanował entuzjazm.

— Nadstawmy swe piersi wrogom, aby stały się dla nich Termopilami!... — wołał Wysocki.

— Do broni! do broni! — odpowiedzieli mu hucznym głosem podchorążowie, pochwycili karabiny, rozebrali ostre ładunki, wypadli ze szkoły i w mgnieniu oka sformowali się w ordynek bojowy. „Było ich wszystkich stu sześćdziesięciu kilku, — powiada w dziele swojem o powstaniu Mochnacki — każdy z nich znał komendę brygady i dywizji, jak generał, a robił bronią, jak szermierz. Zręczniejszych tyraljerów, celniejszych strzelców pewnie żadne wojsko nie miało. Teraz szli się odpłacać za długą naukę na Saskim placu! Na czele tej kolumny uczonych atletów postępował Wysocki wprost do koszar trzech pułków jazdy nieprzyjacielskiej".

Zbliżywszy się do koszar, podchorążowie rzucili się zaraz

w środek zabudowań, lecz tu zastali już trzystu ułanów, siedzących na koniach, a gotowych do szarży. Niezmieszani tym widokiem, podeszli na pół strzału karabinowego do nieprzyjaciela i z tej odległości sypnęli ogniem. Ułani pierzchnęli, lecz po chwili sformowali się znowu i kłusem ruszyli ku atakującym. Po raz drugi przyjęci strzałami, rozproszyli się w nieładzie. Noc ciemna nie pozwoliła zorjentować się wojskom rosyjskim, ilu nieprzyjaciół mają przed sobą, i podchorążowie z łatwością mogli opanować koszary. Ale zapowiedziana pomoc nie przybywała, a tymczasem siedli na koń husarze, kirasjerzy i próbowali otoczyć podchorążych, a zarazem odciąć ich od miasta. Nie widząc innej rady, Wysocki dał rozkaz do odwrotu i cały oddział cofnął się w kierunku Łazienek. Spotkawszy po drodze Nabielaka z towarzyszami, podchorążowie zabrali ich z sobą i razem ciągnęli ku miastu. Strzelając do zastępującej drogę konnicy, to robiąc sobie przejście bagnetem, dostali się w aleje i, trupem usławszy drogę, wpadli nareszcie do miasta. Na placu św. Aleksandra spotkali generała Potockiego, którego znali, jako dobrego patrjotę.

— Generale! prowadź nas! — prosili podchorążowie.

W odpowiedzi na to Potocki zgromił ich gniewnie i skierował się ku Belwederowi. W godzinę potem, wróciwszy do miasta po wiadomości, zginął od bratniej kuli.

Tymczasem oddział Wysockiego, rozgoryczony odmową Potockiego, ciągnął przez Nowy Świat ku Krakowskiemu Przedmieściu. Ulice były puste. Mieszkańcy, przestraszeni wrzawą i kursującemi pogłoskami, zamykali okiennice, ryglowali sklepy.

— Do broni! do broni! — wołali podchorążowie.

Odpowiadała im cisza. Miasto, nieczułe na te okrzyki, było głuche, jakby wymarłe. Podchorążym wydawało się w tej chwili, że pozostali sami, że ich rozpaczliwym wołaniom żad-

ne nie odpowie echo, że daremne ich czyny nie zdołają poruszyć sennej stolicy, że marzenie ich życia, powstanie, umarło przedtem jeszcze, nim zdążyło się narodzić. Zrozpaczeni i gniewni posuwali się dalej. W takim nastroju spotkali generała Trembickiego, który niedawno z rozkazu w. księcia objął nad szkołą podchorążych komendę. I, podobnie jak Potockiego, zaczęli prosić swego naczelnika:

— Generale! prowadź nas dalej!

Oburzył się Trembicki, ofuknął ich ostro i zażądał, by natychmiast złożyli broń i oddali się na łaskę w. księcia. Nadaremnie podchorążowie odwoływali się do patrjotyzmu generała, nadaremnie przekładali mu, że mają za sobą wojsko i lud. Generał, głuchy na wszelkie perswazje, krzyczał i groził. Więc wzięli go w środek i, wzburzeni odmową, wiedli ze sobą. Koło pałacu namiestnika zajechał drogę oddziałowi Wysockiego minister wojny, generał Hauke, i szef sztabu, pułkownik Meciszewski. Pierwszy ostro zaczął przemawiać do młodzieży, a gdy podchorążowie go zakrzyczeli, porywczy i gwałtowny Meciszewski dobył z olster pistoletu i huknął w środek oddziału. W jednej chwili błysnęły bagnety i obaj obrońcy porządku martwi runęli na ziemię.

Doszedłszy do ulicy Koziej, oddział Wysockiego zatrzymał przejeżdżającą karetę.

— Kto jedzie? — zapytano stangreta.

— Generał Nowicki — odpowiedział zapytany.

Nieszczęściem, podchorążowie przesłyszeli się i byli pewni, że odpowiedziano im: generał Lewicki. Ten ostatni, srogi Rosjanin, był gubernatorem Warszawy i złą miał opinję. W jednej chwili kilka kul przeszyło karetę i generał Nowicki, człowiek poczciwy i szanowany, życiem przypłacił tę straszną omyłkę.

Na ulicy Bielańskiej podchorążowie znowu zwrócili się do Trembickiego:

— Widziałeś, generale, co spotkało zdrajców. Połącz się z nami!

Trembicki, hardy i dumny, odpowiedział nowemi pogróżkami.

— Generale, — wołali podchorążowie — połącz się ze sprawą narodu, stań na naszem czele!

W odpowiedzi na to Trembicki hardo oświadczył, iż nigdy nie stanie na czele nikczemnych morderców. Tego było dla podchorążych za dużo — i Trembicki poległ.

Trudno winić starszych wojskowych, że nie wiedząc o niczem, a mając przed sobą jedynie garść wzburzonej młodzieży, nie chcieli jej na pierwsze wezwanie usłuchać. Poległych generałów niesłusznie opinja polska długi czas nazywała „zdrajcami", jak niesłusznie wznieśli im później pomnik Moskale, jako tym, co polegli „za wierność" carowi. Podniecenie i rozpacz młodzieży śmierć ich spowodowała.

Pozostawiwszy za sobą tyle trupów, podchorążowie przyszli pod arsenał. Teraz dopiero otoczył ich gwar miasta, ruch i ożywienie.

Po licznych przeszkodach i niespodziankach, po utarczkach z Moskalami, ciągnęły do arsenału oddziały wojsk polskich, prowadzone przez należących do spisku oficerów. I tutaj padł przeszyty kulami generał Blumer, kiedy spróbował rozbroić wzburzonych żołnierzy. A wraz z wojskiem walił pod arsenał zawezwany do broni lud ze Starego Miasta, rozchwytywał pałasze, karabiny, zbroił się i stawał obok żołnierzy. W. książę, przerażony napadem, ani myślał przeszkadzać powstańcom. Dzięki temu, powstanie, w pierwszych krokach niepewne i chwiejne, poważną zaczęło przybierać postawę. Było zbuntowane wojsko, był lud uzbrojony, tworzyła się siła rewolucyjna i groźna, rosnąca nieustannie i nabierająca zaufania do sprawy.

Tymczasem i carewicz ochłonął z pierwszego strachu. Na-

mawiany przez generałów, którzy do niego przybyli, ruszył w aleje Ujazdowskie, gdzie zgromadzono już całą jazdę rosyjską. Niebawem przyłączył się do jazdy rosyjskiej pułk polski gwardji strzelców konnych, przyprowadzony przez generała Kurnatowskiego. Namawiano w. księcia, aby uderzył na powstańców, ale Konstanty stracił głowę, a szmer zbuntowanej stolicy napełniał go przerażeniem. Więc stał bezczynnie i z trwogą wlepiał oczy w zbuntowane miasto. Wreszcie po długich wahaniach, mówiąc, że Polacy zaczęli rozruchy, więc trzeba, by je Polacy stłumili, wyprawił ku miastu pułk strzelców konnych. Ci zajęli Nowy Świat i przylegające ulice, lecz przekonawszy się, że powstańcy zagarnęli całą przestrzeń od placu Bankowego aż po plac Zamkowy, zatrzymali się niepewni, to posuwając się ku Krakowskiemu Przedmieściu, to cofając się aż w aleje...

A Rada Administracyjna, właściwy rząd Królestwa, straciła najzupełniej głowę. Przyzwyczajona do ślepego słuchania tego, czego żądał w. książę i Nowosilcow, nie wiedziała teraz, co począć. Ale nie stracił głowy obrotny minister skarbu, ks. Lubecki. Przekonawszy się, że rewolucja nie wyłoniła własnego rządu, zwołał w porozumieniu z ks. Czartoryskim Radę Administracyjną, nakłonił ją do przyjęcia nowych członków i, osłaniając się ich popularnością, postanowił trwać na stanowisku, stłumić rewolucję i spokój przywrócić w stolicy.

A tymczasem w śródmieściu trwała strzelanina i hałasował lud podniecony.

Dobrze po północy strzały ucichły.

Na ulicach i placach zapłonęły ogniska, rzucając krwawe światło na zgromadzony lud i żołnierzy, a zgiełk orężny pomieszał się z odgłosami patroli, wysuniętych poza linję dwu wojsk nieprzyjacielskich.

W oczekiwaniu walki, na której rozpoczęcie żadna strona nie mogła się zdecydować, upłynęła reszta pamiętnej nocy 29 listopada.

III.

PIERWSZE DNI POWSTANIA

Noc ta nie osiągnęła zamierzonego celu.

W. książę wymknął się rewolucjonistom, wojska rosyjskie nie zostały rozbrojone, a po stronie Konstantego stali jeszcze Polacy. Wobec bezczynności w. księcia wszystko można było bardzo szybko naprawić, ale brak jakiejkolwiek władzy rewolucyjnej sprawił, że powstańcy, podobnie jak w. książę, trwali w bezczynności.

Wstał nowy dzień. Oba nieprzyjacielskie obozy trwały w pogotowiu wojennem, ale stały nieruchome, jakgdyby zamarłe we wzajemnem przenikaniu swych planów.

Dnia 30 listopada dowiedzieli się mieszkańcy stolicy, że ubiegłej nocy zebrała się Rada Administracyjna, że do Rady zaproszeni zostali znani obywatele, jak Juljan Ursyn Niemcewicz, kasztelan Kochanowski, ks. Michał Radziwiłł, wreszcie słynny generał Chłopicki, w którym rewolucjoniści widzieli swojego wodza, choć on nigdy niczem nie przejawił sympatji swojej dla sprawy powstania.

Cóż poczęła Rada?

Oto z jej upoważnienia ks. Lubecki i ks. Adam Czartoryski udali się do w. księcia i namawiali go, aby siłą zbrojną stłumił rozruchy. Ale w. książę obawiał się walki.

— Polacy — odpowiedział — zaczęli; trzeba, żeby Polacy skończyli.

Rada Administracyjna przyjęła do wiadomości tę odpowiedź i próbowała na swoją rękę uśmierzyć wzburzoną stolicę. W tym celu wydała nazajutrz w imieniu Mikołaja odezwę, w której nawoływała rodaków do spokoju i ładu, a wypadki ubiegłego wieczora nazywała „smutnemi".

Rewolucjoniści z radością dowiedzieli się o nowym składzie Rady, ale jej odezwa wywołała gniew i oburzenie. Teraz dopiero stało się jasnem, jak wielki błąd popełnili spiskowcy, nie ustanowiwszy władzy, sprzyjającej ich celom. Powstanie, straciwszy pierwszy impet, zatrzymało się jak wryte, a nazwiska ludzi, cieszących się popularnością, a podpisanych pod odezwą, potępiającą wybuch, wywołały w obozie rewolucyjnym żal, gniew i zdumienie.

Wszyscy, którzy przechylali się na stronę powstania, odczuli, że dzieło, rozpoczęte 29 listopada, jest silnie zagrożone przez samych Polaków, ale nie wiedzieli, co czynić, by rewolucji dodać powagi i nakazać dla niej szucunek. Odezwa Rady nie budziła żadnej wątpliwości o zamiarach nowego rządu. Posłowie, znajdujący się w Warszawie, a chcący zamiary te sparaliżować, wysłali do Rady deputację, z żądaniem, by z Rady ustąpili ministrowie Mikołaja i zastąpieni byli przez członków Sejmu. Żądaniu temu uczyniono zadość. Prócz Lubeckiego, opuścili Radę wszyscy ministrowie, a na ich miejsce wszedł senator Dembowski, posłowie Ostrowski, Małachowski i Lelewel. Ten ostatni nie umiał utworzyć władzy powstańczej, a oddając swoją wielką popularność na usługi rządu, co był powstaniu przeciwny, sam, nie zdając sobie z tego sprawy, zadawał nowy cios przedsięwzięciu, któremu pragnął służyć z najlepszą wolą i najlepszą wiarą.

Tegoż dnia generał Chłopicki, który o sprawcach wybuchu odzywał się obelżywie, a powstanie nazywał szaleństwem, zgo-

dził się na usilne nalegania objąć tymczasowo naczelne dowództwo nad wojskiem.

Wszystko to nie odpowiadało widokom rewolucjonistów. Najprzenikliwszy z nich, Maurycy Mochnacki, postanowił obalić Radę Administracyjną i na jej ruinach nową ustanowić władzę, t. j. rząd zdecydowany, śmiały, rewolucyjny. W tym celu zebrał grono jednomyślnych towarzyszy i wtargnął wraz z nimi do ratusza. Tutaj wbrew protestom prezydenta rozpoczęto obrady. Rezultatem tych obrad było zorganizowanie zbrojnego klubu rewolucyjnego, który nazwano Towarzystwem Patrjotycznem, a który miał na celu spopularyzować powstanie i skłonić Radę Administracyjną do swoich widoków, lub też zniszczyć ją w ogniu rewolucji i własny rząd wyłonić. Rozumiejąc, że popularny Lelewel może oddać sprawie rewolucji wielkie usługi, postanowiono wydrzeć go Radzie i, acz był nieobecny, ogłoszono go prezesem klubu. Wreszcie zdecydowano na dzień 2-go grudnia zwołać w salach redutowych na placu Krasińskich zgromadzenie ludowe i zgromadzeniu temu nadać charakter szczerze rewolucyjny.

Miał to być ze strony patrjotycznej młodzieży pierwszy krok, zmierzający do wydarcia władzy z rąk niepowołanych.

Więc twórcy klubu żywo zabrali się do pracy i rozpoczęli energiczną agitację, by zjednać sobie lud stolicy i zamiarom swoim zapewnić powodzenie.

A w. książę, nie czując się bezpiecznym w Warszawie, przeniósł się do Wierzbna i, w dalszym ciągu nie mogąc się na nic zdecydować, czekał, co przyniosą wypadki. Stanął kwaterą w nędznej karczmie i niepewny dnia, ani godziny, przestraszony, potulny, gotów był do dalszych ustępstw, jak i do opuszczenia kraju.

Dnia 2 grudnia zjawili się w Wierzbnie delegaci Rady Administracyjnej, by rozpocząć z w. księciem układy. Dele-

gację stanowili: ks. Czartoryski, ks. Lubecki, poseł Ostrowski i uczony Lelewel.

Lubecki, który pragnął stłumić powstanie, ale przewidywał już, że rewolucja może się rozwinąć, chciał za wszelką cenę skłonić Konstantego, aby powrócił do Warszawy. Minister słusznie rozumował, że zarówno na wypadek wojny, jak na wypadek pokoju, zakładnik taki, jak starszy brat carski, oddany całkowicie na łaskę Polaków, będzie poważną zdobyczą i wielkie może oddać usługi. Ale Lelewel, pomny na wzburzenie stolicy, a widzący w w. księciu znienawidzonego tyrana, wypowiedział się przeciw powrotowi Konstantego do Warszawy. Opinję Lelewela podzielił Ostrowski. A w. książę, na którym skóra cierpła ze strachu, przychylił się do tej opinji i postanowił ustąpić z Polski. Obiecał, że wstawi się do Mikołaja, by car wszystko, co zaszło, puścił w niepamięć. Nadto przyrzekł, że nie będzie atakował Warszawy.

W ten sposób, skutkiem stanowiska Lelewela, rewolucja wypuszczała z rąk swoich zdobycz, która posiadała wartość wręcz nieocenioną.

A w tym samym czasie, gdy delegaci Rady Administracyjnej zawierali układ z Konstantym, tłumy ludu na wezwanie organizatorów Towarzystwa Patrjotycznego ciągnęły manifestacyjnie do sal redutowych. Śród manifestantów znaleźli się rzemieślnicy, uczniowie, studenci, profesorowie, deputowani różnych oddziałów wojska, uczestnicy wszelkich spisków i stowarzyszeń tajnych, słowem, wszyscy, których oburzało postępowanie istniejącej władzy. A wszyscy przyszli uzbrojeni w karabiny, pałasze, pistolety, przyszli groźni, ożywieni zapałem i zdecydowaniem. Sale redutowe okazały się za szczupłe, więc lud wypełnił dziedziniec i plac Krasińskich.

Ci zaś, co przyszli wcześniej i dostali się do wnętrza, zajęli najobszerniejszą salę, w środku jej ustawili podłużny stół, który miał służyć za trybunę, i czekali sygnału, by zerwać

się jak burza i jak burza spaść na Radę Administracyjną, ów rząd nieudolny, który nie umiał odgadnąć życzeń narodu, i z despotą, gotowym oddać się na łaskę i niełaskę rewolucji, prowadził nieszczęsne układy. Wieści o tych układach podniecały wzburzenie. Tłum wrzał. Lecz oto na trybunie zaczęli ukazywać się mówcy i spowiadać się ze swoich uczuć szczerze, otwarcie, po bratersku. Po raz pierwszy od wielu lat lud warszawski odczuł rozkosz swobody. Słowa nabierały dźwięku i barwy, a pod ich wrażeniem rósł w piersi słuchaczów entuzjazm. Każdy gorętszy wyraz witano na znak zgody szczękiem szabel i błyskaniem bagnetów, każdy śmiały wniosek przyjmowano rozgłośnemi okrzykami zapału.

Pomiędzy innymi ukazał się na mównicy Mochnacki i w ognistych słowach odmalował obecne położenie, a w końcu swej mowy, słuchanej śród skupionej ciszy, zaproponował zgromadzonym, by wysłali deputację do Rady Administracyjnej i w imieniu klubu zażądali:

1. aby się Rada Administracyjna rozwiązała,
2. aby Rząd Tymczasowy natomiast był postanowiony, wreszcie,
3. aby generał Chłopicki natychmiast otrzymał rozkaz uderzenia na wojska w. księcia.

Propozycje te przyjęto z zapałem, uzupełniono je tylko nowemi żądaniami, a mianowicie, aby dowódcy wojska, którzy się jeszcze z powstaniem nie połączyli, ogłoszeni byli za zdrajców ojczyzny, aby obywatele powołani zostali do urządzania powstań w całym kraju, wreszcie żądano od Rady Administracyjnej, gdyby się rozwiązać nie chciała, aby przyjęła do swego grona kilku członków klubu, których sam klub wskaże.

Na zebraniu tem padło jeszcze z ust Mochnackiego doniosłe hasło, mogące w razie urzeczywistnienia go przeobrazić z gruntu powstanie, nadać mu siłę i rozpęd niepowstrzymany.

Oto Mochnacki zawołał w uniesieniu, że nie w Warszawie z Konstantym, lecz z Wilna z Mikołajem układać się należy. Znaczyło to, że powstańcy powinni ruszyć naprzód, opanować Litwę, zagarnąć jej stolicę i, rozszerzywszy teren powstania, a stworzywszy siłę, postawić swoje nieodmienne żądanie połączenia Królestwa z Litwą i całkowitej niezależności.

Hasło to, jak wiele innych, przyjęto z zapałem, ale doniosłość tej myśli dopiero poniewczasie zrozumieli wszyscy.

Mochnacki narazie nie rozwijał swej myśli, bo chwile były drogie i działać należało szybko. Streszczono w ośmiu punktach żądania klubu i, zgodnie z wnioskiem Mochnackiego, wybrano deputację.

Delegowani opuścili salę i skierowali się do gmachu bankowego, w którym obradowała Rada Administracyjna. Za deputacją wyruszyli wszyscy zgromadzeni w salach, na placu Krasińskich przyłączył się do tego orszaku lud uliczny, i olbrzymie tłumy, szumne i gwarne, a groźne, jak wzburzone wody, popłynęły na plac Bankowy.

Członkowie Rady zastanawiali się właśnie nad pomyślnym w ich oczach wynikiem układów z w. księciem, gdy wtem w przyległych komnatach rozległ się hałas i wkrótce potem przez drzwi, otwarte przemocą, wtargnęła na salę obrad rządowych deputacja klubu, wtargnęła zbrojna, harda, wyzywająca.

Na widok kilkunastu śmiałków o pałających oczach i rozgorzałych twarzach stropili się członkowie rządu i zerwali się z krzeseł, by stawić czoło napastnikom.

Zapytano deputacji, czego żąda. Rozpoczęły się pertraktacje, ale gdy pierwsze słowa, wypowiedziane miękko przez delegowanych, nie uczyniły wrażenia, wysunął się naprzód Mochnacki i głosem silnym, namiętnym odczytał żądania klubu.

Ks. Czartoryski, człowiek łagodny i spokojny, starał się

uspokoić porywczego młodzieńca. W słowach uprzejmych zaczął on tłumaczyć, że żądania klubu niemożliwe są do przyjęcia, gdyż właśnie w. ks. Konstanty obiecuje puścić w niepamięć wszystko i wszystko przebaczyć.

Znaczyło to, że wszystko powrócić ma do dawnego stanu, a kto znał w. księcia, ten łatwo mógł przewidzieć, jak straszne będzie jego przebaczenie. Nie o takim końcu myśleli rewolucjoniści. Więc deputacja ze zdumieniem spojrzała po sobie, a Mochnacki, w którym gniew wzbierał, wybuchnął uniesieniem.

— To są żarty, mości książę! — zakrzyknął. — My nie powstaliśmy dla przyjmowania łask w. księcia! Niechaj tedy rząd nie gra komedji, która bardzo tragicznie zakończyć się może albo dla powstania, albo dla jego nieprzyjaciół!

Groźne pomruki ludu, zgromadzonego przed bankiem, dodawały tym słowom znaczenia i siły. Przerazili się członkowie Rady i oświadczyli klubistom, że rząd rozważy ich żądania.

Deputacja odeszła i zaniosła odpowiedź ludowi, a członków Rady Administracyjnej ogarnęło wielkie pomieszanie. Zrozumieli oni, że stracili już powagę, i przekonali się nareszcie, że układy z w. księciem do niczego nie doprowadzą. A nazajutrz, gdy do stolicy przybył generał Szembek i, przyszedłszy na posiedzenie klubu, oświadczył, że za chwilę brygada jego wejdzie do miasta, by wesprzeć rewolucję, Rada Administracyjna całkiem straciła głowę. Jeden Lubecki zachował przytomność. Zrozumiał on, że, chcąc stłumić powstanie, trzeba przynajmniej czas jakiś płynąć z falą, a jednocześnie budować tamy, o któreby się ta fala rozbiła doszczętnie. W tym duchu postanowił działać. Obawiając się nowego najścia na rząd, przekonał swych kolegów w Radzie, że trzeba choć na bardzo krótko wprowadzić do niej kilku członków klubu, uprzedzić w ten sposób przygotowywany

napad, a później, odzyskawszy władzę, zaprowadzić spokój i czynić to, co wskażą wypadki.

Tymczasem przybycie pułku Szembeka, pierwszego generała, który jawnie bratał się z powstaniem, dodało ducha rewolucji. Więc gdy rozeszła się wieść, że w. książę przemocą zatrzymuje pozostające jeszcze przy nim oddziały wojska polskiego, wzburzenie ogarnęło tłumy. Wzrastał gniew przeciw niedołężnej władzy i w. księciu. Na placu Bankowym licznie zgromadził się lud i chciał przemocą wtargnąć do gmachu, w którym obradowały władze rządowe. Wtedy to ktoś krzyknął, by odbić zatrzymywanych przez w. księcia żołnierzy. Na ten okrzyk zakotłował się tłum i, hucząc, jak spieniona fala, pomknął w kierunku rogatek mokotowskich. Z tłumem połączył się pułk Szembeka. Generał Chłopicki, widząc, na co się zanosi, dosiadł konia i wraz z Szembekiem ruszył na czele wojska, by wpływem swoim nie dopuścić do starcia. Popularny generał jechał ponury, jak noc, zżymał się, gniewał, klął wszystkich i wszystko. Ale otaczał go lud radosny, szczęśliwy i pchał na obóz carewicza.

Na szczęście dla Konstantego, wojsko, które stało przy nim, nie czekając zezwolenia, w tym samym czasie z własnego popędu ruszyło ku Warszawie. W ten sposób w alejach Ujazdowskich nastąpiło spotkanie. Powracających do stolicy żołnierzy powitały grzmiące okrzyki ludu, poczem zgromadzone tłumy wraz z wojskiem ruszyły powrotną drogą ku śródmieściu. Na ten widok szał radości ogarnął ludność Warszawy. Rzucano się ku wojsku, rozrywano szeregi i ściskano żołnierzy śród entuzjastycznych wybuchów radości.

— Niech żyje wojsko polskie! — krzyczano na wszystkich ulicach. Huczały radośnie bębny, grzmiała muzyka wojskowa, wszędzie widniał zapał i radosne wzruszenie przelewało się z krańców w krańce stolicy.

A w. książę, opuszczony przez wojsko polskie, rozpoczął

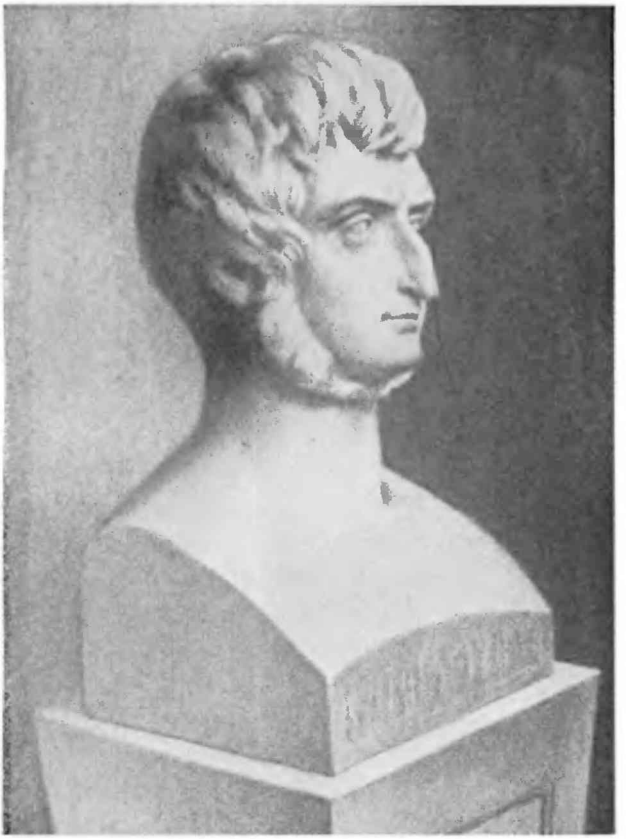

MAURYCY MOCHNACKI

ze swą gwardją odwrót ku granicom Litwy. I teraz władze nie uczyniły żadnego wysiłku, aby go zatrzymać, jako jeńca, a gwardję jego rozbroić. Powstanie powodowało się w stosunku do tyrana Polaków jakąś źle zrozumianą wspaniałomyślnością, za którą później srodze trzeba było zapłacić. Tymczasem Konstanty nawet w takiej chwili rozmyślał o zemście. Oto przed opuszczeniem Warszawy rozkazał wydostać z lochów więziennych Walerjana Łukasińskiego i skutego łańcuchami poprowadził za sobą.

Nieszczęsny bohater doczekał się chwili, o której marzył całe życie, lecz w jakichże warunkach, w jakiej nędzy i w jakiem opuszczeniu znajdował się w tym momencie!...

A gdy w. książę ustępował z Królestwa i w głąb Rosji wlókł ofiarę swej zemsty, Warszawę na wieść o tem, że Konstanty wraz z gwardją swobodnie uchodzi, nowe ogarnęło wzburzenie. Domagano się głośno zatrzymania w. księcia, rozbrojenia jego gwardji i natychmiastowego rozpoczęcia wojny. Ale rząd najmniejszej na to nie zwracał uwagi. Klubowcy, powołani do Rady Administracyjnej, nie mogli nic zdziałać, bo Rada się rozwiązała, powoławszy przedtem do życia Rząd Tymczasowy, w którym dla członków klubu nie było już miejsca. Ten nowy rząd, równie jak Rada Administracyjna umiarkowany, postępował oględnie, a najważniejszym jego czynem było zwołanie na dzień 18 grudnia Sejmu, który o dalszych losach powstania miał zadecydować.

Krok ten był o tyle rewolucyjny, że, stosownie do konstytucji, jedynie królowi przysługiwało prawo zwoływania Sejmu.

A jednocześnie z utworzeniem nowego rządu zaczęły kursować po mieście pogłoski, że rząd ten trwać będzie bardzo krótko, że niebawem ogłoszona zostanie dyktatura, t. j. władza nieograniczona, skoncentrowana w rękach jednego człowieka.

Dyktatorem, jak niosła wieść, miał zostać generał Chłopicki.

Generał ten, sławny i głośny, cieszył się ogromną popularnością. Z powodu zatargów z w. ks. Konstantym opinja rewolucyjna zdawna uważała go za przyszłego naczelnika zbrojnych sił powstańczych. Opinja była w błędzie. Chłopicki należał do najzawziętszych przeciwników powstania i w pomyślny wynik walki z Rosją nie wierzył. Wybuch listopadowy traktował, jak opłakaną burdę, a sprawców jego lżył głośno. Tymczasem publiczność warszawska na widok sławnego generała wpadała w zachwyt, witała go szmerem uznania i, wierząc święcie, że on poprowadzi naród do zwycięskiego boju, gotowa była z zapałem oddać się jego nieograniczonej władzy. Generał zżymał się na te dowody uznania, ale ostatecznie gotów był je wyzyskać, by twardą ręką żołnierską zaprowadzić ład w stolicy, wyjednać u cesarza przebaczenie dla sprawców nocy 29 listopada, a potem uśmierzoną Warszawę oddać Mikołajowi.

Jeden Mochnacki, najprzenikliwszy człowiek swego czasu, przejrzał te zamiary i postanowił odsłonić je wobec narodu. W tym celu zamierzał podburzyć klub, wskazać publiczności wszystkie błędy Rządu Tymczasowego i powiedzieć patrjotom, czem grozi dyktatura w rękach Chłopickiego. Wypuszczenie w. księcia z Warszawy, co było głównie winą Chłopickiego, jako naczelnego wodza wojsk polskich, pozwalało się spodziewać, iż rzecz pójdzie łatwo i gładko.

Ale Towarzystwo Patrjotyczne miało potężnego wroga. Był nim minister Lubecki. Pod wpływem manifestacji, wywołanej przez klub, książę Lubecki musiał się zrzec zasiadania w rządzie i zaniechać akcji pojednawczej. Panowanie rewolucji nie dogadzało jego widokom. Widząc, że Towarzystwo Patrjotyczne jest głównem siedliskiem rewolucji, postanowił klub rozpędzić i wywołać przeciw jego założycielom

oburzenie w mieście. W tym celu dnia 3 grudnia posłał na posiedzenie swoich zwolenników, klientów, protegowanych, a wszystkich natchnął jedną i tą samą myślą.

Tegoż dnia Maurycy Mochnacki przyszedł na posiedzenie klubu, by zachwiać Rządem Tymczasowym i obwieścić stolicy intencje Chłopickiego.

Nie przeczuwając, co się święci, Mochnacki wszedł śmiało na mównicę i w płomiennej mowie krytykował rząd, a mówiąc o jego członkach, noszących znane nazwiska, wołał:

— Nie ufajmy imionom historycznym, nie ufajmy żadnej wziętości, żadnej zasłudze. Generał Chłopicki nie dopełnia swego obowiązku.

Chłopicki cieszył się ogromną popularnością, a słowa Mochnackiego były dostatecznym powodem, by masy szczerze przeciw mówcy oburzyć. Zwolennicy Lubeckiego wmig zorjentowali się w sytuacji i straszny podnieśli tumult. Rozległy się okrzyki protestu i sykania.

Ale Mochnacki nie zważał na to i dalej ciągnął swą mowę. Słowa jego, niby rozżarzone głownie, spadały na głowy wzburzonych słuchaczów. Temperatura zgromadzenia stała się gorąca. Podniecenie obu stron rosło. A im głośniej przeciw mowie protestowano, tem goręcej wybuchał Mochnacki, tem namiętniej wołał, by tłumy zaatakowały Rząd Tymczasowy i, zmiótłszy go z widowni, powstańczą utworzyły władzę. W pewnym momencie, krytykując bezczynność Chłopickiego, zawołał na całą salę:

— Mości panowie!... Chłopicki zdradza rewolucję!...

Po tych słowach wszczął się piekielny hałas. Sala miotała w śmiałka gradem wyzwisk i obelg. Oficerowie, obecni na zebraniu, dobyli szabel i posuwali się przez zwarty tłum ku trybunie, by rozsiekać zuchwałego młodzieńca.

— Zginiesz! zginiesz! zginiesz! — wołali szczerze oburzeni zwolennicy Lubeckiego. Na szczęście, w zamieszaniu po-

gaszono światła — i Mochnacki, korzystając z ciemności, wymknął się przy pomocy garstki przyjaciół na dziedziniec i cało uniósł swą głowę.

Nazajutrz Warszawa z oburzeniem mówiła o klubie, a Mochnackiego szukano po mieście, by go rozsiekać lub powiesić. Tymczasem Mochnacki próbował jeszcze ratować sprawę i zamachem na głowę Lubeckiego wyrwać powstanie z rąk ludzi, którzy temu powstaniu byli przeciwni i czynili wszystko, aby w samym zarodku je stłumić. Ale opuszczony przez przyjaciół, przerażonych zajściem wczorajszem, musiał dać za wygraną i, ratując własne życie, przyjąć gościnę u ks. Lubeckiego, tegoż samego ministra, którego szczerze pragnął rozstrzelać.

W ten sposób zeszedł z widowni Mochnacki, a wraz z nim zginęła i myśl rewolucyjna w stolicy i aż do końca powstania nie miała już się odezwać tak doniosła i gromka, a tak trafnie ogarniająca cel polityczny rewolucji.

Po upadku Mochnackiego klub nie śmiał już podnieść głowy — i wypadki potoczyły się dalej bez udziału tych, co w pamiętną noc 29-go listopada podnieśli sztandar buntu i naród wezwali do broni.

Dnia 5 grudnia Chłopicki zdecydował się na krok stanowczy. Na jego rozkaz pomiędzy godz. 3 a 4 po południu zebrały się wojska polskie na placu Broni i, okrążone olbrzymim tłumem ludu, czekały na zjawienie się generała. Chłopicki przyjechał konno, ubrany w paradny mundur generalski, otoczony wspaniałym i błyszczącym sztabem. Ukazanie się tego przepysznego orszaku wzbudziło zapał zebranych. Rycerska postawa Chłopickiego, pewność siebie, bijąca od całej postaci, marsowata mina i wzrok jasny, ognisty, niesłychanie podobały się tłumom. Patrząc na tę wspaniałą postać, wszyscy myśleli o sławnych czynach wojennych generała, o je-

go bohaterstwie, odwadze — i, myśląc o tem, oddychali z ulgą.

W owej chwili zjawił się Chłopicki, jak bóg wojny, dzierżący w swem ręku tajemnicę zwycięstwa.

Więc przywitano go okrzykami radości. A gdy odezwały się orkiestry pułkowe i huknęły w niebo melodje znanych pieśni patrjotycznych, gdy hymn „Jeszcze Polska nie zginęła" rozbrzmiał w powietrzu, wtedy jakaś miękka i ciepła fala rozlała się po tłumach i uniesienie rzewne, lecz radosne wszystkie ogarnęło serca. Oczy tłumów śledziły Chłopickiego, jak gwiazdę nadziei, która zaświeciła żywiej.

A on kłaniał się z powagą na wszystkie strony, dziękował ludowi za zaufanie, wreszcie rozkazał sformować się wojsku i rozpoczął jego przegląd. Przejeżdżając przed frontem, zatrzymał się na chwilę przed podchorążymi, pochwalił ich zapał, męstwo, patrjotyzm, dziękował później oficerom i żołnierzom za piękny wygląd i postawę armji, a objechawszy szyki, zwrócił się do ludu i wojska i potężnym głosem zawołał, że chwila wymaga władzy sprężystej i silnej, wobec czego postanowił ogłosić się dyktatorem. Poczem pytał, czy lud i wojsko nic przeciwko temu nie ma.

Pytanie to nowy obudziło zapał.

— Niech żyje dyktator! — wołano jednogłośnie.

— Niech żyje ojczyzna! — odpowiadał Chłopicki i, słowami temi zakończywszy uroczystość, skierował się wraz ze świetnym sztabem ku Warszawie, unosząc ze sobą nieograniczoną władzę i nadzieję niechybnego zwycięstwa.

Przeprowadzały go orkiestry pułkowe pieśnią narodową. Usta tłumów szeptały błogosławieństwa, a w roziskrzonych oczach tłumu błyszczały łzy radosnego wzruszenia.

IV.

DYKTATURA. SEJM. RZĄD NARODOWY

Niestety, była to radość przedwczesna. Chłopicki nie tylko nie myślał o zwycięstwie, ale wogóle nie chciał do walki dopuścić. Ten sławny generał napoleoński, świadek strasznej klęski, poniesionej w Rosji przez Napoleona w r. 1812, przesadzał potęgę armji rosyjskiej, a nie doceniał sił polskich. Wprawdzie były one nieznaczne, bo w chwili wybuchu wojsko polskie liczyło w szeregach około 40.000 ludzi. Ale do armji należały rezerwy, a kraj posiadał zasoby, mogące, jak się to wkrótce okazało, dostarczyć i ludzi, i sprzętów wojennych. Wykorzystawszy zapał, obudzony rewolucją, a działając szybko i energicznie, można było niebawem podnieść liczbę wojsk polskich do 100.000 żołnierza i kraj cały porwać do czynu.

Zalety i świetna przeszłość generała pozwalały się spodziewać po nim takich rezultatów.

Ale ten stary wojak, który karjerę wojskową rozpoczął jeszcze w powstaniu kościuszkowskiem, a potem walczył w legjonach pod Dąbrowskim i Kniaziewiczem, wreszcie zasłynął podczas wojen w Hiszpanji, nie wierzył w powodzenie. On, który w ogniu bitwy dokonywał rzeczy niepodobnych, przestał wierzyć nawet w rzecz możliwą.

Przyczyną tego była niewątpliwie przeszłość Chłopickiego. Pochodził on z drobnej szlachty, osiadłej na Wołyniu, a wrażliwej na nieszczęścia kraju. Niegdyś, za lat młodzieńczych, płomień uniesienia patrjotycznego kazał mu opuścić dom rodzinny i zaciągnąć się w szeregi powstańcze Kościuszki, a później z bronią w ręku przebiegać dalekie kraje i pod obcem niebem walczyć za ojczyznę. Wsławił się w tych walkach, rozgłosił szczególnie swe imię w wojnie z Hiszpanją, dosłużył się rangi generalskiej, ale smutne przejścia, porażki i klęski lat ostatnich wyziębiły duszę generała, zatruły ją jadem goryczy, przepełniły niewiarą i zniechęceniem.

Po utworzeniu Królestwa Kongresowego Chłopicki wstąpił do wojska polskiego w randze generała dywizji. W. książę krzywem okiem spoglądał na sławnego generała, a Chłopicki żywił dla w. księcia pogardę. Niejednokrotnie dochodziło między nimi do zatargów. Opowiadano, że pewnego razu podczas parady na placu Saskim, w. książę rozkazał swemu adjutantowi, aby zwrócił Chłopickiemu uwagę, że maszeruje niewłaściwym krokiem.

— Powiedz w. księciu, — odparł Chłopicki — że tym krokiem zaszedłem do Moskwy.

Znienawidziwszy Konstantego i nawzajem przez niego znienawidzony, Chłopicki podał się do dymisji. Nadaremnie zabiegał Konstanty, by generał cofnął swe podanie. Chłopicki zawziął się i pomimo osobistej interwencji Aleksandra dotąd domagał się dymisji, aż mu jej udzielono. Od tej chwili opinja kraju widziała w nim gorącego patrjotę, a rewolucjoniści uważali go za swego. Tymczasem Chłopicki odsunął się od spraw wszelkich i, szpiegowany nieustannie, żył cichem życiem prywatnem, w przekonaniu, że należy kontentować się tem, co jest, i nigdy już nie marzyć o walce.

W starym żołnierzu wygasł doszczętnie zapał wojenny, zgryźliwość i cierpkość zalały mu duszę.

Wypadki pamiętnej nocy listopadowej oddziałały na niego w ten sposób, że ukrył się w mieście, nie chcąc wiedzieć o niczem. Ale wysłańcy Rady Administracyjnej dotarli do jego kryjówki i wymogli na nim, że przyszedł na posiedzenie. Od tej pory Chłopicki, ulegając namowom i perswazjom, obejmował kolejno władzę, jaką mu niemal gwałtem narzucano, i wbrew własnej woli wysunął się na widownię, jako osoba najwidoczniejsza.

W ten sposób doszedł aż do władzy dyktatorskiej, władzy tak wielkiej, jakiej dawno żaden Polak nie miał. A stanowisko to zawdzięczał woli najwyższych dygnitarzy Królestwa, woli wojska i ludu. Opinja otaczała go blaskiem chwały, patrzała w niego, jak w słońce. Wystarczył jeden gest, aby skupić wkoło siebie setki i tysiące ludzi, gotowych na wszystko, wystarczyła jedna śmiała odezwa, aby wszystkie ziemie dawnej Rzeczypospolitej natchnąć duchem powstańczym i wiarą w powodzenie sprawy, tą straszną wiarą, co wznieca pożar uniesienia, i jeśli potrzeba cudów, to czyni cuda.

W takich warunkach dużo można było dokonać.

Lecz Chłopicki nie wierzył w siebie i tę niewiarę przenosił na cały naród. Zamiast wezwania do czynów, na które z taką niecierpliwością czekano, dyktator robił ze swej strony wszystko, aby kraj pogrążyć w niemocy. Ten nieszczęsny człowiek wyobrażał sobie, że jedynie układy z Petersburgiem mogą odwrócić od kraju czekającą go klęskę. Było to jego głębokie przekonanie, a więc możnaby je wybaczyć, na nieszczęście jednak, Chłopicki wyobraził sobie, że wszelki odruch zbrojny uczyni układy niemożliwemi. I to był jego błąd największy. Albowiem nie mogło ulegać kwestji, że, chcąc pertraktować z Petersburgiem, należało czem prędzej tworzyć siłę, bo tylko od niej zależał wynik układów, bo było rzeczą jasną, że z bezsilnymi nikt się układać nie zechce, że przed-

stawienia słabych spotkać może jedynie pogarda mściwego cara.

Tymczasem do Petersburga udał się ks. Lubecki wraz z posłem Jezierskim. Obaj mieli dotrzeć do Mikołaja, przedstawić mu warunki, mogące kraj uspokoić, a zarazem prosić cara o wstrzymanie kroków wojennych.

Jednocześnie dyktator do stolicy nad Newą wysłał na przeszpiegi podpułkownika Wyleżyńskiego, którego darzył osobistem zaufaniem. Oczekując na wiadomości od swego wysłańca, pogrążył się w bezczynnem rozmyślaniu. Otoczeniu okazywał twarz chmurną, młodzież, zgłaszającą się do niego, a pragnącą powiększyć szeregi narodowe, odprawiał z niczem. Długi czas nie chciał zezwolić na nowe uzbrojenia, a gdy wreszcie zezwolił na nie pod wpływem nieustannych nalegań, to wydał takie zarządzenia, że powiększanie armji odbywało się jakby pokryjomu, szło ciężko, powoli.

W taki sposób marnowały się pierwsze tygodnie powstania i, jak to zwykle bywa, zapał ludności, wielki w pierwszej chwili, nie znajdując ujścia, przeradzał się pod wpływem chłodu Chłopickiego w niepokój i zwątpienie.

I mijał dzień za dniem, niepewny i ponury, jak twarz dyktatora.

Przed 18 grudnia, zgodnie z zarządzeniem Rządu Tymczasowego, zaczęli się zjeżdżać do Warszawy posłowie.

Mimo widocznej szkody, jaką Chłopicki wyrządzał powstaniu, wiara w niego była tak wielka, że przed otwarciem Sejmu deputacja poselska prosiła generała, aby nadal zatrzymał władzę dyktatorską. Chłopicki wzdragał się, odmawiał, wkońcu przecież uległ życzeniu posłów. Ponieważ jednak chciał przedstawić Sejmowi swoje projekty, których opracowanie wymagało dłuższego czasu, prosił więc deputację, aby rozpoczęcie obrad odroczono na trzy dni.

Wbrew temu życzeniu Sejm, uważając, że zbyt wiele wy-

maga Chłopicki, rozpoczął swe czynności w dniu oznaczonym, t. j. 18 grudnia.

Izba poselska zebrała się w nastroju uroczystym, jednogłośnie uznała powstanie za dzieło narodowe, a mężom, co je rozpoczęli z tak wielkiem poświęceniem i męstwem, wyraziła wdzięczność.

Poczem posłowie wydali kilkakrotne okrzyki za pomyślność ojczyzny i na cześć sprawców pamiętnej nocy 29 listopada.

W ten sposób Izba poselska połączyła się z rewolucją i odtąd losy swoje związała z losami powstania.

Po tym akcie Izba przystąpiła do obrania marszałka, t. j. przewodniczącego obradom. Na stanowisko to powołany został Władysław hr. Ostrowski, poseł piotrkowski, człowiek zacny, przystępny i uczynny, a dla tych zalet powszechnie lubiany. W zwykłych warunkach, w czasach pokoju mógł świetnie wypełnić swe obowiązki, ale na to, by przewodniczyć Izbie podczas chwil burzliwych, by sterować rozhukanemi namiętnościami w momentach silnego wzburzenia, był za miękki i za uległy. Jednakże trzeba mu przyznać, że patrzał na rzeczy trzeźwiej, niż wielu jego kolegów, powstaniu sprzyjał i wedle swych sił a możności starał się zapewnić mu powodzenie.

Ostrowski, obrany jednomyślnie marszałkiem, podziękował za uczyniony mu zaszczyt, poczem przemówił w te słowa:

— Bodajby w tak świetnych widokach rozpoczęte nasze narady jak najpomyślniejszym skutkiem uwieńczone zostały, a skład Izby bodaj powiększony został braćmi-reprezentantami z tych prowincyj polskich, które pod obcą zostają przemocą.

Tak więc marszałek doskonale uchwycił myśl powstania i głosem, rozlegającym się w Izbie poselskiej, a więc głosem na kraj cały i Europę słyszalnym, wyjawił intencje rewolucji.

Na wniosek Ostrowskiego posłowie wzięli na siebie wszelkie wydatki, które skarb łożył na utrzymanie Izby, a nadto ofiarowali znaczne sumy na potrzeby powstania.

Poczem Izba poselska połączyła się z Senatem, który zatwierdził jej uchwały i, podobnie jak Izba, wyraził chęć oddania sił swoich na usługi powstania.

W dziejach Sejmu rewolucyjnego był to dzień najpiękniejszy. Wprawdzie Sejm, utworzony na zasadach nadanej przez Aleksandra konstytucji, a wyraźnie postępowaniem swojem zasady te gwałcący, tracił podstawy istnienia, ale zebrawszy się po to, by zatwierdzić dyktaturę, której naród pragnął, uczynił, co do niego należało. I sesja sejmowa w d. 18 grudnia zrobiła swoje. Połączenie się ze sprawcami 29 listopada podniosło ducha powstania, a ofiarność posłów dobry dała przykład. Posypały się na rzecz powstania ofiary. Nie tylko stolica, ale miasteczka i wsie żywy udział wzięły w ich składaniu. Włościanie, nie mając pieniędzy, dawali bydło i zboże, mieszczaństwo, zorganizowane w cechy, nadsyłało wraz z pieniędzmi puhary, kubki złote i srebrne, kobiety oddawały swe kosztowności, a młodzież garnęła się do szeregów.

Iskry powstania, zduszone przez Chłopickiego, zatliły się znowu i jaśniejszym strzeliły płomieniem.

Dyktator widział ten zapał. Wyjeżdżając do Modlina, by odbyć przegląd robót fortecznych, spotykany był przez tłumy włościan, które witały go z radością i oświadczały swoją gotowość do walki. Wystarczyło do tych tłumów wyciągnąć rękę braterską i jaśniejszą zapewnić im przyszłość, aby całą Polskę opasać wałem obronnym, jak skała mocnym i nieskruszonym. Ale Chłopicki nie miał w sobie nic z Kościuszki. Zimna twarz dyktatora nie wzbudzała podnioślejszych uczuć. Zdawałoby się, że przynajmniej postawa Sejmu w dniu 18 grudnia pobudzi Chłopickiego do czynu.

Jeszcze był czas!

Wtargnięcie na Litwę, ten kierunek, który powstaniu wskazywał Mochnacki, a o którym później w Izbie poselskiej mówił marszałek Ostrowski, musiało pociągnąć za sobą bardzo doniosłe dla powstania skutki. Było wszelkie prawdopodobieństwo, że ten krok zjedna powstaniu korpus litewski, w którym służyło wielu oficerów Polaków. Nadto nie ulegało kwestji, że wojska polskie, wkroczywszy na Litwę, pozwolą Królestwu Kongresowemu swobodnie organizować swe siły i zasoby, samo zaś zajęcie Litwy nada powstaniu charakter rozległy, postawę groźną i zastraszającą.

Ani myślał o czemś podobnem dyktator! Zachowanie Królestwa Kongresowego z nadanemi mu przez Aleksandra prawami, to było wszystko, do czego dążył. Dalej myślą swoją nie sięgał, a względem żądań, co myśl tę wyprzedzały, zachowywał się wrogo.

Chłopicki uczuł się dotkniętym, że Sejm, wbrew jego życzeniu, nie odroczył obrad, a na wieść o powziętych przez obie Izby uchwałach zapałał gniewem. Sejm przeciął w jego oczach możliwość układów z Mikołajem. To skłoniło dyktatora do uczynienia kroku stanowczego. Więc tegoż dnia jeszcze zawiadomił ks. Czartoryskiego, który przewodniczył w Senacie, i marszałka Ostrowskiego, że dyktaturę składa.

Ale wiara w Chłopickiego była tak silna, że członkowie Sejmu, idąc zresztą za głosem opinji, prosili na wszystko generała, aby władzę swą piastował nadal.

Chłopicki dał się ubłagać.

W ten sposób Sejm zakończył swoje czynności, a Chłopicki, pozostawszy dyktatorem, marnował dalej czas drogi i myślał o układach. Jego pokojowe usposobienie wzrosło jeszcze bardziej, gdy podpułkownik Wyleżyński wrócił z Petersburga i przywiózł ze sobą dwa listy ministra sekretarza stanu do spraw Królestwa, Grabowskiego. Jeden z tych li-

stów, pisany do prezesa nieistniejącej już Rady Administracyjnej, był pełen nagan i niemożliwych do wykonania rozkazów, w drugim Grabowski w imieniu cesarskiem dziękował Chłopickiemu za objęcie władzy i utrzymanie porządku, a zarazem żądał zaniechania dalszych uzbrojeń i skoncentrowania wszystkich wojsk polskich w województwie płockiem.

Ten list trafił dyktatorowi do przekonania.

Więc zwołał natychmiast utworzoną niedawno Radę Najwyższą Narodową i przed nią wyłuszczył swój pogląd. Ale Rada wypowiedziała się stanowczo przeciw zaniechaniu uzbrojeń i koncentrowaniu wojska. Mimo to Chłopicki nie poprzestał na tem oświadczeniu, lecz nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za wojnę, polecił Radzie zwołać na 17 stycznia Sejm, by ten tak ważną sprawę rozstrzygnął.

Ale jeszcze przed otwarciem Sejmu powziął niezłomne postanowienie niewszczynania wojny.

Na poufnej naradzie z posłami, gdy jeden z obecnych wyraził przekonanie, że Chłopicki niebawem rozpocznie kroki zaczepne, jeśli Sejm opowie się za wojną, generał odpowiedział, iż w tym wypadku złoży dyktaturę. Zapytano go, czy zostanie wodzem naczelnym.

— Nie, wodzem nie będę, bo nie chcę być pobitym — odparł Chłopicki.

Na te słowa poseł Jan Ledóchowski, człowiek z ognistym temperamentem, oburzył się i krzyknął:

— Musisz być wodzem, bo my ci rozkazujemy!

— Będę szelmą, — wybuchnął Chłopicki — jeżeli przyjmę dowództwo nad wojskiem.

I, wpadłszy we wściekłość, jął tupać, krzyczeć na posłów, a na drugi dzień zawiadomił Sejm, iż zrzeka się władzy dyktatorskiej.

Wieść o tem wzburzyła stolicę. Uwielbiany człowiek ru-

nął nagle z piedestału i ciż sami ludzie, co go wczoraj tam wznieśli, dzisiaj nie szczędzili mu obelg.

— Zdrajca! — wołano publicznie, myśląc o Chłopickim. A generał żżymał się, słysząc to straszne słowo, i fale nowej goryczy zalewały mu duszę.

Oto jak skończył rolę dyktatora człowiek, którego losy w tak szczęśliwem postawiły położeniu, w jakiem żaden wódz polski nie znajdował się nigdy.

Od tej pory sprawą powstania zaczął kierować Sejm, jako najwyższa władza narodowa.

Tak więc sprawa powstania przerzucała się z jednej ostateczności w drugą. Gdy zawiodły rządy jednego człowieka, sprawować je zaczęło ciało zbiorowe, z natury ciężkie i niezdarne, zwłaszcza w chwili, kiedy, zamiast radzić, trzeba było decydować szybko, działać błyskawicznie. Pierwszą najważniejszą uchwałą zebranego po raz drugi Sejmu było mianowanie wodza. Na stanowisko to wysunięto kandydaturę ks. Michała Radziwiłła. Nie miał on żadnych danych na wodza, ale śród generałów był jedynym, którego Chłopicki obiecał radą swą wspierać. Czy fantastyczny Chłopicki rad swoich w chwilach ważnych skąpić nie będzie, to mogło budzić poważne wątpliwości. Ale Sejm poprzestał na takiem zapewnieniu i w ten sposób stworzył dwóch wodzów: jednego, który nie czuł się na siłach dowodzić, drugiego, który dowodzić umiał i mógł, ale nie chciał. Zgóry można było przewidzieć, że tak postawiona sprawa nie da pomyślnych wyników.

Lecz zgromadzona na posiedzeniu sejmowem publiczność, nie zdająca sobie sprawy z braków Radziwiłła, a widząc w jego pochodzeniu litewskiem zapowiedź wtargnięcia na Litwę, przyjęła ogłoszenie wyboru wiwatami i rozgłośnym okrzykiem:

— Na Litwę! na Litwę!

Niebawem na rzecz Litwy i Rusi nowa odbyła się mani-

festacja. Przebywający w owym czasie obywatele z Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy założyli Towarzystwo pod nazwą Zjednoczonych Braci i Lelewela, którego imię olbrzymią sławą cieszyło się na Litwie, powołało na swego prezesa. A na kilka dni przed objęciem przez Lelewela prezesury, 24 stycznia przybyła do Izby poselskiej deputacja i w obecności zgromadzonych posłów uroczyście wręczyła adres Lelewelowi. Scena ta uczyniła potężne wrażenie, które wzmogło się jeszcze, gdy Lelewel, śród ciszy, zalegającej salę obrad, odczytał wręczony mu adres.

Adres domagał się, aby Sejm obwieścił światu, że wola i sprawa polska do Dźwiny i Dniepru jest jedna i nierozdzielna, że wszyscy Polacy składają jedną Polskę, że tedy Sejm w myśl takich wskazań winien postępować.

Lelewel, odczytawszy adres, wyraził nadzieję, że Sejm najpilniejszą uwagę zwróci na ujarzmionych Polaków, że wskrzeszona zostanie unja Korony z Litwą i Rusią, wreszcie, przejęty do głębi uroczystą chwilą, wykrzyknął ze wzruszeniem:

— Niech żyje Polska w odwiecznych swoich granicach!...

Zabiły żywiej serca obecnych i okrzyk, rzucony przez Lelewela, długo z zapałem powtarzali posłowie.

A na drugi dzień, d. 25 stycznia, Sejm uczynił krok nowy, równie wyraźnie zmierzający do wojny.

Tego pamiętnego dnia przed połączonemi Izbami sejmowemi stanął poseł Jezierski, ten sam, który jeździł do Petersburga, by nawiązać z Mikołajem układy. Wyjechał on z Warszawy pod wrażeniem panującej podówczas opinji sfer wyższych, które noc 29 listopada uważały za karygodne szaleństwo młodzieży. I zgodnie z tą opinją, którą sam podzielał, rzecz całą przedstawił Mikołajowi. Ale w ciągu ostatnich tygodni też same sfery zmieniły swój pogląd i Jezierski, stanąwszy przed Izbami, spotkał się z najżywszą niechęcią. Mo-

wy jego słuchano początkowo w milczeniu, lecz wkrótce gorętsi posłowie zaczęli przerywać ją okrzykami:

— Niegodnie! niegodnie! niehonorowo!...

Jezierski, nie zważając na to, mówił dalej i w zakończeniu swego sprawozdania przytoczył słowa, jakiemi pożegnał go Mikołaj. Słowa te brzmiały tak:

— Jeżeli Polacy uzbroją się przeciw mnie i staną w gotowości do walki z wojskiem pana swego, natenczas oni sami i wystrzał z ich armat obalą Polskę i sami staną się odpowiedzialnymi za nieszczęścia swojej ojczyzny.

W sali obrad silne zapanowało wzburzenie, a wzruszony marszałek Ostrowski powstał gwałtownie ze swego miejsca i zażądał, aby komisje przygotowały projekt do uchwały, któraby określiła stosunek narodu do dynastji. Marszałek powiedział nadto, że wobec usłyszanej dopiero co groźby trudno Mikołaja uważać za prawego monarchę Polaków.

Po Ostrowskim głos zabrał poseł Wołowski i, kończąc swe przemówienie, powiedział:

— Dziś jeszcze w obliczu Europy wyrzeczmy, że Mikołaj I przestał nad nami panować!...

Na te słowa zerwał się poseł Ledóchowski, ten sam, który w swoim czasie do wściekłości doprowadził Chłopickiego, i, kończąc dyskusję, donośnym basem ryknął na całą salę:

— Wykrzyknijmy więc wszyscy: niema Mikołaja!...

Jakiś dreszcz wstrząsnął zebranymi. Członkowie Sejmu, jak jeden mąż, powstali z ławek i razem z publicznością, natłoczoną na galerjach, jęli wykrzykiwać:

— Niema Mikołaja! Niema Mikołaja!...

W taki to sposób Sejm odpowiedział na groźbę, rzuconą narodowi ze stolicy nad Newą.

Po takiej odpowiedzi nie pozostawało nic innego, jak skupić wszystkie siły narodu i do krwawej a zaciętej szykować się walki.

ADAM CZARTORYSKI

W kilka dni po sesji detronizacyjnej Sejm wyłonił z siebie Rząd Narodowy, złożony z pięciu członków, a stąd pięciogłowym zwany. W rządzie tym zasiedli ks. Adam Czartoryski, jako prezes, oraz czterej posłowie: Wincenty Niemojowski, Teofil Morawski, Stanisław Barzykowski i Joachim Lelewel. Nowemu Rządowi Sejm przyznał władzę w tym zakresie, w jakim ją konstytucja przeznaczała królowi, ale zachował nad rządem władzę zwierzchniczą, jako instancja najwyższa, a zarazem postanowił nie przerywać swych obrad aż do końca powstania.

Nadto Sejm, chcąc uspokoić opinję monarchów w Europie, obawiających się, by powstanie w Polsce nie przekształciło się w rewolucję społeczną, wypowiedział się za monarchją konstytucyjną. W ten sposób stworzył monarchję bez monarchy, rządów bynajmniej postanowieniem swojem nie przeciągnął na stronę powstania, a stronnictwa ludowe i ich przywódców w Europie zachodniej postanowieniem tem zraził.

Ustrój nowego rządu nie odpowiadał potrzebom chwili. Rząd nie miał praw królewskich, bo te dzielił z Sejmem, nie posiadał władzy wykonawczej, bo ta należała do ministrów, których rząd mianował. Nie mógł jednakże mianować wodza, bo i wódz był członkiem rządu, a jeżeli zjawiał się na posiedzeniu, to posiedzenie powinien był opuszczać ten z członków rządu, który podczas wyborów otrzymał najmniej głosów. Członkiem tym był Lelewel. Nadto Sejm starał się, aby członkowie rządu reprezentowali główne zasady polityczne, które Sejm dzieliły na walczące ze sobą stronnictwa. Tak się też stało. Był więc rząd utworzony ze sprzeczności, a taka władza nie wróżyła nic dobrego na przyszłość.

Prezes nowego rządu, książę Adam Czartoryski, cieszył się w kraju dużą popularnością. Na kongresie wiedeńskim bronił spraw Polski, a Królestwo Kongresowe i nadana mu konstytucja w dużej mierze jego były dziełem. Jako kurator

okręgu naukowego wileńskiego położył niezapomniane zasługi. Owocną działalność jego przerwały intrygi Nowosilcowa — i Czartoryski usunął się w zacisze domowe. Był to człowiek ożywiony najlepszemi chęciami, łagodnego charakteru, miękki i uprzejmy w stosunkach z ludźmi, ale pozbawiony silnej woli i determinacji. Nie miał w sobie ducha bojowego, nie posiadał żadnej z zalet, które powinny zdobić naczelnika rządu powstańczego. W czasach spokojnych na każdem stanowisku mógł był się zasłużyć społeczeństwu, ale rządzić wtedy, gdy grzmiały armaty i nieprzyjaciel siedział na karku, gdy namiętności podniecone ścierały się ze sobą, gdy dla zwalczenia wroga trzeba było imać się wszelkich środków, wydobywać siły choćby z pod ziemi, wszystko wiedzieć i wszystko trzymać w karbach, a władzę swą uczynić postrachem dla tych, coby nieudolnością, intrygą lub zdradą osłabiali powstanie, słowem, rządzić w czasach rewolucyjnych, to przechodziło siły i zdolności Czartoryskiego. Pozbawiony wiary w możność zwycięstwa, przekonany o niezwalczonej potędze cara, niechętny powstaniu, przystępował do sprawowania władzy z sercem, przeniknionem smutkiem, z duszą rozdzieraną tysiącem wątpliwości. Podpisując akt detronizacyjny, wyrzekł z żalem do otaczających go posłów:

— Zgubiliście Polskę!...

Innym razem mówił:

— Gdyby Francja, Turcja lub Anglja nas wsparły, możeby coś niespodziewanego nastąpiło.

Bez obcej pomocy nie widział Czartoryski możności prowadzenia wojny z Rosją. Wahający się, niepewny jutra, pełen najlepszych chęci, ale bez wiary, aby jakiekolwiek środki mogły ocalić sprawę, od początku źle wróżył wielkiemu przedsięwzięciu, którem miał kierować.

Tak nastrojony był prezes Rządu Narodowego.

Niestety, nikt inny z członków powołanej przez Sejm wła-

dzy nie posiadał ani żelaznej woli, ani wiary w powodzenie sprawy.

Niemojowski i Morawski mogli odgrywać wybitną rolę w każdem zgromadzeniu parlamentarnem, ale na naczelników rewolucji nie posiadali potrzebnych przymiotów. Uparci, z głowami, nabitemi teorjami konstytucjonalizmu, formaliści i z formalistyki czyniący zasadę, nawet w powstaniu nie umieli od tej zasady odstąpić. Myśleli nieustannie o tem, aby postępować legalnie i całą rewolucję przyoblec w szaty legalności.

Stanisław Barzykowski, poseł ostrołęcki, słynął ze swej wymowy i wymowie tej wyniesienie swoje zawdzięczał. Chciał być dobrym i użytecznym Polakiem, ale jako człowiek przeciętny nic poza przeciętnością do rządu nie wnosił. Wierzył święcie w ks. Czartoryskiego, w razach spornych zawsze trzymał jego stronę, był wiernym sprzymierzeńcem księcia i wiernem jego echem. Zarozumiały, przekonany o swoim rozumie, stał się napuszoną a szkodliwą dla sprawy miernotą.

I wielki uczony Joachim Lelewel, patron młodzieży, która go wielbiła i kochała, jako profesora, przewodnika i wyobraziciela przekonań demokratycznych, nie miał danych na męża stanu i kierownika rewolucji. Znakomity profesor mógł w czasach pokoju stać się wychowawcą nie tylko młodzieży, ale całego narodu, natomiast nie był zdolny do bezpośredniego czynu. Kolegom w rządzie nie umiał narzucić swych planów, a patrząc na ich działania krytycznie, nie chciał się do nich stosować. Przechylając się na stronę rewolucjonistów, był w rządzie osamotniony. Nieustannie podejrzewali go koledzy o tajemne knowania i zamachy, o kopanie pod nimi dołków. Lelewel nie był zdolny do żadnego zamachu. Ale chwiejnem, nieraz dwuznacznem postępowaniem osłabiał powagę władzy. Gorący patrjota, uczony o potężnej wiedzy, umysł niezwykły, obywatel bezinteresowny, w życiu nad po-

dziw skromny, nie miał wzroku, przeszywającego mroki przyszłości, nie posiadał energji życiowej, nie umiał się zdobyć na decyzję stanowczą i szybką, nie potrafił wykrzesać z siebie woli, którą mógłby narzucić otoczeniu. Związany z obozem rewolucyjnym, przyjął prezesurę Towarzystwa Patrjotycznego, które walczyło z rządem, a więc i z nim samym. Lelewel, chcący wytworzyć jedność z różnolitych żywiołów, wpadł w matnię, z której do końca już wybrnąć nie zdołał. Naraził się Sejmowi, nieufność obudził w Rządzie Narodowym i stracił zaufanie młodzieży, która uważała go za głównego twórcę rewolucji i wodza rewolucji pragnęła w nim widzieć.

Tak więc rząd powstańczy składał się z ludzi, którzy nie posiadali ducha rewolucyjnego i temperamentu powstańców.

A na czele wojsk polskich stanął generał bez własnego zdania i własnego na wojnę poglądu, wódz nieudolny, obiecujący sobie słuchać we wszystkiem Chłopickiego, który wojny nie chciał, w zwycięstwo nie wierzył, a nieraz mówił do otoczenia, że gotów jest raz jeden „wykropić się porządnie" dla ocalenia „honoru wojskowego", lecz ostatecznie przewiduje klęskę.

Pod złą wróżbą rozpoczynała się walka.

Trzeba jednak dodać, że Rząd Narodowy w pierwszych swych chwilach wykazał sporo dobrej woli i energji. Zaciągi zaczęły się odbywać regularniej, uzbrojenia postępowały szybciej, liczba wojsk powiększała się codziennie. Błędy, popełnione podczas dyktatury, zostały częściowo naprawione, ale i nad rządem ciążył ów duch chwiejności, duch wahania, który środków obrony nie pozwalał posunąć do granic ostatecznych.

Widzieli to rewolucjoniści i, chcąc zapobiec złemu, powołali znowu do życia rozpędzone przez Lubeckiego Towarzystwo Patrjotyczne. Za dyktatora zbierali się w kawiar-

niach, z których jedna, od imienia swej gospodyni H o n o r a t k ą nazwana, szeroko zasłynęła. Przy kawie lub szklance piwa radzono tam o sprawach publicznych, krytykowano Chłopickiego i zastanawiano się nad tem, w jaki sposób obalić rządy dyktatora. Później, gdy Chłopicki władzę swą złożył, rewolucjoniści utworzyli klub i znowu ukazali się na widowni. Na prezesa klubu powołali, jak wiadomo, Lelewela. Niestety, znakomity historyk, zasiadający w rządzie, nie mógł się stać przywódcą rewolucjonistów, którzy rządowi wypowiedzili wojnę. To też młodzież rewolucyjna nie zdołała odzyskać wpływów, jakie posiadał klub pierwotny. Towarzystwo Patrjotyczne odbyło kilka hałaśliwych zebrań, krytykowało na nich działalność Sejmu i postępowanie rządu, w dniu 25 stycznia urządziło wspaniałą manifestację na cześć rewolucjonistów rosyjskich, ale nie zdobyło się na czyn, któryby wpłynął na powodzenie sprawy.

W organie swoim p. n. „Nowa Polska“ członkowie Towarzystwa Patrjotycznego domagali się zniesienia pańszczyzny, powołania pod broń mas ludowych, mówili nawet o rewolucji socjalnej, ale wszystko to nie miało dość siły, by wywrzeć wpływ na postanowienia Sejmu lub rządu.

Tymczasem armja rosyjska wkroczyła na Litwę i posuwała się ku granicom Królestwa.

Losy Polski przenosiły się na pola bitew...

V.

BITWA POD GROCHOWEM

200.000 ludzi i 600 dział przeznaczył Mikołaj na poskromienie zbuntowanego narodu, a z tej siły 114.000 ludzi przekroczyło granice Królestwa... Tę potężną na owe czasy armję wiódł feldmarszałek Dybicz, wódz wsławiony kampanją bałkańską, generał zdolny i doświadczony, a przekonany, że zadanie swe ukończy szybko i w dwa tygodnie po wkroczeniu na ziemię Królestwa rzuci uśmierzoną Warszawę pod stopy swojego władcy. Wojsko rosyjskie składało się z żołnierza, zaprawionego do boju w ostatniej wojnie tureckiej, a przekonanego o swojej wyższości na wojskiem polskiem. Przewodzili żołnierzom rosyjskim generałowie o ustalonej sławie, jak generał Toll, szef sztabu, człowiek przyzwyczajony do ruchów szybkich i gwałtownych, z wojną otrzaskany od czasów napoleońskich, dumny, ambitny i jednem potężnem uderzeniem obiecujący sobie rozstrzygnąć zwycięstwo. Korpusami dowodzili książę Szachowski, uważany za jednego z najzdolniejszych wojskowych w Rosji, generałowie Kreutz, Rosen, Pahlen, Witt, dywizję strzelców konnych wiódł pyszny i cieszący się nabytą w ostatniej wojnie sławą generał Geismar.

Oprócz tego w armji rosyjskiej znajdował się w ks. Konstanty wraz ze swą gwardją.

Moskale, ożywieni nadzieją zdobycia nowej sławy i nagród, wkroczyli na Litwę i zwolna posuwali się ku granicom Królestwa. Dnia 12 lutego jądro armji rosyjskiej przeprawiło się przez Bug — i Dybicz z głównemi siłami, niepowstrzymywany przez nikogo, posunął się naprzód i zajął stanowisko pomiędzy Węgrowem a Siedlcami.

Armją polską, jak już wiadomo, dowodził gen. Radziwiłł, nie posiadający żadnych zdolności militarnych; w początkach kampanji armja ta podzielona była na dwa korpusy, z których jednym dowodził gen. Krukowiecki, drugim gen. Żymirski, oraz dwie dywizje pod rozkazami Skrzyneckiego i Szembeka. Jazdą rezerwową dowodził gen. Weyssenhof.

Ogółem armja polska liczyła w owym czasie 56.000 ludzi i 106 armat.

Oprócz tego istniał jeszcze korpus gen. Dwernickiego, stworzony zabiegami i staraniem tegoż generała, a złożony z 6.000 ludzi, w czem blisko połowę stanowiła jazda.

Dwernicki, oddany pod rozkazy zasłużonego, lecz zniedołężniałego już generała Stanisława Klickiego, zasłaniał lewy brzeg Wisły, a główne siły polskie postępowały ku zbliżającemu się od Siedlec nieprzyjacielowi.

Armja polska działała bez planu. Chłopicki, który od chwili wkroczenia Rosjan na terytorjum Królestwa, objął naczelny kierunek działań, myślał tylko o biernym oporze, twierdząc, że wszystko jedno, gdzie i kiedy bić się wypadnie, bo o skutecznym wyniku walki marzyć niepodobna. Nadaremnie dwaj najzdolniejsi oficerowie sztabu, Prądzyński i Chrzanowski, chcieli korzystać z błędów, które popełniał nieprzyjaciel, nadaremnie kreślili plany i przesyłali je głównej kwaterze. Książę Radziwiłł o niczem decydować nie chciał bez Chłopickiego, a Chłopicki wszystkim, co się do

niego zwracali, odpowiadał, że bez rangi jest niczem, i zastawiał się Radziwiłłem.

Gdy tak obaj wodzowie spychali z siebie odpowiedzialność za wynik zbliżających się bitew, a wojska polskie szły na spotkanie nieprzyjaciela, co wynikało nie z powziętego planu, lecz z systemu biernej obrony, nagle zaszedł wypadek, który w obozie polskim podniósł serca, a kraj cały napełnił radością i nadzieją.

Oto Klicki otrzymał wiadomość, że Geismar ze swoją dywizją ciągnie przez Łuków ku głównej armji rosyjskiej. Klicki postanowił skorzystać z tego odosobnienia i wysłał przeciw dywizji Geismara korpus Dwernickiego.

Dwernicki, odważny i mężny, a pełen ducha przedsiębiorczego generał, otrzymawszy rozkaz, udał się do wojska i żwawo sprawił swe szyki do pochodu. Żołnierze Dwernickiego nie byli, jak się należy zaopatrzeni, zwłaszcza artylerja, acz pod dowództwem dzielnego artylerzysty, księcia Puzyny, wiele pozostawiała do życzenia. Więc wiara skarżyła się generałowi na różne braki, ale Dwernicki na jedną chwilę nie stracił fantazji. Gdy mu pokazano lance ze słabo obsadzonemi grotami, odrzekł z humorem:

— Nic to. Drzewcami pobijemy!

Podobała się taka odpowiedź żołnierzom i huczne wywołała wiwaty. Wogóle niezachwiana pewność w zwycięstwo, jaką dowódca okazywał, oddziaływała znakomicie na szeregi, budziła w nich ufność i zapał. Dnia 9 lutego korpus przeszedł pod Mniszewem Wisłę i ochoczo ruszył naprzód. Dnia 12 lutego pod Żelechowem Dwernicki dowiedział się o zajmowanej przez wojska rosyjskie pozycji i postanowił przekradać się manowcami, by napaść niespodziewanie Geismara i uderzeniem znienacka rozgromić jego siły. Ale i Geismar nie zasypiał sprawy. I on, dowiedziawszy się o ruchach Dwer-

GEN. JÓZEF DWERNICKI

nickiego, ruszył naprzeciw wojsk polskich. W ten sposób obaj generałowie z jednakowemi planami zbliżali się ku sobie.

Dnia 14 lutego Dwernicki stanął pod Stoczkiem, gdzie pragnął zarządzić krótki odpoczynek. Ale zaledwie wojsko zatrzymało się w Stoczku, gdy nadbiegli włościanie i ostrzegli generała, że silna kolumna moskiewska postępuje przez lasy od Toczysk. Po chwili wojsko rosyjskie ukazało się i od strony Seroczyna. Był to więc atak z dwu stron. Dwernicki szybko sprawił do boju swój korpus, artylerję ustawiając na pozycji, z której można było ostrzeliwać obie kolumny nieprzyjacielskie. Działa polskie znajdowały się w samym środku korpusu. Na lewo i na prawo stanęła w czworobokach piechota, część jazdy ruszyła ku Seroczynowi, część zwróciła się frontem ku kolumnie, postępującej od Toczysk.

Geismar sam prowadził jeden z tych oddziałów, drugi znajdował się pod komendą generała Paszkowa, który winien był uderzyć na siły polskie od czoła, gdy Geismar uderzeniem w bok miał wesprzeć ten atak i dokończyć zwycięstwa, o którem na chwilę nie wątpił. Jakoż Paszkow pierwszy wyszedł z lasu i zaraz rozpoczął ogień armatni. Ryknęły natychmiast i działa polskie, ale z małym skutkiem. To też Polacy nie tracili czasu na strzelanie. Dzielny major Rusjan, dowodzący 1-ym pułkiem ułanów, dał hasło do ataku i, rozwinąwszy swoje dywizjony, pomknął ku nieprzyjacielowi. Ale i Paszkow zdążył już uszykować swoich strzelców konnych na ogromnych koniach i ruszył na spotkanie ułanów. Obie kolumny wzięły pęd najszybszy i jak dwie ruchome ściany uderzyły na siebie. Zdawać się mogło, że olbrzymy rosyjskie pochłoną jeźdźców polskich. Ale zwinni ułani dzielnie dotrzymywali placu. Rozgorzał bój, gdy nagle druga część jazdy Paszkowa, stosownie do otrzymanego rozkazu, wysunęła się naprzód, by z boku zaatakować siły polskie. Na ten widok stojący w odwodzie kapitan Lewiński porwał ze sobą szwa-

dron 2-go pułku, jak strzała ruszył naprzód i właśnie tym samym atakiem z boku zagroził Moskalom, którzy śpieszyli swoim z pomocą. Na widok jazdy polskiej, mknącej w szalonym pędzie na podobieństwo szumiącej, kolorowej fali, oddział rosyjski, mający zdecydować zwycięstwo, wstrzymał swój zapęd, a następnie, ogarnięty trwogą, zawrócił konie i rzucił się do ucieczki. Za tym przykładem poszła cała jazda Paszkowa i, jak niepyszna, zemknęła z pola wraz z artylerją.

Nie lepszy los spotkał i kolumnę Geismara. Rzucił na nią swoją jazdę Dwernicki i spłoszoną wepchnął do lasu. Nadaremnie dowódca rosyjski starał się zapobiec klęsce. Moskale w panicznym strachu ratowali się bezładną ucieczką.

Zwycięstwo było zupełne.

W spotkaniu tem Rosjanie utracili 300 ludzi w zabitych, rannych i wziętych do niewoli, a oprócz tego pozostawili zwycięzcom jedenaście armat i dziewięć jaszczyków z amunicją. Polacy stracili około 100 ludzi.

Tak świetnie rozpoczęte spotkanie zamyślał Dwernicki uwieńczyć całkowitem rozgromieniem uciekającego Geismara, lecz plany te pokrzyżował otrzymany z głównej kwatery rozkaz, który najniepotrzebniej w świecie wzywał Dwernickiego zpowrotem do Warszawy.

Zwycięstwo pod Stoczkiem, acz nie wpłynęło na losy kampanji, miało ogromne znaczenie moralne. Było to pierwsze starcie i pierwszy uśmiech losu. Całe wojsko polskie nabrało otuchy, zaniepokojona stolica odetchnęła z ulgą, umysły się rozjaśniły i zaufanie do sprawy powstania wzmogło się w całym narodzie.

Ale był to dopiero początek. W kilka dni potem o wiele ważniejsze i krwawsze rozpoczęły się bitwy. Dnia 17 lutego gen. Żymirski, zaatakowany przez przemagające siły pod Kałuszynem, po uporczywym boju opuścił zajmowaną pozycję i wycofał się pod Wawer. I gen. Skrzynecki, zwiódłszy krwa-

wą walkę pod Dobrem, w której stracił 300 żołnierzy, ale przyprawił Moskali o straty dwa razy większe, cofał się ku Pradze.

Dnia 19 lutego przyszło znowu do krwawej bitwy pod Wawrem.

Rosjanie, wyszedłszy z ciemnych borów od strony Miłosny, dostali się na obszerne błonia, które zajmowały wojska polskie w pogotowiu wojennem. Dzień był mroźny, lecz pogodny i jasny. Oczom armji rosyjskiej ukazał się widok, będący celem jej dążeń.

Praga widzialna była, jak na dłoni, a za nią na wzgórzach błyszczała w słońcu prastara stolica Polski i nęciła nieprzyjaciół swym majestatycznym wyglądem. Roziskrzonym wzrokiem patrzyli strudzeni żołnierze na majaczące przed nimi wieże, kościoły, pałace i gmachy, lubowali się, spoglądając na leżące przed nimi miasto, to miasto piękne, sławne i nieszczęśliwe, a obiecujące w tej chwili dostatek jadła, napojów, wygody w ciepłych kwaterach i słodki po krwawym znoju odpoczynek.

Ale chcąc się dostać do Warszawy, trzeba było przedtem rozgromić armję polską i błonia wawerskie pokryć tysiącami trupów.

Jakoż niebawem odezwały się armaty rosyjskie i rozpoczęła się nowa bitwa, w której wojska polskie, mając przed sobą dwa razy większe siły, złożyły dowód wielkiego męstwa i poświęcenia. W pierwszej chwili zwycięstwo zdawało się przechylać na stronę polską, ale liczba zrobiła swoje i po kilku świetnych atakach Polacy, rażeni ogniem licznej artylerji, a zalewani ruchomą masą coraz to nowych sił nieprzyjacielskich, rozpoczęli odwrót. Cofali się pod Grochów, ale każdy krok wsteczny wynagradzali sobie krwawym uporem, każdą piędź ziemi zalewali krwią, uściełali trupem.

Dopiero mrok zapadający rozdzielił walczących i przerwał tę krwawą a uporną bitwę.

Prawie cztery tysiące Rosjan i półtrzecia tysiąca Polaków zabitych i rannych legło na polach wawerskich.

Gdy umilkły ostatnie wystrzały i znużone wojska udały się na spoczynek, długo jeszcze w noc ciemną rozlegały się wołania i jęki dogorywających ofiar, przeraźliwe rżenia śmiertelnie rannych koni, jakieś straszne okrzyki, szmery, szepty i westchnienia, okropna muzyka pobojowiska, zasłanego tysiącami trupów i konających.

Wstał nowy dzień — i, jakby na jego powitanie, odezwał się znowu złowrogi ryk armat.

Kanonada ta, nie zrządziwszy żadnej stronie szkód poważniejszych, trwała cały dzień, ale do bitwy nie przyszło. Wyczerpane wojska stały naprzeciw siebie w pogotowiu wojennem i czekały sygnału, by rzucić się znowu w wir walki. W obozie rosyjskim nie było już tej pewności siebie, która panowała przed rozpoczęciem bitew, natomiast żołnierz polski, złożywszy przed samym sobą dowody sprawności bojowej i męstwa, urósł we własnych oczach, nabrał otuchy i począł wierzyć w zwycięstwo.

Wojsko polskie, rozłożone na polach Wielkiego i Małego Grochowa, zajmowało obszerną, pełną moczarów i bagnisk równinę, otoczoną z jednej strony Wisłą i jej łachami, a z drugiej strony lasem. Prawe skrzydło opierało się o bagna, utrudniające dostęp do Wisły, lewe przechodziło poza lasek olszowy, znajdujący się pomiędzy Grochowem a Kawenczynem.

Przez lasek szła droga bita, prowadząca na błonia przed Pragą.

Ów historyczny lasek, który zasłynął później pod nazwą Olszynki, był pozycją czołową w rozłożeniu wojsk polskich, wysuniętą, jak bastjon, ku prawemu skrzydłu nieprzyjaciela. Chcąc dostać się na równinę przed Pragą, trzeba było naj-

pierw zdobyć Olszynkę. Ominąć jej Rosjanie nie mogli, gdyż, mijając, naraziliby się na ogień z boku, a posunąwszy się dalej, mogliby oczekiwać ataku i na tyły wojsk swoich. W takich warunkach łatwo było przewidzieć, że Olszynka stanie się miejscem walki najkrwawszej.

Zatapiał w nią wzrok swój Dybicz, jakgdyby chciał przeniknąć ukryte w niej siły, badał ją przebudzony z letargu Chłopicki i do upadłego postanawiał się bronić.

W spokoju i ciszy upłynęło dni kilka. Dybicz nie decydował się na rozpoczęcie nowej batalji, a Chłopicki czuwał, jak lew, gotów każdej chwili ukazać swe straszne pazury. Czy to bliskość armji nieprzyjacielskiej wpłynęła na starego generała, czy też przemówił w nim głos obowiązku, czy nagła nadzieja zwycięstwa i wiekopomnej sławy uśmiechnęła się Chłopickiemu, dość, że zmienił się do niepoznania, stał się naraz czynnym, czujnym i bacznym na wszystko.

Codziennie na parę godzin przed wschodem słońca wyjeżdżał w otoczeniu swego sztabu poza przednie straże, wlepiał oczy w gęsty mrok nocy i badał, czy w pozycjach armji nieprzyjacielskiej nie zaszły jakie zmiany, na które natychmiast trzebaby odpowiedzieć. Wojsku rozkazał na godzinę przed świtem występować w rynsztunku bojowym, bo ataku dodnia można się było spodziewać, a doświadczony wódz na wszystko chciał być przygotowany. Ale armja nieprzyjacielska stała nieruchomo — i dzień za dniem płynął w nużącem oczekiwaniu. Więc Chłopicki czekał. Czekał groźny i pewny siebie, w postawie śmiałej i wyzywającej. Wojsko odczuło Chłopickiego i z radością patrzyło na jego czynności. Gdy w swoim szarym cywilnym płaszczu zjawiał się przed frontem, żołnierze witali go okrzykami zapału. Z postawy starego generała biła pewność siebie i jakaś nadzwyczajna moc, która udzielała się żołnierzom, przenikała ich nawskroś, rozpalała w piersiach płomienie bohaterstwa i entuzjazmu.

Wojsko rwało się do boju i w takim stanie zastał je dzień 25 lutego.

W tym pamiętnym dniu armja polska, zajmująca pola grochowskie, liczyła 38.000 ludzi i 82 działa. Na lewo od tych sił, pomiędzy Brudnem a Białołęką, stał generał Krukowiecki z dwunastotysięcznym korpusem.

Rosjanie byli znacznie liczniejsi. Sam Dybicz, stojący naprzeciw pól grochowskich, miał 58.000 żołnierza i 196 dział, a na jego wsparcie śpieszył przez Białołękę książę Szachowski, wiodący zgórą 12.000 ludzi i 56 armat.

Olszynkę zajmowała brygada generała Rolanda, za którym z resztą swojej dywizji stał generał Żymirski. Pod Olszynką stała dywizja Skrzyneckiego, a prawe skrzydło polskie formowała dywizja Szembeka. Część jazdy pod generałem Umińskim utrzymywała komunikację z korpusem Krukowieckiego, reszta pod gen. Łubieńskim stała między drogą bitą siedlecką a traktem, prowadzącym do wsi Ząbki.

Dnia 24 lutego rozległ się huk armat na skrajnem lewem skrzydle polskiem. To korpus Szachowskiego zbliżył się do Białołęki i rozpoczął bitwę, w której dowody wielkiego męstwa złożył broniący Białołęki Kazimierz Małachowski, najstarszy w wojsku polskiem generał, niegdyś legjonista dzielny i zasłużony, obecnie zgnębiony wiekiem i trudami, ale w ogniu bitwy odzyskujący zapał i rzeźkość młodzieńczą. Na wsparcie Małachowskiego pośpieszył Krukowiecki, i, objąwszy naczelne dowództwo nad zgromadzonemi w Białołęce siłami, zaraz nazajutrz zrana w pamiętnym dniu 25 lutego odnowił bitwę. Szachowski nie mógł się obronić natarczywości wojsk polskich i, widząc, że się nie przebije, śpieszył inną drogą połączyć się z Dybiczem. Aby tego połączenia dokonać, musiał zrobić wielki łuk, co pozwalało Krukowieckiemu napaść na niego w marszu i wydać bitwę, lub też, widząc, że Sza-

chowski Białołęce nie grozi, pośpieszyć natychmiast na wsparcie głównych sił polskich.

Ale Krukowiecki, zadowolony, że zmusił do odwrotu nieprzyjaciela, poprzestał na tem i, nie bacząc na walkę, rozgrywającą się pod Grochowem, na wzywające go odgłosy armat, zarządził odpoczynek i stał w miejscu nieporuszony. W duszy tego starca, chciwego władzy i zaszczytów, a mającego pretensje do Chłopickiego, głęboko tkwiła zawiść i głuszyła poczucie obowiązku. Więc choć, jako doświadczony generał, nie mógł nie wiedzieć, co robić, stał na zajętej pozycji i ani myślał iść ginącym braciom z pomocą.

Strzały, słyszane od strony Białołęki, zafrasowały wielce Dybicza. Obawiał się, że na Szachowskiego spadną główne siły polskie — i natychmiast zdecydował się temu przeszkodzić, zajmując te siły akcją zaczepną wojsk, będących pod ręką.

Jakoż o dziewiątej z rana odezwały się armaty rosyjskie i natychmiast odpowiedziała im artylerja polska.

Na odgłos wystrzałów Chłopicki dosiadł konia i popędził zaraz na linję bojową, a naczelny wódz Radziwiłł zajął wyznaczone mu miejsce w środku równin Pragi, przy drodze bitej, obok słupa żelaznego, postawionego na pamiątkę ukończenia tej drogi.

Od zdobycia Olszynki postanowił Dybicz tę nową walkę rozpocząć i atak na Olszynkę powierzył Rosenowi.

Moskale śmiało ruszyli naprzód i z okrzykiem: hurra! wtargnęli do Olszynki. Rzęsistym i celnym ogniem przywitali ich najpierw tyraljerzy, a później natarła na nich piechota i bagnetem z lasku wyparła. Rosjanie nie dają za wygraną i raz za razem ponawiają ataki. Wyrzuceni trzykrotnie, formują się po raz czwarty i, wzmocnieni nowemi siłami, znowu ruszają do lasku.

Widzi to Chłopicki i poleca gen. Żymirskiemu wesprzeć

Rolanda i bronić Olszynki do upadłego. Chcąc podkreślić ważność tej obrony, zapowiada Żymirskiemu przez adjutanta, że wolno mu zginąć, ale nie wolno opuścić pozycji. Otrzymawszy ten rozkaz, Żymirski, jak burza, wpada do lasku, łamie szeregi nieprzyjacielskie, wypiera je na całej linji i staje mocno jak mur, gotów na nowe natarcia. Niedługo na nie czeka, bo sam Dybicz śledzi zażartą walkę i rozkazuje Rosenowi ponowić ataki.

Wojska rosyjskie formują się w otwartem polu i znowu idą na Olszynkę.

Zahuczało w lasku od strzałów, krzyków i jęków, zawrzała nowa walka, ale trwała niedługo, bo Rosjanie, nie mogąc wytrzymać natarczywości obrońców, cofnęli się w nieładzie.

Miota się na ten widok Dybicz i nakazuje nowe potężniejsze uderzenie.

Rusza teraz do boju dywizja Pahlena i brygada karabinierów, kilkadziesiąt dział artylerji konnej rozpoczyna ogień morderczy i wojska rosyjskie, uszykowane w półkole, a prowadzone przez najmężniejszych w armji generałów, Tolla i Neuhardta, idą pomścić doznane porażki i wydrzeć Polakom Olszynkę.

Żymirski patrzy nieulękłym wzrokiem na zbliżającą się nawałnicę, pod gradem kul przebiega przerzedzone szeregi i wzywa je do zaciętej obrony, gdy wtem kula armatnia urywa mu ramię i śmiertelnie rannego ciska o ziemię. Żymirskiego unoszą z pola, a żołnierze, wyczerpani walką, co gorsza, pozbawieni komendy, nie mogą się oprzeć ogarniającej ich burzy i opuszczają pełną trupów Olszynkę.

Widzi to Chłopicki i zrywa się do skoku, bo teraz kolej na ataki wojsk polskich.

Skrzynecki otrzymuje rozkaz odebrania lewej strony lasku, a prawą mają zdobyć grenadjerzy.

Ale za mało sił ma Chłopicki, by walczyć z całą armją

GEN. JÓZEF CHŁOPICKI

Dybicza, więc rozkaz śle do Krukowieckiego i nakazuje mu ruszać na plac boju, jednocześnie zaś wzywa Łubieńskiego, by z całą jazdą śpieszył pod Olszynkę. Niestety, rozkazów Chłopickiego nie spełniają generałowie. Oto Łubieński odpowiada, że naczelnym wodzem jest Radziwiłł i że od niego tylko przyjmie rozkazy, a Krukowiecki inny rozkaz otrzymał od Radziwiłła. Chłopicki posyła nowych adjutantów, poczem zbliża się do grenadjerów, by rzucić ich w ogień. Od postaci Chłopickiego biła pewność siebie, twarz zdradzała zawziętość, lecz była spokojna, nieruchoma, jakby wykuta z marmuru. Tylko z oczu generała szły błyskawice i przebiegały sformowane już do ataku kolumny.

Na widok wspaniałej i pewnej siebie postawy wodza zapał ogarnął grenadjerów.

— Niech żyje Chłopicki! Niech żyje dyktator! — poczęto wołać dokoła i jakiś nowy duch i nowe męstwo wstąpiło w serca.

A Chłopicki stanął na czele jednego bataljonu, dwa inne powierzył Prądzyńskiemu i Milbergowi, poczem szpicrutą wskazał Olszynkę i krzyknął grzmiącym głosem:

— Tam! tam!

Jak lwy ruszają grenadjerzy we wskazanym kierunku. Z piersi ich dobywa się pieśń legjonów i grzmi tak głośno, że nie głuszy jej ryk armat, ani odgłos bębnów.

— Jeszcze Polska nie zginęła! — huczy w przestworzach i hufce, wiedzione przez Chłopickiego, wkraczają na pole walki groźne i straszne, dyszące żądzą boju i zwycięstwa. A gdy wchodziły do lasku, naraz, jakby na umówiony sygnał, dziewięćdziesiąt armat z obu stron zagrzmiało. Przerażający huk wstrząsnął powietrzem, ziemia zadrżała od walących się na nią kul i kartaczy, a od kłębów dymu niebo pociemniało. Zastąpiły grenadjerom drogę kolumny nieprzyjacielskie, ale, przełamane w jednej chwili, ustąpiły z pola. Lecz oto nowe

siły gromadzą dowódcy rosyjscy i wzmaga się walka zażarta, a choć z obu stron gęsto trup pada, grenadjerzy wciąż posuwają się naprzód. Chłopicki, widzialny jak sztandar dla obu wojsk walczących, pierwszy idzie w odmęt śmierci i porywa za sobą szeregi. Płaszcz generała poszarpały kule, dwa konie pod nim ubito, ale on nie zważa na nic i niczem niewzruszony do nowych czynów wzywa swoich żołnierzy i, krok za krokiem oczyszczając Olszynkę, wymiata z niej nieprzyjaciela.

W tymże samym czasie wre walka zacięta i w drugiej połowie lasku. Generał Skrzynecki na czele ósmego pułku piechoty, a generał Bogusławski na czele sławnych czwartaków również posuwali się naprzód. Bogusławski, lubiany dla swego męstwa, strofował żołnierzy:

— Mierz zwolna, wybieraj oficerów, a celuj w sam łeb! Chciałeś rewolucji, to nie chybiaj, psia krew, bo bieda będzie...

Jakoż widać w szeregach nieprzyjacielskich zamieszanie. Czwartacy wiernie wypełniają rozkaz: już generała brygady i szefów bataljonów unoszą z pola, Moskale chwieją się coraz bardziej.

— Na bagnety! — komenderuje Skrzynecki.

— Na bagnety! — woła Bogusławski i dwa pułki polskie, najeżywszy się stalowemi ostrzami, wpadają na nieprzyjaciół, łamią ich i, pędząc przed sobą, wychodzą poza Olszynkę. W tejże samej chwili ukazują się i grenadjerzy, prowadzeni przez Chłopickiego.

Dzięki tym wysiłkom, lasek olszowy został opanowany przez wojska polskie.

Chłopicki ani myśli poprzestać na tem, lecz posuwa się dalej, w nadziei, że lada chwila przybędzie Krukowiecki i poprze te wysiłki. Żołnierze odczuli ważność momentu i doniosłość osiągniętego zwycięstwa. Triumfalne okrzyki przeszyły powietrze i upojonych żołnierzy ogarnął nieopisany za-

pał. Szeregi pomknęły naprzód, jak rozhukana fala, gotowa zmieść wszelkie przeszkody, stratować wszystko, coby jej śmiało stanął na drodze.

Wówczas Prądzyński, rozpłomieniony osiągniętem powodzeniem, wysuwa się przed grenadjerów i, szpadą wskazując znajdującą się wpobliżu baterję rosyjską, woła:

— Żołnierze, bracia, jeszcze jedno wysilenie, a te oto działa są nasze!...

Suną grenadjerzy na armaty, rąbią kanonierów, co nie zdążyli uciec, zdobywają baterję i dwa działa zioną niebawem ogniem na wzgórze, skąd Dybicz śledzi przebieg walki.

Postęp taki nowy gniew zapalił w wodzu rosyjskim. Na czele swego sztabu wpada pomiędzy pierzchające kolumny, gromi je, każe się im formować na nowo, poczem wprowadza do walki nienaruszone rezerwy i olbrzymią masą posuwa się ku zwycięzcom, zachodząc im drogę z frontu i z lewej strony.

— Nie jestże to hańbą, że nie możem zdobyć tego lasku — woła Dybicz do oficerów i przeciw trzem pułkom polskim wystawia resztę korpusu Rosena, drugą brygadę grenadjerów, na której w krytycznych chwilach polegał najbardziej, pułki meklemburski, jekaterynosławski, ingermanlandzki, staroingermanlandzki, piąty pułk jegrów, pułk karabinierów, a za tą masą piechoty rozkazuje postępować jeździe, poczem wysuwa się na czoło i, szpadą wskazując kierunek, rzuca swe wojska na garstkę obrońców Olszynki.

Polacy mężnie witają nawałnicę, ale gdy nikt im z pomocą nie przybywa, zmuszeni są cofnąć się do lasku.

Nieszczęsna Olszynka znowu zapełnia się ludźmi i walka nierówna trwa całą godzinę. Wreszcie Moskale zdobywają lasek i wypierają z niego Polaków.

Ale Chłopicki nie daje za wygraną. Wśród ryku armat i kurzawy bojowej stary lew odzyskuje całą swą energję i postanawia polec lub zwyciężyć. Jeden groźny zamach wszyst-

kiemi siłami polskiemi ma zadecydować o zwycięstwie. Adjutanci wodza biegną do dywizji Żymirskiego i Szembeka, by wprowadzić je w ogień, a Chłopicki, wściekły, że Krukowieckiego nie widać, że Łubieński nie pośpiesza z jazdą, wycofuje się na chwilę z ognia i pędzi ku kolumnie żelaznej, gdzie stoi ze swym sztabem i cywilnymi dygnitarzami nie mieszający się do bitwy naczelny wódz Radziwiłł.

Chłopicki żąda od niego powtórzenia swoich rozkazów. Otoczenie Radziwiłła pyta Chłopickiego o przebieg bitwy.

— Dowidzenia waszmościom, — odpowiada Chłopicki — jadę teraz zdobywać armaty...

I ufny w wygraną spina ostrogami konia, powraca w odmęt bitwy i jak zwiastun zwycięstwa zjawia się śród szeregów.

Wtem w konia, na którym siedzi, uderza granat i pęka z trzaskiem. I koń, i jeździec giną na chwilę w kłębach dymu, poczem oczom patrzących okropny ukazuje się widok: pod rozerwanym koniem leży zbryzgany krwią Chłopicki. Okrzyk przerażenia dobywa się z piersi żołnierzy. Dopadają do generała, dobywają go z pod konia, a widząc, że ciężko ranny, robią naprędce nosze z kos kilku, składają go na nich i unoszą z pola. Ale Chłopicki, acz cierpi strasznie, pała jeszcze ogniem zwycięstwa.

Prądzyńskiemu, który go pyta, kto ma bitwą dowodzić, odpowiada:

— Skrzynecki. Powiedz mu, ażeby całemi siłami uderzył na Olszynkę i wydarł ją koniecznie Moskalom...

Wieść o ciężkich ranach generała roznosi się szybko, przygnębia umysły — i oto wraz z Chłopickim znika z pola walki duch zwycięstwa.

Bitwa rozprzęga się w jednej chwili. Pozostali na placu generałowie nie o zwycięstwie, lecz o własnem ocaleniu zaczynają myśleć. Skrzynecki, znużony walką, nie spełnia danego polecenia, Szembek, zaatakowany przez brygadę strzel-

ców konnych, dwa pułki huzarów i pułk ułanów, cofa się w nieładzie, za jego przykładem idzie reszta wojsk polskich.

A wódz naczelny Radziwiłł stoi pod żelazną kolumną i, widząc, co się dzieje, szepcze bezradnie pacierze.

Popłoch wkrada się w szeregi. Jeden Skrzynecki, acz cofa się wraz z innymi, utrzymuje doskonały porządek, broni się mężnie i zasłania odwrót.

Dybicz usiłuje wykorzystać to zamieszanie i, chcąc przeciąć armji polskiej odwrót na Pragę, formuje swą jazdę. Pułk kirasjerów księcia Alberta podejmuje się wskazać konnicy rosyjskiej drogę i zapuszcza się w pełnym galopie pomiędzy wojska polskie, podbiega aż pod samą Pragę i wśród widzów, obserwujących walkę, wzbudza przerażenie.

Dostrzegłszy wojska rosyjskie, rzucili się oni do ucieczki i wpadli na Pragę z wiadomością o porażce wojsk polskich. Straszna wieść szybko rozniosła się po stolicy.

— Już Praga zdobyta! już nieprzyjaciel na moście! — poczęto wołać na ulicach Warszawy i popłoch ogarnął bezbronnych mieszkańców. Okrutna rzeź Pragi, żyjąca we wspomnieniu, wszystkim stanęła przed oczyma.

Ale tak źle nie było. Kirasjerzy, zapędziwszy się za daleko, z tym samym pośpiechem wracali do swoich. Wszakże szarżowani przez ułanów pod pułkownikiem Kickim i rażeni ogniem piechoty, zostali prawie wszyscy na placu lub poszli do niewoli. Tylko pojedyńczym jeźdźcom udało się połączyć z główną armją rosyjską.

Tymczasem zbliżał się wieczór i mrok spływał na krwawe pobojowisko. Kanonada stawała się coraz rzadsza, aż umilkła zupełnie.

Polacy cofali się przez most na Pradze do Warszawy, Rosjanie zajęli plac boju, ale wstrzymani mężnym oporem, nie odważyli się na przypuszczenie szturmu do Pragi.

Wkrótce na całem polu bitwy zapanowała głęboka cisza

i wojska rosyjskie słyszały doskonale turkot cofających się po moście armat, pociągów i ambulansów. Dopóźna w noc uskuteczniał się odwrót wojsk polskich. Generał Małachowski pozostał ze swoją brygadą na Pradze, by w razie ataku bronić szańca przedmostowego, a cała armja znalazła się nad ranem w murach Warszawy.

W tej krwawej bitwie Polacy stracili zgórą 7.000 ludzi, a Rosjanie sami obliczali swe straty na 9.400.

Całą noc Warszawa oczekiwała szturmu, ale noc przeszła spokojnie.

Wstał nowy dzień i znowu w stolicy spodziewano się szturmu, lecz wojska Dybicza, czerniejące na równinach przed Pragą, niby zastygła lawina, spoczywały milcząco, nieruchomo.

VI.

WAWER. WIELKIE DĘBE. IGANIE

A w Warszawie wielki panował niepokój...

Obywatele tchórzliwszego serca, obawiając się szturmu i jego okropności, pakowali swe rzeczy i szykowali się do opuszczenia stolicy. Za ich przykładem poszło wielu posłów — i w całem mieście wzmagał się niepokój. Nawet wielu wyższych wojskowych uważało prowadzenie walki za rzecz niemożliwą i, wskazując przerzedzone szeregi, mówiło tylko o układach.

Dnia 26 lutego o godz. 6 rano zebrali się członkowie Rządu Narodowego, ministrowie i wyżsi wojskowi na walną radę, która miała ocenić położenie i wybrać nowego wodza, bo Radziwiłł bez poparcia Chłopickiego wodzem być nie mógł. Generałowie Łubieński i Szembek mówili o układach, inni ponuro milczeli i milczeniem tem zdawali się mówić, że dalsza wojna jest niemożliwa. Ale książę Czartoryski lepiej oceniał stan rzeczy. Rozumiał on, że po bitwie, która się zakończyła opuszczeniem placu boju, Dybicz nawet słuchać o układach nie zechce, wobec czego trzebaby zdać się na jego łaskę. Więc z energją, która zaszczyt Czartoryskiemu przynosi, sprzeciwiał się nawet radzeniu o układach i wybór nowego wodza poruczył zebranym.

Położenie było trudne. Najlepsi generałowie polscy, Stanisław Potocki i Trembicki, polegli w pamiętną noc listopadową, Chłopicki, ciężko ranny, wycofał się z szeregów, a śród pozostałych wojskowych jeden Stanisław Klicki miał dobrą reputację. Niestety, był to już człek schorzały, niezdolny do trudów wojennych.

Wprawdzie były to czasy, w których żyli jeszcze we Francji słynni wodzowie napoleońscy i niejeden z nich chętnieby ofiarował Polakom, dawnym towarzyszom broni, swoje usługi. Żył jeszcze Kniaziewicz. Wobec tego można było nawiązać z wodzami tymi rokowania, a jednemu z generałów polskich powierzyć tymczasowe dowództwo. Ale Rząd Narodowy, nie bez poważnych racyj, chciał naczelnego wodza mieć jak najprędzej.

Dwóch generałów odznaczyło się w walkach dotychczasowych: Dwernicki i Skrzynecki.

Dwernicki zaraz w pierwszej rozprawie złożył dowód roztropności, odwagi i męstwa, a idąc śmiało na wroga, wskazał drogę działań zaczepnych, tak ważnych w skutki dla powstającego narodu. Ale Dwernicki, nieobecny na radzie, uganiał się za wojskami rosyjskiemi w Lubelskiem i został niejako zapomniany. Zwycięstwo pod Stoczkiem przesłoniły ważniejsze wypadki, a w tych wypadkach najlepiej zaprezentował się Skrzynecki. Walka, którą stoczył pod Dobrem, rozsławiła jego imię, a dzielna obrona Olszynki i porządek, utrzymany w szeregach po wycofaniu się z bitwy Chłopickiego, zatrzymywały uwagę na Skrzyneckim, jako na generale pełnym męstwa i energji.

Myśleli jeszcze o naczelnem dowództwie generałowie Krukowiecki i Umiński, obaj ludzie niespokojnego ducha i małej wartości, ale pierwszy miał na sumieniu karygodną bezczynność pod Białołęką, kiedy losy bitwy ważyły się na po-

GEN. JAN SKRZYNECKI

lach Grochowa, drugi — prócz pychy i wymowy niczem jeszcze podczas powstania wyróżnić się nie zdołał.

Wybór padł na Skrzyneckiego.

Był to człowiek w sile wieku, liczył bowiem lat 44. W pamiętną noc listopadową biegł on do w. księcia, by ofiarować mu na usługi swą szpadę, później jednak poddał się biorącej górę opinji rewolucyjnej i przyłączył się do powstania. Rewolucja zastała go w randze pułkownika, ponieważ jednak uchodził za oficera dużych zdolności, mianowano go generałem. Bitwa pod Dobrem i obrona Olszynki podtrzymała tę opinję i przyniosła Skrzyneckiemu zaszczyt, na jaki bynajmniej nie zasłużył. Był to bowiem typowy karjerowicz, myślący przedewszystkiem o sobie, uparty, zarozumiały, poziomy, nie znoszący obok siebie żadnego talentu i żadnej wyższości. Miał się za drugiego Napoleona, ale w gruncie rzeczy nie posiadał nawet wykształcenia i zdolności, wymaganych już nie od wodza, ale od każdego generała. Dużo mówiono o jego waleczności i męstwie. Istotnie nie można mu męstwa odmówić, ale męstwo to rodziło się dopiero podczas niebezpieczeństwa, na placu boju, w obliczu śmierci. Wtedy Skrzynecki ożywiał się, szedł w odmęt bitwy dumny, wyniosły, uparty. Ale odwagi, pozwalającej zaczepiać i ścigać nieprzyjaciela, energji i szybkości w ruchach, śmiałej decyzji, bystrego rzutu oka, daru orjentacyjnego, słowem, przymiotów wodza zupełnie nie posiadał. I charakterem również się nie wyróżniał.

Opinja uważała go za dzielnego patrjotę, a to ze względu na niezależność, którą jako sędzia w procesie Łukasińskiego miał rzekomo wykazać. Wiedziano, że on jeden w gronie sędziowskiem był za uniewinnieniem oskarżonych, ale nie wiedziano, że na rozkaz w. księcia cofnął swoje zdanie, zaparł się swoich szlachetniejszych uczuć i później haniebny wyrok podpisał wraz z innymi sędziami.

A jednak dowództwo naczelne przyjął Skrzynecki jako należne mu dostojeństwo i odrazu przybrał pozę męża opatrznościowego. Ten mizerny i mały człowiek, który widział tyle dowodów poświęcenia i męstwa żołnierza, który osobiście przekonał się już, że walka jest możliwa i bynajmniej nie beznadziejna, odrazu obnażył swoją małoduszność, swój niezmierny brak odwagi i zdecydowania. Zamiast wytężyć wszystkie siły, by powiększyć liczbę obrońców i ćwiczyć nowe zaciągi, Skrzynecki rozpoczął układy z Dybiczem. W pierwszym liście, który wysłał do wodza rosyjskiego, płaszczył się przed Mikołajem, mówił o dobrodziejstwach Aleksandra i twierdził, że Polacy czczą pamięć tego ostatniego w jego następcy. W liście następnym posunął się jeszcze dalej, utrzymywał bowiem, że gdyby car Mikołaj pokazał się w stolicy, cała Polska rzuciłaby się w jego ramiona, jak w objęcia ojca, który przynosi błogosławieństwo pokoju.

Dybicz z pogardą potraktował te listy, nie odpowiedział na nie sam, kazał tylko generałowi Geismarowi oświadczyć wysłańcom Skrzyneckiego, żeby Polacy cofnęli akt detronizacyjny i powrócili do obowiązku wiernych poddanych, a wtedy car w swojej łaskawości ogłosi amnestję.

Takie były pierwsze czyny naczelnego wodza, który nieustannie honor miał na ustach.

Rząd Narodowy nie pochwalał tych kroków, ale nie śmiał się im przeciwstawić. I marszałek Ostrowski dowiedział się, jaką to bronią walczy wódz naczelny, ale również nie uczynił nic, aby przeciąć te hańbiące godność Polski układy. Nikt nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za przebieg wszczętych rokowań, więc wszyscy na nie zamykali oczy. A Skrzynecki, widząc bezkarność, zaczął snuć nowe plany dyplomatyczne.

Po takim naczelniku sił zbrojnych powstania niewiele dobrego można się było spodziewać.

Razem ze Skrzyneckim na widownię zdarzeń wojennych wypłynęli dwaj wybitni oficerowie, mianowani pułkownikami, a w szybkim czasie awansowani na generałów: Ignacy Prądzyński i Wojciech Chrzanowski, pierwszy, jako kwatermistrz armji, drugi, jako szef sztabu.

Prądzyński zbliżał się do czterdziestki, ale miał już za sobą doświadczenie, brał bowiem udział w wojnie r. 1809 i w kampanji moskiewskiej. Był to oficer wykształcony, bystry, odważny, strategik wprost genjalny, słowem, wymarzony oficer sztabowy dla wodza, umiejącego oceniać i korzystać ze zdolności swoich podkomendnych. Prądzyński posiadał wiele twórczej wyobraźni, wojnę chciał prowadzić na wielką skalę, pomysły miewał wielkie, olśniewające, a obok tego wszystkiego posiadał jeszcze jeden w ówczesnem położeniu niezwykle cenny przymiot: wiarę w sprawę narodu i wiarę w zwycięstwo. To też, wszedłszy w swą rolę, zaraz jął zastanawiać się nad tem, w jaki sposób nieprzyjaciół podejść i rozgromić, jak korzystać z błędów, które wkrótce po batalji grochowskiej zaczął wódz rosyjski popełniać. Prądzyński rozmyślał o czynach wielkich, marzył nie tylko o rozgromieniu całej armji rosyjskiej, ale nawet o zwycięskim marszu na Petersburg. Po napoleońsku traktował on wojnę, a pomysły swoje, co jest rzeczą niezwykle ważną, opierał zawsze na możliwie ścisłem obliczeniu wzajemnych sił, na uwzględnieniu wszystkich możliwych do przewidzenia szans i skutków. Niestety, jednego tylko przymiotu brakowało Prądzyńskiemu: powagi i tęgości charakteru. Łatwy w obcowaniu z ludźmi, przystępny gaduła, uprzejmy i towarzyski, miał małe ambicyjki, nie licujące z wielką i szlachetną ambicją, która mu przyświecała, a obok tych ambicyjek wolę zbyt słabą, by ją narzucić Skrzyneckiemu.

Chrzanowski był do pewnego stopnia przeciwstawieniem Prądzyńskiego. Zgryźliwy, uważający walkę z Rosją za sza-

leństwo, pozbawiony zapału i entuzjazmu, ale zdolny, pracowity, systematyczny, podobnie jak Prądzyński, mógł był swem wyrobionem i przemyślanem zdaniem niejedną cenną usługę oddać naczelnemu wodzowi.

Na nieszczęście, Chrzanowski i Prądzyński bardzo często różnili się w zdaniu, Skrzynecki zaś, który zdania własnego nie miał, a cudzych ocenić nie umiał, korzystał z owej sprzeczności w ten sposób, że, mając do wyboru dwa różne plany, oba krytykował, odrzucał i pogrążał się w bezczynności.

Przerwa w działaniach wojennych pozwalała na skompletowanie i reorganizację armji. Na dowódców dywizji powołano generałów Rybińskiego, Giełguda, Kazimierza Małachowskiego i Milberga. Jazdę podzielono na trzy dywizje, których dowództwo objęli generałowie Łubieński, Umiński i Skarzyński. Szembek, pokłóciwszy się ze Skrzyneckim, podał się do dymisji, a generał Krukowiecki, mianowany gubernatorem Warszawy, również opuścił szeregi.

Armja polska, kompletowana nieustannie, szybko rosła w siły i w końcu marca wraz z załogami Zamościa i Modlina oraz oddziałami Dwernickiego, Sierawskiego i Paca podniosła się do poważnej liczby 90.000 żołnierza. Zaopatrzona we wszystkie potrzeby, dobrze rozlokowana i dobrze żywiona, przeniknięta była ufnością w zwycięstwo.

Tymczasem wojska rosyjskie cierpiały na brak żywności i kwater, a niepowodzenia w dotychczasowych bitwach osłabiły ducha żołnierzy i wodzów. Dybicz nie tylko nie decydował się na przypuszczenie szturmu do Pragi, ale wkrótce cofnął się w bory Miłosny, pozostawiając jedynie przed Pragą silną straż, złożoną z 6.000 ludzi, a dowodzoną przez Geismara.

Wkrótce w Warszawie otrzymano ważne wiadomości o nowych pozycjach wojsk rosyjskich, co zaraz natchnęło Prądzyńskiego myślą rozpoczęcia nowej batalji. Prądzyński, ko-

rzystając z rozdzielenia armji rosyjskiej, nakreślił plan rozgromienia poszczególnych oddziałów i plan ten przedstawił Skrzyneckiemu. Ale wódz naczelny zwlekał z rozpoczęciem kroków zaczepnych i trwał w bezczynności, choć widoki zwycięstwa były ogromne. Prądzyński udał się ze swoim planem do członków Rządu Narodowego i przez nich starał się wpłynąć na wodza. Skrzynecki coraz to nowych doszukiwał się trudności, gdy wtem odebrano w Warszawie wiadomość, iż Dybicz czyni przygotowania do przeprawy przez Wisłę i z główną swą armją zamierza atakować Warszawę.

To dopiero zdecydowało Skrzyneckiego.

Stosownie do przyjętego planu wojska polskie miały rozgromić pod Wawrem Geismara, znieść stojący wpobliżu korpus Rosena, a następnie opanować Siedlce i rzucić się wszystkiemi siłami na Dybicza.

Dnia 30 marca o północy, po moście, wyłożonym słomą, wymykały się chyłkiem wojska polskie na Pragę i zajmowały zaraz wyznaczone im stanowiska. Cichość, z jaką to czyniły, oszukała czaty rosyjskie i Geismar ani przeczuwał, co go z rana czeka. Gęsta mgła, panująca nazajutrz, do ostatniej chwili osłaniała ruchy wojsk polskich i dopiero uderzenie gen. Rybińskiego, który, okrążywszy pozycje nieprzyjacielskie, zaatakował straże rosyjskie pod Kawenczynem, wyrwało Geismara z nieświadomości. Posyła on strażom swoim posiłki, ale w tejże chwili otrzymuje raport, że znaczne siły polskie ciągną ku niemu drogą bitą od Grochowa. Nieprzygotowany na atak z dwóch stron, Geismar usiłuje się bronić, ale nacierany mocno, pozostawia cztery działa, dwa sztandary, licznych jeńców i czem prędzej uchodzi.

Warszawa, przebudzona strzałami, teraz dopiero dowiedziała się o przedsięwziętej wyprawie. A zaledwie zaroiły się ulice, już mieszkańcy stolicy ujrzeli licznych jeńców, prowadzonych przez most na Wiśle. Cały pułk litewski w walce tej

broń złożył, radość więc panowała wielka. Winszowano sobie zwycięstwa i cieszono się nadzieją nowych triumfów.

Tymczasem Geismar, ścigany przez wojska polskie, cofał się przez Miłosnę ku wsi Wielkie Dembe na główne siły Rosena.

O godz. 3 po południu wojska polskie ze Skrzyneckim na czele dosięgły nieprzyjaciela.

Siły polskie w dwójnasób przewyższały Rosjan, ale wódz naczelny tylko część ich użył do bitwy i patrzał niespokojnie na wynik swoich rozporządzeń. Rosen bronił się dzielnie i walka trwała bez skutku parę godzin. Słońce już poczęło chylić się ku zachodowi — i Skrzynecki postanowił kres położyć bitwie. Rozesłał więc rozkazy, aby wojska nocowały tam, gdzie je rozkaz zastanie, lecz stało się inaczej.

Bogusławski, który z czwartym pułkiem wysłany został na punkt najniebezpieczniejszy i, stojąc w bagnach naprzeciw Wielkiego Dembego, ogniem karabinowym raził nieprzyjaciela, otrzymawszy rozkaz naczelnego wodza, zawołał z oburzeniem:

— Jakto? ja mam w tem błocie nocować?...

I, zwróciwszy się do czwartaków, wskazał im szablą Wielkie Dembe.

— Wiarusy! — krzyknął, — tam nocować będziemy!...

I wydał rozkaz do ataku.

Pędem rzucili się ku wsi żołnierze i, jak wicher wpadłszy pomiędzy Moskali, opanowali wnet kilka domów i zbliska rozpoczęli ogień. W tejże chwili Tomasz Potocki podprowadził dwa działa i kartaczami zaczął obsypywać Rosjan. Wówczas Skrzynecki, ulegając namowom Chrzanowskiego, zdecydował się skorzystać z zamieszania i rzucić na Rosena jazdę pod generałem Skarzyńskim. Dzielna szarża jazdy polskiej rozstrzygnęła ostatecznie los bitwy. Rosjanie nie dotrzymali placu i w nieładzie poczęli uchodzić.

Ale odwrót, rozpoczęty wobec siedzącego na karku nieprzyjaciela, zamienił się w porażkę. Sam Rosen lekko ranny w nogę, o mało nie dostał się do niewoli. Od ostatecznej klęski noc ciemna go uratowała.

Wojsko polskie zajęło pole bitwy i rozłożyło się na noc. Nazajutrz o świcie należało zarządzić energiczny pościg i dokończyć zwycięstwa rozgromieniem reszty korpusu Rosena. Naczelny wódz powinien był zostać śród wojska, by przed wschodem słońca podnieść armję na nogi i o pierwszej zorzy rozpocząć energiczną pogoń. Ale Skrzynecki był znużony i głodny, a na nieszczęście zaraz po ukończeniu bitwy podjechał do niego adjutant i przywiózł wiadomość od kucharza, że „rondle już ustawione".

Na tę ważną i doniosłą nowinę Skrzynecki opuścił plac bitwy, wojsko, zapomniał o obowiązkach naczelnego wodza, i pomknął do Brzezin, by tam zjeść wieczerzę i zażyć odpoczynku.

Tak to rondle odegrały ważną rolę w historji tej kampanji i ocaliły Rosena od ostatecznej klęski...

Pogoń odbywała się niedbale, wódz naczelny ciągnął w tyle armji, kontent z odniesionych korzyści.

Korzyści te, mimo popełnionych błędów, istotnie były znaczne. W ciągu dwu dni armja polska, straciwszy zaledwie 500 ludzi z szeregów, wzięła do niewoli 9.000 nieprzyjaciół, zdobyła 5 chorągwi, 12 dział, 50 jaszczyków z amunicją, 4 apteki polowe i zgórą 6.000 sztuk broni. Jeszcze jedno wysilenie, jeszcze jeden śmiały krok naprzód, a korpus Rosena byłby zniesiony doszczętnie.

Tymczasem Skrzynecki po jednym dniu pościgu postanowił się zatrzymać i zawiesić działania wojenne.

Dlaczego?

Oto obawiał się niepowodzenia, a wierzył w interwencję mocarstw i ta nieszczęsna dyplomacja miecz wytrącała mu

z ręki. Zamiast iść na nieprzyjaciół, stanął pod Kałuszynem i orzekł, że wybiera system walki odpornej. Na Dybicza postanowił czekać, tymczasem Dybicz w strachu wielkim o Rosena i swoje komunikacje ani myślał o tem, by spełnić życzenie Skrzyneckiego.

Ale Prądzyński nie zasypiał sprawy i nieustannie namawiał wodza do nowej akcji przeciw Rosenowi, który, wzmocniony nowemi siłami, zasłaniał Siedlce, ważny punkt dla Moskali, mieli bowiem w tem mieście swoje magazyny z żywnością, parki artylerji, szpitale, wszelkiego rodzaju sprzęty i zapasy wojenne. Otóż Prądzyński proponował rozdzielić armję polską na części, z trzech stron Rosena obejść, raz jeszcze go rozgromić, opanować Siedlce, a później posunąć się ku Brześciowi, odciąć Dybicza, który podówczas znajdował się pod Łukowem, od komunikacji z północą i w ten sposób zmusić armję rosyjską do odwrotu za Bug.

Skrzynecki zwlekał, ale korzyści, przedstawione przez Prądzyńskiego, były tak widoczne, że ostatecznie zdecydował się na nowy ruch zaczepny. Stanęło na tem, że Prądzyński z kolumną, złożoną z 7.000 ludzi, obejdzie z prawej strony Rosena, stojącego pomiędzy Boimiem a Iganiami, na lewo z dywizją jazdy zajdzie mu drogę Łubieński, a sam wódz naczelny z głównemi siłami zaatakuje Rosjan od frontu.

Stosownie do tego planu rozdzielono armję polską, umówiono się ściśle co do dnia i godziny, o której Rosen ma być zaatakowany — i Prądzyński, mający najdłuższą drogę i najtrudniejsze zadanie, pierwszy wyruszył w drogę. Dnia 10 kwietnia stanął przed Iganiami, rozłożył swe wojska w zaroślach, a sam objechał pozycje nieprzyjacielskie. Siły rosyjskie składały się z 16.000 żołnierza i 28 dział, ustawionych na wzgórzach w ten sposób, że wszelki atak od strony, którą przybył Prądzyński, czyniły bardzo niebezpiecznym. Ucieszył się na ten widok Prądzyński, bo główny atak miał prowadzić

GEN. IGNACY PRĄDZYŃSKI

Skrzynecki, a ustawienie dział i rozłożenie wojsk rosyjskich świadczyło, że Rosen ani przeczuwa, skąd mu grozi główne niebezpieczeństwo.

Ale nadaremnie Prądzyński i jego żołnierze wytężali wzrok w stronę, od której miał nadciągnąć Skrzynecki. Żadnego poruszenia, żadnego znaku nie było widać, któryby zwiastował rychłe nadejście głównych sił polskich. Trwożne przeczucie ogarnęło Prądzyńskiego, gdyż nieprzybycie naczelnego wodza w porę najfatalniejsze mogło wywołać następstwa.

Tymczasem Rosen rozpoczął ogień armatni — i bitwa się zaczęła.

Prądzyński część wojska pozostawił w drodze dla osłaniania swych tyłów i skrzydeł; cała jego siła wynosiła teraz 6.000 ludzi i 10 armat pod dowództwem Bema. Trzy razy tyle nieprzyjaciół na dogodnych pozycjach miał przed sobą, ale animuszu nie stracił i, wierząc, że Skrzynecki za chwilę nadciągnie — bitwę przyjął.

W odpowiedzi na strzały armatnie nieprzyjaciół rozkazał 8 pułkowi piechoty uderzyć na Iganie, a Bemowi zbliżyć się z artylerją i ogień działowy rozpocząć. Bem ochoczo ruszył naprzód i celnemi strzałami jął osypywać kolumny rosyjskie, a pułk 8 ze śpiewem wtargnął do Igań, bagnetem natarł na grenadjerów i, zabrawszy dwa działa, usadowił się we wsi. Wówczas generał Rosen na pomoc grenadjerom posyła 13 i 14 pułk strzelców i rozkazuje im wieś odebrać. Strzelcy owi, wsławieni w ostatniej wojnie tureckiej atakiem pod Warną, a stąd lwami warneńskiemi zwani, w ścieśnionych kolumnach zaatakowali pułk 8 i po krwawej walce wyparli go ze wsi, objętej już pożarem.

Jednocześnie zaś jazda nieprzyjacielska zaczęła okrążać pozycje wojsk polskich, a „lwy warneńskie“ wciąż posuwały się naprzód, pchając przed sobą słabszą liczebnie piechotę.

Chwila była krytyczna.

Przemagające siły Rosjan brały już górę, a Skrzynecki nie przybywał. Szala zwycięstwa stanowczo przechylała się na stronę Rosena — i widmo klęski zajrzało w oczy Prądzyńskiemu. Ale na myśl o klęsce nowy duch wstąpił w jego serce i przez głowę, niby błyskawica, przemknął świetny pomysł. Widząc lewe skrzydło rosyjskie wysunięte naprzód i w pochodzie swoim za 8 pułkiem odcięte od reszty armji, a zarazem od grobli, przez którą szła droga ku Siedlcom, Prądzyński sformował pozostały mu 5 pułk piechoty i, stanąwszy na jego czele, postanowił zaatakować prawe skrzydło Rosjan, roznieść je na bagnetach, a potem rzucić się ku grobli, opanować ją i przeciąć odwrót wojskom, co w walce z 8 pułkiem posunęły się za daleko.

Jeździe polskiej kazał odpierać konnicę rosyjską, poczem sformował szeregi do ataku.

Dał rozkaz, zawarczały bębny — i pułk biegiem posuwa się naprzód.

Słońce właśnie chyliło się ku zachodowi i ostatniemi promieniami oświetliło atakujące kolumny. Purpurą słoneczną niby krwią zalane błysnęły bagnety Polaków, z piersi ich wyrwała się pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ i niby łoskot gromu zahuczała w powietrzu. Ruszyli naprzód. Rażą ich strzały armatnie, zastępują im drogę gromady nieprzyjaciół, ale nic mężnych wstrzymać nie może. Bagnetem, kolbą, pieścią robią sobie drogę, wyrzucają Rosjan ze wsi i jak rozjuszone lwy dopadają grobli. Tu nowy bój się wszczyna, znowu bagnet i kolba jest w robocie, ale choć dzielnie bronią się Rosjanie, muszą wkońcu ustąpić — i grobla zostaje w rękach polskich.

Teraz zamieszanie wkrada się w szeregi rosyjskie, część wojsk, odcięta od sił głównych, składa broń, część topi się w rzeczce Muchawcu i błotach, reszta uchodzi w nieładzie. 1.500 niewolnika, kilka dział i dwa sztandary dostało się

Polakom, a 3.000 zabitych i rannych ubyło z szeregów rosyjskich. Straty Prądzyńskiego nie dosięgały 500 ludzi.

Świetne zwycięstwo odniósł nad przemagającemi siłami Prądzyński, ale za mało miał wojsk, aby się pokusić o Siedlce i marsz natychmiastowy rozpocząć. Z boleścią więc spoglądał na krwawe, choć zaszczytne dla niego pobojowisko, myśląc o triumfie zupełnym, który tak bliski był urzeczywistnienia.

Zgasło słońce, mrok począł otulać zlaną krwią walecznych ziemię, gdy zjawiły się nareszcie kolumny głównych sił polskich, a tuż za niemi i naczelny wódz Skrzynecki.

Cóż się stało, że tak późno przybywał?

Oto, zamiast dążyć ku Iganiom co tchu w piersiach starczy, naczelny wódz maszerował ospale i ze zwykłą sobie niedbałością, nie wydając podkomendnym odpowiednich rozkazów.

Na drugi dzień zdobycie Siedlec okazało się już o wiele trudniejszem. Rozpoznania uczynione przekonały, że przybyły tam znaczne posiłki i że wódz rosyjski ma się na baczności. Ale wojska polskie, upojone zwycięstwem, pałały żądzą walk dalszych, żołnierz prosty drżał z niecierpliwości na myśl o nowych bojach i nowych zwycięstwach, bo w całej armji nikt już o nich nie wątpił... nikt, prócz naczelnego wodza...

Skrzynecki nie zważał na ów wielki zapał, ożywiający całe wojsko polskie, ani na to, że liczebność jego zrównała się po odniesionych zwycięstwach z liczebnością podupadłej i zdemoralizowanej armji rosyjskiej, ani na to, że siły polskie już się nie wzmogą, a na pomoc Dybiczowi ciągną wielkie posiłki. Skrzynecki stanął wpoprzek wszystkim pragnieniom armji, niby jakaś fatalna siła zawisł nad Polską i kiedy zbawienie jej leżało w dalszych krokach zaczepnych, on jeden w całym narodzie, mający w tej chwili władzę i moc rozkazywania, — nakazał ruchy odwrotne.

Zwycięstwa pod Wawrem, Wielkiem Dembem i Iganiami szeroko rozsławiły imię naczelnego wodza, z uznaniem powtarzano je na obu półkulach, a w całym kraju wymawiano je z głęboką i serdeczną wdzięcznością, z najwyższym szacunkiem i czcią.

Nikt jeszcze nie wiedział, co za serce biło w piersiach naczelnego wodza, w tych piersiach, które Rząd Narodowy w uznaniu za wielkie usługi, oddane ojczyźnie, ozdobił po bitwie pod Wielkiem Dembem krzyżem komandorskim.

Skrzynecki, syt zaszczytów i sławy, nakazawszy ruchy odwrotne, powrócił do Warszawy.

O ironjo! stolica przywitała go, jak największego bohatera wszystkich czasów Polski...

VII.

DZIAŁALNOŚĆ SEJMU I RZĄDU

Zwycięstwa, odniesione przez Polaków, zbudziły czujność gabinetów europejskich — i powstanie, skazane przez wszystkie rządy na rychłą zagładę, przeradzało się w kwestję aktualną, stawało się zjawiskiem, na które cała Europa patrzyła z najżywszą ciekawością. Ale sprawa polska dotyczyła trzech mocarstw zaborczych, w których interesie nie leżało bynajmniej ostateczne zwycięstwo Polaków. Nie wierzono jednak w takie zwycięstwo, a dla niepewnej sprawy nikt nie myślał narażać się Rosji.

Rząd Narodowy już w początkach powstania szukał u mocarstw pomocy, lecz wszędzie spotkał się z odmową. Obecnie postanowił wznowić akcję dyplomatyczną, w nadziei, że odniesione zwycięstwa wpłyną na usposobienie rządów.

Rząd austrjacki, rywalizujący z Rosją, patrzył z zadowoleniem na jej kłopoty i gotów był przyklaskiwać powstaniu, z tym wszakże warunkiem, iż stanie się ono potężnem.

Już w grudniu 1830 r. nawiązano stosunki z konsulem austrjackim w Warszawie Oechsnerem i ofiarowano tron polski Habsburgom. Oechsner odpowiedział:

„— Polska jest to panna posażna, lecz niezmiernie trudno windykować jej posag...“

Później ks. Czartoryski przez młodszego swego brata Konstantego, przebywającego w Wiedniu, nawiązał rokowania z kanclerzem austrjackim, ks. Metternichem. Wzamian za pomoc zbrojną proponował koronę polską jednemu z arcyksiążąt austrjackich. Za tę koronę, bardzo niepewną, musiałaby Austrja narazić się na walkę z potężnym sąsiadem. Więc Metternich ani myślał kruszyć kopji o tron niepewny, lecz spokojnie czekał na dalszy rozwój wypadków. Z przedstawicielami Polski nie robił sobie ceremonij. Po detronizacji, w której widział krok republikański, nie chciał z nimi mówić, po odniesionych zwycięstwach polskich, które wywarły duże wrażenie na Franciszku I, spuścił z tonu, wobec sympatyj dla Polski, wzrastających na dworze cesarskim. Gdy jednak widoki wojny wyraźnie zaczęły się przechylać na stronę rosyjską, radził Polakom poddać się Mikołajowi, a korespondencję, jaką otrzymywał z Warszawy, i relacje o działaniach Rządu Narodowego posyłał do Petersburga. Nieszczera i dwuznaczna polityka austrjacka wyraźnie zwracała się przeciw Polsce. Ale ks. Czartoryski najwięcej na Austrję liczył, a złudzenia jego, z wyjątkiem Lelewela, podzielali członkowie rządu i wódz naczelny Skrzynecki. Złudzenia te straszliwem miały się skończyć rozczarowaniem.

Najwięcej sympatji powstanie miało we Francji. Wiadomość o wybuchu listopadowym przywitano w Paryżu okrzykami zapału. Lud paryski domagał się od rządu wysłania do Polski posiłków zbrojnych, a później wiadomości o zwycięstwach przyjmował radosnem uniesieniem. Ale entuzjazmu mas ludowych nie podzielał bynajmniej rząd francuski. Misja polska w Paryżu, złożona z gen. Kniaziewicza i hr. Ludwika Platera, traktując z ministrami, starała się im wykazać, że powstanie wstrzymało Mikołaja od wtargnięcia ze swem wojskiem do Francji, że porażka Rosji zabezpiecza Francję od najazdu rosyjskiego w przyszłości, ale argumenty te nie od-

MARSZAŁEK WŁADYSŁAW OSTROWSKI

nosiły skutku. Minister spraw wewnętrznych, Sebastiani, nie skąpił Polakom słów gorącego współczucia, lecz do niczego zobowiązywać się nie chciał. Przez gen. Lafayette'a, towarzysza broni Kościuszki, a gorącego przyjaciela Polaków, trafiła misja paryska i do Ludwika Filipa, ale król ten, wyniesiony niedawno na tron francuski dzięki rewolucji lipcowej, całkowicie pochłonięty był myślą o utrwaleniu swojej dynastji, unikał więc wszystkiego, co mogłoby narazić go rządom. Na nalegania Lafayette'a odpowiadał wykrętnie. Na odmowę zdobyć się nie mógł, bo sprawa polska była we Francji popularna, ale że się Rosji obawiał, więc uciekał się do niegodnych wybiegów.

W Anglji, która podówczas rywalizowała z Francją, a tem samem przechylała się na stronę Rosji, akcję dyplomatyczną prowadził początkowo margrabia Wielopolski, a później hr. Walewski, żadnemu jednak nie udało się wymóc na rządzie angielskim nawet obietnicy jakiegokolwiek poparcia.

Najwpływowszy w ówczesnym gabinecie lord Grey przez długie lata słynął, jako przyjaciel Polaków. Podczas kongresu wiedeńskiego protestował gorąco przeciw podziałowi Polski, a w roku 1814-ym pisał do Kościuszki, że wszystkie nieszczęścia i klęski, trapiące Europę, mają swoje źródło w zbrodni na Polsce dokonanej. Teraz ten sam mąż stanu, przyjmując list ks. Czartoryskiego, wyraźnie podkreślał, że nawet ten list traktuje, jako pismo prywatne. Tak się zmienił człowiek, gdy posiadł władzę i istotnie mógł okazać pomoc powstającej Polsce.

Rząd pruski odrazu względem powstania zajął stanowisko wrogie i wyraźnie dopomagał Rosji. Nic dziwnego. Triumf Polaków musiałby się odbić i na skórze pruskiej. To też Prusacy mieli się na baczności i nad granicami Królestwa gromadzili wojska, by w razie potrzeby pchnąć je na pomoc Moskalom. Nadto wojskom rosyjskim dostarczali żywności,

amunicji, oddawali mnóstwo innych przysług, świadczących aż nadto wymownie o usposobieniu rządu pruskiego w stosunku do obu stron walczących.

Mrozem wiało od gabinetów europejskich.

Jednakże ks. Czartoryski nie tracił nadziei, że wkońcu uda się rządy europejskie pozyskać dla sprawy walczącego narodu. Nadzieje te podzielał Skrzynecki, a skutkiem tego uwaga władz, kierujących powstaniem, zbyt często skupiała się na okolicznościach zewnętrznych i odrywała energję od organizowania siły jedynie niezawodnej: w e w n ę t r z n e j s i ł y n a r o d u. Tymczasem władze polskie, jak słusznie powiedział jeden z dawniejszych historyków powstania, Mierosławski, powinny się były tak zachowywać, jakby „prócz Polski i trzech jej ciemiężców więcej nic żywego w Europie nie drgało"... Wprawdzie na Zachodzie przywódcy stronnictw ludowych nie kłamali Polsce swych uczuć i w miarę sił starali się wpływać na zmianę polityki swoich rządów. Ale nadaremnie. Przyczyną takiego stanu rzeczy było przekonanie gabinetów, że Rosja niebawem zwycięży. Jedynie wielkie zwycięstwo powstańców mogło zmienić usposobienie monarchów, jedynie siła mogła trafić im do przekonania. A dotychczasowe powodzenia były tylko epizodami w toczącej się wojnie, epizodami, które bynajmniej nie uniemożliwiały Rosjanom odwetu.

Gdy więc zawiodło współdziałanie rządów, — inna siła pozostawała do zdobycia, a siłą tą była opinja mas ludowych, z którą już wówczas na zachód od Polski liczono się wszędzie. Nawet król pruski w rozmowie z księciem Antonim Radziwiłłem oświadczył, że powstanie polskie do tego stopnia wzbudza sympatję ludów, że ta sympatja może zmusić rządy do pośrednictwa, ale trzeba, by powstanie toczyło się dalej.

W takim stanie rzeczy można było ową sympatję podsycić i w powstaniu polskiem ukazać ludom drogie im ideały.

Aby tego dokonać, dość było rządowi powstańczemu proklamować wolność, równość, braterstwo, obwieścić głośno zniesienie pańszczyzny, nadać włościanom ziemię, z temi samemi hasłami wkroczyć na Ruś i Litwę. W ten sposób rząd powstańczy mógł nie tylko zjednać sobie sympatje ludów, ale, pobudzając najliczniejszą klasę mieszkańców Polski do żywszego udziału w toczącej się walce, samemu powstaniu przysporzyć nową a ogromną siłę.

Rozumieli to wybitniejsi obywatele i zaraz na początku powstania domagali się reform.

Wołało o nie Towarzystwo Patrjotyczne, dopominał się o nie Lelewel, pragnęli ich dalej patrzący posłowie.

Ale na czele powstania stał Sejm i od niego zależało reformy wprowadzić w czyn.

Na wniosek Lelewela jeszcze przed zaczęciem wojny Sejm przeznaczył część dóbr narodowych, przedstawiających wartość 10 miljonów złp., na wynagrodzenie żołnierzy, poszkodowanych w wojnie, a po bitwie grochowskiej poseł Olrych Szaniecki zgłosił wniosek, żądający nadania włościanom własności gruntowej i zniesienia znienawidzonych przez ludność monopolów. Wniosek ten, odesłany do komisji, nie doczekał się dyskusji w Izbie poselskiej, ale sprawa włościańska coraz natarczywiej wysuwała się naprzód.

Szlachta, zasiadająca w Sejmie, z małemi wyjątkami, przeciwna była reformom i tylko dalej patrzący posłowie toczyli o nie walkę.

Dnia 28 marca minister skarbu, Alojzy Biernacki, przedstawił Izbom połączonym projekt, przyznający drobnym rolnikom własność gruntową w dobrach narodowych. Projekt ten, wypowiadający się za zniesieniem pańszczyzny i zamianą jej na czynsz, zarazem zmierzał do podzielenia większych folwarków na drobne posiadłości.

— Rewolucję naszą, święty cel mającą, — mówił minister

Biernacki — uświetnijmy jeszcze prawem, które będzie źródłem szczęścia i godniejszego bytu najliczniejszej klasy narodu. Pokażmy światu, że Polak, sobie zostawiony, umie się skutecznie zajmować chwałą i rzeczywistem szczęściem narodu.

W dalszym ciągu dyskusji, która się nad przedstawionym projektem wyłoniła, najgoręcej przemawiali za reformami posłowie Deskur, Sołtyk i Szaniecki.

— Prawo nadania własności gruntowej włościanom — dowodził Deskur — uwieczni w oczach oświeconej Europy święte nasze zamiary w uzyskaniu narodowej niepodległości i przekona, że, wolni od przesądów przodków naszych, postanowieniem niniejszem dopełniamy od lat tylu przeznaczone włościanom nabycie gruntów na własność...

A Roman Sołtyk, malując usposobienie włościan, mówił:

— Widziałem ich miłość ojczyzny, kiedy ich kilka tysięcy uzbrojonych w kosy, bez żywności, po nocach prowadziłem. Żaden z nich nie wrócił do domu. Podnoszę więc głos mój za tą klasą narodu i zapewniam was, reprezentanci, że cokolwiek dla niej zrobimy, rzeczywiście przyczyni się do dobra ojczyzny...

Poseł Szaniecki, przemawiając za nadaniem gruntu włościanom i wskazując konieczność zniesienia pańszczyzny, wołał:

— Uchwała ta postawi Polskę na stopniu odpowiednim cywilizacji europejskiej, na stopniu szczęścia i swobód prawdziwej wolności. Miljon rąk podniesiemy ku obronie tej ziemi, na której miljon wolnych utworzymy jej właścicieli. Miljonem niepodległych obywateli wzmocnimy reprezentację narodową, bo miljonowi niezawisłych obywateli nadamy prawa polityczne. W tem leży dobro kraju, w tem leży honor narodu.

Jak widać z tych głosów, reformy społeczne miały w Sej-

mie gorących rzeczników, ale ogół sejmowy przekonać się nie dał.

Jak już wiadomo, podczas bitwy grochowskiej znaczna część posłów spakowała w popłochu swoje manatki i, przewidując zdobycie Warszawy, uciekła ze stolicy. Huk wystrzałów na błoniach grochowskich spłoszył ich, niby stado swarliwych wróbli. Ulecieli pod domowe strzechy i ślad wszelki po nich zaginął. Sejm musiał obradować w tak nielicznem gronie, iż żadna uchwała nie mogła się stać prawomocną. Na wniosek Wincentego Niemojowskiego postanowiono zmniejszyć komplet zwyczajny do 33 członków. Lecz ostatnie zwycięstwa ośmieliły uciekinierów. Więc opuścili swoje folwarki i zaczęli zwolna ściągać do Warszawy. Ci ludzie o tchórzliwem sercu i zajęczej duszy, opuszczający swoje placówki wtedy, kiedy niebezpieczeństwo zaczynało grozić ojczyźnie, nabrali teraz ducha i gadaniem starali się zwichnąć zapoczątkowane dzieło. Oni to, powodowani egoizmem klasowym i samolubstwem, na wniosek posła Walichnowskiego, zepchnęli sprawę reform z porządku dziennego, by następnie do obrad nad nią już nie dopuścić.

W ten sposób Sejm odepchnął najliczniejszą klasę narodu, i zamiast jako świadomą siłę, zainteresowaną wynikiem wojny, rzucić ją do walki, własną ręką cios zadał powstaniu.

Dnia 4 marca Izby Sejmowe ogłosiły odezwę, w której reprezentanci narodu oświadczali w obliczu świata i ziomków swoich, że jak w początkach rewolucji, tak i nadal postanowili nie odraczać Sejmu, nie rozdzielać się z rządem i wojskiem, a gdyby n i e p r z e w i d z i a n y w y p a d e k skłonił Sejm do o p u s z c z e n i a s t o l i c y, to i wtedy nawet członkowie Sejmu nie przestaną czuwać nad losami ojczyzny, nigdy nie zapomną, że są pełnomocnikami ludu polskiego, że, stojąc na straży jego wolności, honoru i sławy, w najcięższych przeciwnościach bronić ich będą do ostatka!

Odezwa ta świadczyła, że trwożne przeczucia miotały sejmującymi, a przewidywanie opuszczenia stolicy było wymownym tej trwogi wyrazem. Ale zwycięstwa pod Wawrem, Wielkiem Dembem, Iganiami zmieniły postać rzeczy.

Pięknym słowom odezwy nie towarzyszyły czyny.

Sejm zastanawiał się nad wielu drobnemi kwestjami, tonął w odmęcie gadatliwości, ale nie mógł się zdobyć na najważniejszą dla ludu polskiego uchwałę.

Poseł Szaniecki, chcąc ratować sytuację, założył T o w a r z y s t w o P r z y j a c i ó ł L u d u, które miało szerzyć śród włościan oświatę i ułatwiać im nabywanie ziemi na własność, ale Towarzystwo to, pozbawione poparcia i środków, nie zdołało uratować pogrzebanej w Izbie poselskiej sprawy.

Gdy więc Sejm, ta najwyższa władza powstania, nie umiał powołać do obrony kraju nowych obywateli i postępowaniem swojem odrzucał środki ratunku, nic przeto nie pozostawało, jak walka temi siłami, jakie były pod ręką.

Skarb polski, pomimo licznych trudności i niedołężnej a lekkomyślnej polityki ministra skarbu Alojzego Biernackiego, opędzał wszystkie potrzeby wojny i żołnierz nie cierpiał niedostatku. Nic tedy nie stało na przeszkodzie, by wyruszyć w pole i rozpocząć działania zaczepne. Dyslokacja wojsk rosyjskich, nieoczekujących inicjatywy ze strony polskiej, pozwalała liczyć na powodzenie.

Ale Skrzynecki spoczywał na laurach.

Wódz naczelny przemienił się teraz w polityka, dyplomatę, pisał na własną rękę memorjały i te posyłał zagranicę, w przekonaniu, że głos jego niewątpliwie wysłuchany będzie. Wierzył mocno w pomoc zbrojną Austrji i Francji, studjował pilnie gazety zagraniczne i o rozpoczęciu nowej batalji ani chciał słyszeć.

Dotychczasowy przebieg walki wykazał, że każdy krok zaczepny kończył się powodzeniem, lecz Skrzynecki mówił

o systemie odpornym, bo system ten pozwalał mu trwać w bezczynności, co dogadzało jego lenistwu i niezdecydowaniu.

Nadaremnie Prądzyński przedstawiał wodzowi świetnie obmyślany plan stoczenia wielkiej bitwy z główną armją rosyjską i przekonywał o widokach zwycięstwa.

Skrzynecki ani chciał o tem słuchać i dopiero usilne nalegania Rządu Narodowego skłoniły go do wyruszenia w pole. Nie śmiał jednak zaczepić Dybicza i wybrał plan inny, również opracowany przez Prądzyńskiego, ale nie mogący dać rezultatów, o jakie w owej chwili chodziło.

Była to wyprawa na gwardje cesarskie, stojące zdala od pola bitwy, a przeznaczone przez Mikołaja do triumfalnego wejścia do Warszawy, oczywiście po jej zdobyciu.

Gwardje w sile 22.000 ludzi pod dowództwem w. ks. Michała, biwakując w okolicach Łomży, stały podówczas pod Zambrowem na straży dwóch traktów, prowadzących na Litwę. Główna armja zajmowała leże pod Siedlcami.

Otóż Prądzyński, korzystając z odosobnienia gwardyj, uplanował zaskoczyć je znienacka i rozbić prędzej, nim Dybicz z główną siłą mógłby nadciągnąć z pomocą. Plan ten liczne przedstawiał trudności, ale że Skrzynecki o niczem innem słyszeć nie chciał, przeto wyprawa na gwardje została zdecydowana.

Jednocześnie zaś z tą wyprawą postanowiono wysłać na Litwę oddział jazdy pod generałem Chłapowskim, by podtrzymać szerzące się tam powstanie.

Z izb poselskich i komnat rządowych los powstania przenosił się znowu na pola bitew...

Ale Skrzynecki z najwyższą niechęcią wyruszał na tę wyprawę.

W stolicy zapanował niepokój.

VIII.

BITWA POD OSTROŁĘKĄ

Dnia 12 maja wojska zostały uruchomione...

Generał Umiński z korpusem jedenastotysięcznym otrzymał rozkaz obserwowania głównej armji nieprzyjacielskiej. Miał on zasłaniać stolicę, a w razie marszu Dybicza ku gwardjom utrudniać mu pochód.

Skrzynecki wiódł ze sobą 27.000 żołnierzy, a przodem trzema różnemi drogami szli generałowie Giełgud, Łubieński i Dembiński. Przednią straż prowadził gen. Jankowski. Oddział Jankowskiego spotkał w Długosiodle pułk finlandzki, należący do gwardyj. Pułk ten bronił się mężnie i Długosiodło opuścił po krwawym oporze, uchodząc w zupełnym porządku pod zasłoną nocy.

Ten opór niekorzystnie wpłynął na naczelnego wodza i odrazu zbudził w nim chwiejność. Zaczął się niepokoić o wynik bitwy, którą szedł stoczyć z gwardjami. Tysiączne wątpliwości, niby chmura ptaków, przesłaniały mu odtąd drogę i wódz zaczął rozmyślać, jakby się tu od niepewnej bitwy wykręcić.

Tymczasem w. książę Michał, otrzymawszy niespodzianie wieść o marszu wojsk polskich, postanowił opuścić Zambrów i przejść natychmiast Bug, aby połączyć się z Dybiczem. Ale

wzdłuż Bugu ciągnął generał Łubieński, wobec czego w. księciu nie pozostawało nic innego, jak pozostać w miejscu i przyjąć bitwę lub też oddalić się jeszcze bardziej od Dybicza i cofnąć się do Śniadowa. W. książę wybrał to ostatnie, ale dalsze cofanie się zostało sparaliżowane nadejściem wojsk polskich.

Dnia 18-go obie armje stanęły oko w oko...

22.000 ludzi i 70 armat liczyły gwardje, Skrzynecki przywiódł ze sobą 30-tysięczną armję i dział 80.

Cel został osiągnięty: gwardje, zaskoczone liczniejszą i ożywioną zwycięstwami armją, musiały stawić czoło, bo droga odwrotna, zapchana niezliczoną ilością taborów, uniemożliwiała ruch wsteczny. Przewaga po stronie polskiej była tak widoczna, że o zwycięstwie nikt w szeregach polskich nie wątpił.

Należało korzystać co prędzej z tej sytuacji i bitwę rozpocząć natychmiast. Całe wojsko polskie rwało się do boju. Żołnierzom pilno było zmierzyć się z gwardją, która uchodziła za najwaleczniejsze wojsko w armji rosyjskiej. Wiedziano przecież, że w gwardji służą bogaci panicze, zniewieściali w wygodach i uciechach życia rosyjskiej stolicy. Wiara drwiła z paradnych mundurów i szeptała sobie na ucho, że to najlepsze wojsko jest takiem tylko na paradzie. Więc na widok unieruchomionych gwardyj całą armję ogarnął zapał. Żołnierz, w przekonaniu, iż do bitwy niezwłocznie dojść musi, troskliwie opatrywał broń, mierzył okiem nieprzyjaciela i, czekając rozkazów, stał w pogotowiu bojowem. Ale czas płynął, mijała godzina za godziną, a wódz naczelny trwał w bezczynności. Więc cała armja zaczynała niecierpliwić się i szemrać.

Tymczasem Skrzynecki już poprzedniego dnia wieczorem, gdy wiadomem było, że gwardje się nie wymkną, wiódł żywy spór z Prądzyńskim. Mówił on Prądzyńskiemu, że w bitwę

wdawać się nie może, dopóki nie otrzyma wiadomości od gen. Umińskiego o Dybiczu, który mógł przejść Bug i maszerować ku Warszawie lub też śpieszyć na pomoc w. księciu Michałowi. W odpowiedzi na to Prądzyński zrobił uwagę, że jeżeli Dybicz śpieszy gwardjom na pomoc, to tem bardziej z wydaniem bitwy zwlekać nie można, bo lepiej przecie skończyć z jednym nieprzyjacielem, a później zmierzyć się z drugim, niż odrazu walczyć na dwa fronty. Tem bardziej zaś nie należy tracić czasu, jeśli stolica jest zagrożona.

Nie potrzeba znać się na wojnie, aby słuszność tych uwag ocenić.

Ale Skrzynecki był uparty i ani myślał słuchać Prądzyńskiego. Nie mając na jego wywody odpowiedzi, zaczął się nowych doszukiwać trudności. A więc mówił, że czeka na wiadomość, czy generał Łubieński mosty na Bugu poznosił i Nur opanował, to znowu zaniepokoił się o most na Narwi pod Ostrołęką i, osłabiając swe siły, pchnął do Ostrołęki dywizję Giełguda, rozkazując mu zająć most, a następnie ścigać gen. Sackena, który, opuściwszy to miasto, szybko uchodził ze swoim korpusem.

Na drugi dzień, t. j. 18 maja, gdy oba wojska stały naprzeciw siebie, przybył adjutant gen. Umińskiego z wiadomością, że Dybicz, nieświadomy celów wyprawy, stoi pod Siedlcami. Jednocześnie i gen. Łubieński przysłał zawiadomienie, że mosty na Bugu poznoszone i Nur opanowany.

Prądzyński, ucieszony szczęśliwym zbiegiem okoliczności, natychmiast zasiadł do pisania rozkazów na dzień następny, o świcie bowiem bitwę projektował rozpocząć. Przygotowawszy rozkazy, zawiózł je zaraz do kwatery naczelnego wodza.

Skrzynecki już spał. Obudzony zgodził się na wszystko, ale gdy Prądzyński zwrócił się ku wyjściu, zatrzymał go i niespodzianie zażądał wstrzymania przygotowanych do bitwy rozkazów.

Prądzyński osłupiał.

Ale czując wielkość chwili, stłumił gorycz oraz pogardę dla wodza i zaczął nalegać, a gdy to nie pomagało, uciekł się do próśb i zaklinań na wszystkie świętości. Ale nadaremnie ze łzami w oczach błagał Skrzyneckiego, by korzystał ze szczęśliwego położenia, nadaremnie raz jeszcze powtarzał wszystkie swoje argumenty. Skrzynecki był nieporuszony jak skała. Zniecierpliwiony wkońcu uporczywemi prośbami, podniósł głos i powiedział ostro:

— Mości panie generale, proszę o tem pamiętać, że ja rozkazuję...

Poczem wskazał ręką drzwi i obrócił się do ściany. Zrozpaczony Prądzyński nie znalazł już w sobie mocy, by przełamać zbrodniczy upór tchórzliwego wodza. Więc zwrócił się ku wyjściu i, trzasnąwszy drzwiami, opuścił kwaterę. Wyjechał później do Łomży, którą zdobywać miał Giełgud.

A w. ks. Michał skorzystał z bezczynności Skrzyneckiego, uprzątnął drogę i dn. 19 maja w oczach wojsk polskich rozpoczął odwrót. Nikt mu nie przeszkadzał. Armja polska, instynktem wiedziona, posunęła się za gwardjami, ale choć żołnierze w najwyższym stopniu byli oburzeni, choć rwali się do boju, musieli patrzeć bezczynnie, jak nieprzyjaciel uchodził i pozbawiał ich zwycięstwa.

Skrzynecki na wiadomość o odwrocie gwardyj opuścił Troczyn i ruszył do Śniadowa, ale tam już wojsk polskich nie zastał. Żołnierze szydzili później:

— Wódz zgubił armję i szukać jej musiał...

Nareszcie Skrzynecki dopędził wojsko i teraz dopiero zarządził energiczną pogoń. Jakże zmieniło się położenie! Z powodu odkomenderowania Giełguda tylko 17.000 wojska miał ze sobą Skrzynecki i, choć w przeddzień z większą siłą obawiał się o los bitwy, teraz, gdy istotnie wynik jej stawał się bardzo niepewnym — zapałał żądzą boju. Ale już było za

późno. Gwardje uchodziły bezpieczne i tylko tylną straż dogonili Polacy. Pod Rudkami doszło do krwawej utarczki — i pogoń odbywała się dalej. Ale gwardje maszerowały tak szybko, że niebawem prysła wszelka nadzieja stoczenia z niemi bitwy. Skrzynecki zapędził się aż do Tykocina i, wymęczywszy wojska uciążliwym marszem, rozpoczął odwrót. Czas był najwyższy, bo Dybicz teraz posuwał się naprzód i zagrażał rozproszonej armji polskiej.

Podjęte w tym czasie działania wojenne Gielguda i Umińskiego również nie dały pomyślnych wyników i cała wyprawa poszła na marne.

Dnia 25 maja Skrzynecki stanął w Ostrołęce, tutaj spotkał się z Prądzyńskim, który nie mógł utaić swego żalu, ale zgodził się zostać przy armji i wybrać jej leże. Uspokojony tem wódz naczelny opuścił wojsko i, stanąwszy kwaterą w Krukach, zaczął się szykować do dłuższego spoczynku. O Dybiczu nie myślał, wystąwiał sobie bowiem, że rzeka Narew, płynąca pod Ostrołęką, zabezpiecza go od nieprzyjaciela. Po prawej stronie rzeki rozlokowane zostało wojsko polskie, a o most pod Ostrołęką wódz był spokojny, gdyż lewą stronę Narwi, skąd można się było wojsk rosyjskich spodziewać, zasłaniał gen. Łubieński.

Tymczasem Łubieński, mając przed sobą wszystkie siły Dybicza, cofał się do Ostrołęki, dn. 26 maja przeszedł przez miasto i skierował się ku głównej armji polskiej, wtedy właśnie, gdy Skrzynecki urządzał się do dłuższego odpoczynku w Krukach.

W Ostrołęce dla wstrzymania pochodu wojsk rosyjskich pozostał jedynie generał Bogusławski z czwartym pułkiem piechoty, pułkiem weteranów i jednym bataljonem 8 pułku.

Dybicz, zbliżywszy się do Ostrołęki, rozkazał bombardować miasto, a potem pchnął do szturmu piechotę. Ruszyła najpierw dywizja Nabokowa, generał Gorczakow poprowa-

dził dwa pułki karabinierów, a generał Martynow wiódł pułk grenadjerów oraz pułki astrachański i suworowski. Dwie dywizje stanęły w odwodzie.

Bogusławski, widząc, że nie utrzyma się długo, odesłał za Narew swe działa — i tylko bagnetem zdecydował się bronić. Odparłszy mężnie pierwsze natarcie, odesłał za rzekę i weteranów wraz z bataljonem 8 pułku i jedynie z czwartakami postanawia potykać się dalej. Najtęższi to w armji żołnierze, więc śmiało patrzą śmierci w oczy i z nieustraszonem męstwem przyjmują ataki olbrzymiej masy rosyjskiej. Zalewają ich fale nieprzyjaciół, rażą ogniem, kłują bagnetami, jeden przeciw pięciu walczyć musi, ale męstwo robi swoje — i Rosjanie nie mogą rozerwać garstki walecznych. Lecz oto od nieprzyjacielskich granatów zapalają się budowle. Z trzaskiem walą się dachy, snopy iskier ulatują w niebo, tumany dymu i ognia zapełniają ulice. Jednocześnie masy nieprzyjaciół z trzech stron okrążają miasto, dostają się do mostu i wiodą bitwę z uchodzącymi weteranami.

Wówczas Bogusławski nakazuje odwrót...

Przez kurzawę dymu i płomieni cofają się czwartacy, ale nie dają za wygraną, lecz zatrzymują się na załomach ulic, prażą atakujące kolumny celnemi strzałami, odpierają bagnetem i, budząc podziw nieprzyjaciela, zdążają ku mostowi. Lecz nieprzyjaciel korzysta ze swojej liczebnej przewagi, otacza zewsząd garstkę walecznych, ściska ją pierścieniem ognia i żelaza i pierścień ten zacieśnia coraz bardziej. Bagnetem i pięścią trzeba sobie torować drogę — bagnety i pięści puszczają w ruch czwartacy i po drodze, usłanej trupami, dostają się na most. Garstka ich pozostała, ale była to garstka rozjuszonych lwów. Więc na moście nowa rozpoczyna się walka, jeszcze krwawsza i jeszcze zażartsza. Żołnierze chwytają się za bary, spychają się w rzekę, aż Narew zapełnia się skłębionemi ciałami, a woda od krwi ludzkiej staje się różo-

wą. Nareszcie Bogusławski, acz sam ranny, przerzyna się przez most i łączy się z wojskiem, śpieszącem mu na ratunek. To gen. Pac, widząc, co się dzieje, zgromadził trochę piechoty i przyszedł z odsieczą Bogusławskiemu.

Tymczasem wódz naczelny zażywał spoczynku w Krukach i, nie wierząc w nadejście Dybicza, niewiele sobie robił z dochodzących go odgłosów walki. Wreszcie zdecydował się zobaczyć, co to za bitwa się toczy, i w otoczeniu adjutantów wyjechał na wzgórze, skąd jak na dłoni widać było miasto. Ujrzawszy liczne wojska, Ostrołękę w płomieniach, most zdobyty, a z obu stron rzeki nieprzyjaciół, obudził się nagle z odrętwienia.

Wojsko, również jak wódz, zażywało spoczynku, w całej armji nikt nie był przygotowany do bitwy.

Lecz oto na wszystkie strony rozbiegają się adjutanci naczelnego wodza i rozwożą rozkazy. Zagrały trąbki alarmowe, zawarczały bębny — i wojsko, zerwane na równe nogi, zaczęło się formować pośpiesznie.

A Skrzynecki, widząc walkę, toczącą się już na grobli ze stratą Polaków, powziął myśl natychmiastowego odebrania mostu.

— Jedź mi po kawalerję — krzyknął adjutantowi Kruszewskiemu.

Kruszewski spina ostrogami konia i pędzi wypełnić rozkaz. Po drodze spotyka Prądzyńskiego i woła do niego, że Rosjanie most zdobyli i w wielkiej masie idą na drugi brzeg rzeki.

— To dobrze, — odpowiada ucieszony Prądzyński — niech ich przejdzie jak najwięcej, wszystkich potopimy w Narwi.

Istotnie nie należało przebyciu rzeki przeszkadzać, Polacy sami w ten sposób mogli wybrać pole bitwy, a nawet, pozostając na miejscu, zyskiwali dobre pozycje i dogodniejszy teren dla ataków kawalerji, która ze względu na bagnisty brzeg

rzeki i wąską groblę nie miała pola do działania, jeśliby walka toczyła się nad rzeką. W dodatku zdobywanie mostu liczne przedstawiało niebezpieczeństwa, a to ze względu na trudny przystęp i górujące pozycje Rosjan z drugiej strony rzeki, skąd artylerja mogła razić ogniem działowym atakujące kolumny i ogniem tym straszne czynić spustoszenia.

Dostrzegł to wszystko Prądzyński, ale wódz naczelny zdecydował inaczej.

Jakaś egzaltacja wojenna ogarnęła Skrzyneckiego i rozżarzyła w nim przebudzoną nagle energję. Most za wszelką cenę postanowił odebrać, a na widok nieprzyjaciół, przechodzących wielką masą rzekę, trząsł się z niecierpliwości i w gorączkowem zapamiętaniu wołał:

— Piechota, jazda, artylerja, wszystko naprzód, wszystko w ogień!...

Na wzgórzu, skąd wódz na bitwę patrzył, stała baterja Turskiego i celnemi strzałami raziła nieprzyjaciół. Pozycja była doskonała, ale Skrzynecki, niecierpliwiąc się coraz bardziej, rozkazał Turskiemu podjechać bliżej, a gdy ten uczynił uwagę, że miejsce, na którem stoi, wybrane jest doskonale, Skrzynecki, oburzony, zawołał:

— Pan masz słuchać, a nie uczyć!

Turski usłuchał, przybliżył się do nieprzyjaciela, a po chwili stracił połowę ludzi i koni.

Tymczasem Skrzynecki, nie mogąc doczekać się spełnienia rozkazów, a drżąc z niecierpliwości, sam popędził ku brygadzie Węgierskiego i, choć brygada była za słaba, by atak rozpoczynać, rozkazał ruszyć jej naprzód. Dał znak. Huknęła salwa karabinowa, poczem brygada posunęła się krokiem szturmowym i, najeżywszy bagnety, dopadła nieprzyjaciół.

— Dierżytieś, rebiata! — wołają oficerowie rosyjscy...

Lecz impet atakujących przemaga — i Moskale nie do-

trzymują placu. Most został zdobyty. Ale nie na długo, bo Dybicz nowe siły wprowadza do bitwy, a Polakom nikt nie śpieszy z pomocą. Wtedy dopiero spostrzega się Skrzynecki i posyła adjutantów po dywizję gen. Rybińskiego, a tymczasem przywołuje pułk. Langermana i daje mu rozkaz, ażeby na czele 1-go pułku strzelców pieszych uderzył na nieprzyjaciela i przerzucił go za rzekę.

Tymczasem po drugiej stronie rzeki generałowie Toll, Neuhardt, Suchozanet spokojnie ustawiają liczną artylerję, sami kierują ogniem i gradem kartaczy obsypują nadciągające posiłki. Szeregi rzedną, więc Langerman wstrzymuje żołnierzy i salwami karabinowemi odpowiada na morderczą kanonadę armat. Wtem podbiega rozpłomieniony Skrzynecki i, nie dobywając szpady, czapką, zerwaną z głowy, wskazuje brygadzie most...

— Na bagnety! Naprzód! — woła.

Żołnierze, posłuszni wezwaniu, pochylają bagnety i jak jeden mąż ruszają do ataku. Za brygadą Langermana podąża brygada Muchowskiego. Nagle Rosjanie, broniący mostu, zwijają kolumny, cofają się za rzekę, przypadają na ziemię, kryją się w rowach — i odsłaniają artylerji swej czyste pole, na którem, niby ruchoma ściana, posuwa się szturmowym krokiem dywizja. Ryknęły wszystkie armaty nieprzyjacielskie i jak do celu sypnęły w tę ścianę ulewą ognia i ołowiu. Zachwiały się szeregi, setki trupów i rannych legły, nie doszedłszy mostu.

Ale Skrzynecki nie zważa na to, lecz postępuje dalej i woła nieustannie:

— Naprzód! Naprzód!

Garstka podąża za nim, więc ogląda się za siebie, a dostrzegłszy idącego za nim pułk. Langermana, pyta w uniesieniu:

— Coś pan zrobił ze swoją brygadą?

GEN. JÓZEF BEM

Langerman szpadą ukazuje niebo:

— Tam uleciała!...

Istotnie niemal pół brygady legło na placu, reszta rozpierzchła się lub, szukając zasłony od strasznego ognia, ukryła się w zaroślach. Garść najmężniejszych pozostała i tę w otchłań śmierci rzuca Skrzynecki; a jakby mu nie dość było tylu ofiar, rozkazuje wystąpić do boju konnicy. Wzmaga się bój zażarty, znowu krew strumieniami się leje i walka bezpardonowa toczy się dalej. Sześć szarż przypuszcza gen. Kicki z trzema pułkami ułanów, lecz ułani grzęzną w bagnach — i wszelkie ich wysiłki idą na marne. Wreszcie Kicki pada, śmiertelnie rażony kulą — i ułani wycofują się z ognia. Ale piechota walczy nieustannie. Wściekł się Skrzynecki. Bataljon za bataljonem, pułk za pułkiem rzuca w krwawą topiel i, sam pierś wystawiwszy na kule, wciąż woła do żołnierzy:

— Tutaj nam zwyciężyć lub zginąć potrzeba. Naprzód!...

— Naprzód! — powtarzają oficerowie.

I żołnierz idzie do szturmu bez zmrużenia oczu, a na grobli i przed groblą tworzą się zwały trupów. Dywizję Kamieńskiego rozkazuje przywołać Skrzynecki i z rozpaczą rzuca ją na obrońców mostu. Artylerja rosyjska milknie, by nie razić swoich, i tylko okropne jęki rozdzierają niebo. Dwa wojska, niby dwie burze, zmieszały się i zwarły ze sobą. Wreszcie szalona walka na bagnety odnosi skutek: pierzchają Moskale i zamieszanie wkrada się w ich szeregi. Jeszcze jedno wysilenie, jeszcze jeden atak nowemi siłami, a Polacy mogą pokusić się o zwycięstwo. Ale wysilenie to jest już niemożliwe, bo Skrzynecki wojsk więcej nie ma, a Dybicz wprowadza na plac bitwy swoje rezerwy — i walka z nową wzmaga się energją. Ginie generał Kamieński, pada ciężko ranny i dostaje się do niewoli mężny gen. Krasicki, rany odnoszą generałowie Małachowski, Pac, Rybiński, trzy czwarte oficerów zabitych lub rannych zostaje na placu, jeden Skrzynecki, acz

i jego mundur poszarpały kule, widoczny jest niby sztandar, skupiający szeregi, a zarazem wskazujący miejsce, gdzie śmierć znaleźć najłatwiej. Ale nadaremne są wszelkie wysiłki naczelnego wodza. Rosjanie wypierają piechotę polską i znowu stają się panami mostu. Czynią więc odwrót resztki wojsk polskich i, cofając się pod gradem kul, tworzą nową linję obronną.

Dzień się kończył i oba wojska znużone stanęły naprzeciw siebie, zaprzestawszy walki.

Milkły strzały, mrok gęstniał i bitwa miała się ku końcowi.

Nagle na moście zjawia się Dybicz wraz ze swoim sztabem, a orszak ten poprzedza licznie zgromadzona jazda. Na ten widok Skrzynecki przywołuje pułkownika Bema, rozkazuje mu zbliżyć się do mostu z artylerją i przejście uczynić niepodobnem. Bem puszcza się naprzód galopem, podjeżdża do nieprzyjaciela na strzał karabinowy, w mgnieniu oka ustawia dwanaście dział swoich i morderczy rozpoczyna ogień. Wszystkie baterje rosyjskie odpowiadają Bemowi — i przeciągły łoskot wystrzałów, niby grom za gromem, wstrząsa powietrzem. Ziemia drży od ulewy walącego się na nią żelaza, a że Moskale obok pocisków armatnich rzucają race i płonące kule, więc morze krwawego ognia oświetla horyzont i spływa na straszne pobojowisko, zasłane tysiącami trupów.

Bem traci połowę ludzi i koni, ale swym zuchwałym krokiem wstrzymuje zapęd Dybicza...

Kanonada okropna trwa jeszcze czas jakiś i nagle strzały armatnie, jakby na umówiony sygnał, z obu stron jednocześnie cichną.

Przerażająca cisza śmierci zaległa plac boju...

Wówczas Skrzynecki zwołał radę wojenną. Zeszli się dowódcy dywizyj i brygad, wszyscy okryci kurzem, zbryzgani krwią, upadający od trudów i znużenia. Rada odbywała się

w polu, przy blasku kagańca, śród jęków tysiącznych ofiar, przy odgłosie rzężenia konających. Wszystkie oblicza były posępne, jako ta noc, co otaczała radzących. Jeden Skrzynecki płonął jeszcze ogniem, który ogarnął go na placu bitwy, ale był to już ostatni błysk zbudzonej energji i męstwa. — Idąc za radą Prądzyńskiego, chciał zatrzymać się na miejscu i w pozycji odpornej czekać na przybycie odkomenderowanej w swoim czasie 11-tysięcznej dywizji Gielguda. Jakoż istotnie nic lepszego nie było do zrobienia, bo odwrót z wojskiem znużonem i zdezorganizowanem łatwo mógł się w ostateczną zamienić klęskę. Ale gdy zgromadzeni na radzie generałowie orzekli, iż dalsza walka jest niemożliwa — w Skrzyneckim zgasła ostatnia iskra energji. W jednej chwili zdecydował się na odwrót. Należało jednak postanowić coś względem Gielguda, który tegoż dnia otrzymał był rozkaz złączenia się z główną armją, a którego odwrotem narażano na zgubę. Wówczas generał Dembiński zaproponował, aby dywizję Gielguda rzucić na Litwę i powstaniu, które tam wybuchło, nadać poważniejszy charakter. A że dotarcie do Gielguda było przedsięwzięciem niebezpiecznem, więc Dembiński sam podjął się zawiezienia odpowiednich rozkazów.

Myśl Dembińskiego jednozgodnie przyjęto.

Skrzynecki przy świetle księżyca nakreślił kilka słów do Gielguda, poczem dowództwo nad armją powierzył generałowi Łubieńskiemu, a sam wsiadł do powozu i odjechał do Warszawy.

Na drugi dzień armja polska, straciwszy w krwawej topieli ostrołęckiej zgórą 9.000 żołnierza, rozpoczęła ruch wsteczny ku Warszawie.

Dybicz, osłabiony stratami, które prawie dorównywały stratom polskim, stał jak wryty pod Ostrołęką i, pomny na ataki Polaków w dniu ubiegłym, nie odważył się ścigać co-

fającej się armji. Nie uważał się jeszcze za zwycięzcę i nie śmiał wykorzystać swojej przewagi.

Było to wielkie dla Polaków szczęście.

W wojsku polskiem zapanowało ogromne rozprzężenie. Prócz nielicznych oddziałów piechoty, maszerujących w porządku, wszystko tłoczyło się w nieładzie. Oczekiwano powszechnie pościgu Rosjan i z lada powodu poddawano się panice. Niepodobna nawet było doliczyć się, ile wojska wraca do Warszawy, bo tłumy maruderów błąkały się po lasach i na własną rękę szukały ratunku. Zdawać się mogło, że armja polska przestała egzystować.

Skrzynecki całkiem stracił głowę i zwątpił o wszystkiem.

Zawiadamiając Rząd Narodowy o poniesionej klęsce, pisał, że wszystko stracone i że nie pozostaje nic innego, jak szukać ocalenia w natychmiastowych układach z Dybiczem. Finis Poloniae! — wykrzykiwał wódz naczelny w swem piśmie, powtarzając okrzyk, który był wyrazem małoduszności polskiej, a który w swoim czasie niesłusznie przypisywano Kościuszce.

Trwoga ogarnęła Rząd Narodowy.

Wprawdzie relacji wodza nie podano do wiadomości publicznej, a dzienniki warszawskie rozpisywały się nawet o nowem zwycięstwie oręża polskiego. Lecz zwolna prawda wypływała nawierzch i opinja publiczna coraz głośniej zaczęła się zwracać przeciw Skrzyneckiemu.

W gruncie rzeczy sytuacja nie była tak straszna, jak ją widziały przerażone oczy naczelnego wodza. W miarę oddalania się od placu boju, coraz więcej żołnierzy wracało do swych pułków i powoli ład utrwalał się w maszerujących szeregach. Gdy 29 maja armja polska stanęła pod Pragą, postawa jej nie pozwalała przypuszczać, jak wielką klęskę poniosła w bitwie pod Ostrołęką.

Skrzynecki zmienił ton i, ochłonąwszy z przerażenia, zaczął zgóry traktować Rząd Narodowy i snuć plany o pochwyceniu w swe ręce władzy dyktatorskiej.

Ale w szeregach potężnie zachwiało się zaufanie do naczelnego wodza, w oczach ogółu osłabła powaga Rządu Narodowego i Sejmu, a powszechne zaufanie w pomyślny wynik wojny ustąpiło miejsca powszechnemu zwątpieniu.

Takie były skutki nieszczęsnej bitwy ostrołęckiej.

IX.

WYPRAWY NA RUŚ I LITWĘ

Gdy tak na głównym terenie wojny ze zmiennem szczęściem toczyła się walka, Ruś i Litwa czekały tylko sygnału, aby połączyć się z powstaniem...

Organizacja miejscowych oddziałów partyzanckich nie mogła się w krajach tych rozwinąć, bo władze rosyjskie zwracały baczną uwagę na wszelkie poruszenia. W dodatku obywatele Litwy i Rusi wstrzymywani byli przez niepewność. Kilka miesięcy upłynęło od pamiętnej nocy listopadowej, a wojska polskie nie przychodziły z pomocą. Bez tej pomocy powstańcze ruchy lokalne nie mogły się należycie rozwinąć.

Czas uciekał, nie przynosząc poważniejszych wypadków.

Wreszcie na wniosek Prądzyńskiego Rząd Narodowy zdecydował się wysłać na Ruś oddział wojsk polskich pod zdolnym i wytrawnym dowódcą, któryby w imieniu rządu polskiego zawezwał ludność do broni i na szerszą skalę zorganizował powstanie.

Wybór padł na Dwernickiego.

Dzielny generał po zwycięstwie pod Stoczkiem otrzymał rozkaz działania przeciw korpusowi rosyjskiemu pod dowództwem Kreutza. Korpus ten dnia 8-go lutego zajął Lublin, stamtąd pociągnął do Puław, przeszedł Wisłę po lodzie, a na-

stępnie ruszył w województwo sandomierskie i zaczął je pustoszyć. Dwernicki napadł na Kreutza pod Nową Wsią, zabrał mu trzy działa i paręset niewolnika. Ale ze zwycięstwa korzystać nie mógł, bo, podobnie jak po bitwie pod Stoczkiem, znów został odwołany. Powodem tego odwołania był mylny raport, przysłany do Warszawy generałowi Klickiemu. Dwernicki spostrzegł się wprawdzie, ale już było poniewczasie, bo Kreutz, korzystając ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, uchodził, co mu sił starczyło.

Dwernicki rozpoczął pogoń. Przechodząc przez Puławy, siedzibę książąt Czartoryskich, wypłoszył stamtąd wojska rosyjskie, pod Kurowem poszarpał znaczny oddział generała Kawera, wziął do niewoli kilkudziesięciu żołnierzy, zdobył znów cztery armaty i, opromieniony blaskiem nowych zwycięstw, wkroczył do Lublina. Wypędziwszy stamtąd władze rosyjskie, pociągnął do Zamościa. Odwilż i niewyjaśnione poruszenia wojsk nieprzyjacielskich wstrzymały na pewien czas pochód zwycięskiego generała.

Korpus Dwernickiego, składający się z 6.000 ludzi, ożywiony był duchem jak najlepszym. W korpusie tym znajdowało się sporo członków Towarzystwa Patrjotycznego i rewolucyjnej młodzieży, sam zaś dowódca, z przekonań demokrata i przyjaciel ludu, umiał swe wojsko natchnąć braterską harmonją i ufnością. Temperament Dwernickiego odpowiadał duchowi powstania, a wesołe i pogodne usposobienie jednało mu serca. To też żołnierze lubili swego generała, szli za nim w ogień z zapałem, walczyli po bohatersku. Taki wódz i tacy żołnierze wiele mogli dokonać.

Dnia 11 kwietnia Dwernicki przeszedł Bug i tegoż dnia natrafił na gromadę włościan miejscowych, prowadzonych w dybach i kajdanach. Byli to rekruci, przeznaczeni do wojska rosyjskiego. Dwernicki kazał swym żołnierzom rozkuć kajdany, poczem w te słowa przemówił do uwolnionych:

— Wolność, którą odbieracie, jest dziełem żołnierzy polskich, których przed sobą widzicie; oni ją wam przynoszą; powitajcie ich...

Nastąpiła scena zbliżenia się włościan Rusinów z żołnierzami polskimi — i Dwernicki ruszył w dalszą drogę. Szczęście mu sprzyjało, bo tegoż dnia jeszcze rozbił słynny w armji rosyjskiej kargopolski pułk dragonów, zabrał 150 niewolnika, 200 karabinków, liczne bagaże oraz trzysta fur, napełnionych żywnością.

Przybywszy do Porycka, Dwernicki proklamacją wezwał do walki obywateli wołyńskich. Zaczęli niebawem skupiać się wkoło niego, przyprowadzać mu uzbrojonych ludzi i zapewniać, że wytężą wszystkie siły, by powstanie ożywić. Niektórzy z nich, jak Tyszkiewicz, Czacki, Stecki i Tarnowski, zobowiązali się wystawić własnym kosztem po jednym pułku, byle tylko czas na to pozwolił. Ale, niestety, czasu tego nie było. Na Wołyniu obozował generał Rüdiger, mający 12.000 wojska, a więc dwa razy tyle, ile go posiadał Dwernicki.

Rüdiger szedł ku Dwernickiemu — i starcie stawało się nieuniknionem...

Dnia 19 kwietnia pod Boremlem spotkały się oba wojska.

Bitwę rozpoczął ogień artylerji, ogień bardzo nierówny, bo Rosjanie trzy razy tyle dział posiadali. Ale Dwernicki wiedział, jak zdobywać armaty. Nie tracąc czasu, rzucił się z czterema szwadronami na baterję rosyjską, w mgnieniu oka rozbił dragonów, którzy mu zastąpili drogę, zagarnął 8 armat i przełamał drugą linję jazdy. Rüdiger, który uchodził za znakomitego generała kawalerji, dzielny stawiał opór, ale choć siły miał znacznie liczniejsze, niczego dokonać nie mógł.

Jazda polska, składając dowody najwyższego męstwa i zręczności, odparła zkolei wszystkie szarże nieprzyjacielskie i osądziła Rüdigera na miejscu...

Pięć godzin trwała ta uporczywa, a wysoce zaszczytna dla

oręża polskiego bitwa. Dopiero burza z ulewą i gradem kres położyła walce...

Czas jakiś z obu stron jeszcze grzmiały armaty i łączyły swe potężne głosy ze świstem wichru i hukiem piorunów. Zwolna ucichało wszystko. Przed samym zachodem przetarły się chmury i krwawe słońce wyjrzało na chwilę. Wtedy przed frontem wojsk polskich, stojących na pobojowisku, ukazał się Dwernicki. Generał dziękował żołnierzom za dokładne wykonanie rozkazów.

— Niech żyje Dwernicki! — wołało wojsko...

— Niech żyje ojczyzna! — odpowiadał Dwernicki i chciał dłużej przemawiać, ale entuzjastyczne okrzyki głuszyły jego słowa. Serdeczne uniesienie i ufność wzajemna przeniknęła zarówno szeregi, jak wodza. Trębacze zagrali pieśń narodową. Rozgłośna i dźwięczna huknęła w niebo, rozlała się po przestworzach. A o strzał działowy stał nieprzyjaciel i w milczeniu słuchał dźwięków pieśni i nieruchomo przyglądał się niezwykłej na pobojowisku uroczystości...

Niestety, był to ostatni piękny dzień Dwernickiego...

Bitwa pod Boremlem, jak zresztą cała dotychczasowa działalność tego generała, wykazała jego wielkie przymioty wojenne. Wszyscy wojskowi, zarówno polscy jak rosyjscy, przyznają mu niepospolite zdolności, doskonałą znajomość sztuki wojennej, zręczność, odwagę i męstwo. Jednakże wyprawa na Ruś bez dalszych posiłków nie miała wielkich szans powodzenia. Dwernicki, wkroczywszy na Wołyń, liczył na powstanie, ogarniające i Wołyń, i Podole, a powstanie liczyło na Dwernickiego. Tymczasem Rüdiger, znacznie silniejszy, niż Dwernicki i powstańcy, wszelkie widoki zwycięstwa miał po swojej stronie...

Jakoż dowódca polski po bitwie pod Boremlem w trudnem znalazł się położeniu. Szeregi były przerzedzone, amunicja na wyczerpaniu, a przed frontem i na tyłach stał liczny

nieprzyjaciel. Dwernicki postanowił przenieść walkę na Podole i oprzeć się o granicę Galicji, licząc, że ta prowincja dostarczy mu potrzebnych zasiłków. Więc gdy noc ciemna zapadła, w największej cichości zwinął obóz i ruszył w stronę Beresteczka. Na drugi dzień przeprawił się przez Styr, ale zaledwie Polacy znaleźli się po drugiej stronie rzeki, już ujrzeli przednie straże Rosjan. Odtąd Rüdiger, jak cień, szedł za wojskiem polskiem. Dwernicki, idąc ciągle tuż nad granicą, oparł się o wieś Lulińce i w niej zaobozował. Miał wszystkiego 4.000 żołnierzy, pozbawionych środków potrzebnych do walki, a Rüdiger otaczał go 12-tysięczną armją i liczną artylerją. Siły pod każdym względem były nierówne i walka żadnego nie rokowała powodzenia. Wówczas Dwernicki, osaczony ze wszech stron, zdecydował się na krok rozpaczliwy i, przeszedłszy granicę, wkroczył z całym korpusem na terytorjum Galicji.

1-go maja złożył broń wobec władz austrjackich i tym haniebnym aktem zakończył swój świetny zawód wojenny.

Tak więc wyprawa Dwernickiego zakończyła się klęską, i to klęską podwójną...

Poza tem krok Dwernickiego był jeszcze niepowetowaną krzywdą moralną. Po raz pierwszy od wybuchu powstania honor wojsk polskich został splamiony przez poniżające złożenie broni. Czyn ten kompromitował powstanie w oczach Europy, a dowódcom polskim dawał przykład okropny. Wprawdzie położenie Dwernickiego było bardzo trudne, ale, jak twierdzi Prądzyński, przy męstwie swoich żołnierzy, śmiało mógł próbować przebić się przez nieprzyjaciół. Choćby miał w tej rozprawie utracić połowę wojsk i wszystkie armaty, strata taka nie mogłaby się równać z owem okropnem wrażeniem i z ową krzywdą moralną, jaką stał się pierwszy w dziejach powstania przykład haniebnego złożenia broni.

Skrzynecki, wiedząc z raportów Dwernickiego o jego trud-

GEN. DEZYDERY CIŁAPOWSKI

nem położeniu, postanowił przyjść mu z pomocą. W tym celu wysłał sześciotysięczny korpus pod generałem Chrzanowskim, który dotarł aż do Zamościa, lecz dalej się nie posunął, bo ratunek był już niemożliwy: Dwernicki przed nadejściem pomocy broń złożył...

Jednakże mimo te niepowodzenia powstanie na Podolu wybuchło. W początkach maja we wsi Krasnosiółce nad Bohem obywatele, co przystąpili do spisku, a między nimi hr. Rzewuski, bracia Jełowiccy i Sobańscy, zebrali swoje oddziały i utworzyli siłę, dochodzącą do 1.000 jazdy i 200 piechoty. Dowódcą naczelnym wybrany został Kołysko, stary wojak kościuszkowski, na szefa sztabu powołano majora Orlikowskiego. Oddział ten ruszył do Granowa, majętności książąt Czartoryskich, dokąd ciągnęły oddziały powstańcze, prowadzone przez Potockiego, Zapolskiego i innych. Połączone siły urosły do 3.000 ludzi. 14 maja pod wsią Gródkiem powstańcy zostali zaatakowani przez generała Rotha. Doszło do krwawej i uporczywej bitwy. Powstańcy bronili się mężnie, odparci kilkakrotnie, po kilkakroć z rozpaczą ponawiali ataki, wkońcu jednak, zachowując zupełny porządek, cofnęli się do Daszowa. W bitwie, która się wznowiła pod tem miasteczkiem, Polacy stracili swoją artylerję, kasę, kilkuset rannych i jeńców. Roth wszedł do miasteczka, bronionego przez stu kilkudziesięciu ludzi. „Z rozpaczliwem męstwem — pisze historyk rosyjski Puzyrewski — ta nieliczna garstka rzucała się wprost na działa rosyjskie i, nie zważając na niebezpieczeństwo, zawiązywała uporczywą walkę. Zaatakowani z czoła, z tyłu i z boków, Polacy walczyli z nadzwyczajnem męstwem, a z pomiędzy tych bohaterów szczególniejszą odwagą wyróżnili się bracia Sobańscy, Jełowiccy, 70-letni Borzęcki i wielu innych". Oczywiście, ta garstka walecznych nie mogła powstrzymać kilku pułków Rotha.

Więc, usławszy ziemię trupami, cofnęła się, znacznie

uszczuplona, i stanęła w Lińcach, dokąd się schronił Kołysko. Wkrótce potem powstańcy napadli pod Obodnem na oddział generała Szuckiego, złożony z dwu szwadronów, i zabrali mu artylerję, wzięli do niewoli kilkudziesięciu żołnierzy, a resztę położyli trupem. W kilka dni później zaobozowali pod Majdankiem. Otoczeni tutaj przez przemagające siły, ponieśli ostateczną porażkę. Na placu pozostali najodważniejsi, a między nimi major Orlikowski, który, nie mogąc przeżyć klęski, wystrzałem z pistoletu pozbawił się życia.

Kołysko z ocalałemi resztkami połączył się wkrótce z powstańcami, którzy broń podnieśli w powiecie latyczowskim, ale demoralizacja, ogarniająca szeregi po doznanych klęskach, nie pozwoliła już na wznowienie działań. Połączone oddziały ruszyły do Satanowa i za przykładem Dwernickiego przekroczyły granicę i broń złożyły wobec wojsk austrjackich.

I na Wołyniu nie powiodło się powstańcom.

Jedynie dymisjonowany kapitan wojsk polskich, Karol Różycki, obdarzony wielkiemi zdolnościami wojennemi, odniósł znaczniejsze powodzenia. Zgromadziwszy w okolicach Żytomierza stu kilkudziesięciu ludzi, wyćwiczył ich należycie, zaopatrzył we wszelkie potrzeby i siłą tą postanowił wesprzeć Kołyskę. W tym celu skierował się na Podole, ale otrzymawszy wiadomość, że Kołysko broń złożył — zmienił zamiar i postanowił przedrzeć się do Królestwa. Wzmocniony po drodze przez oddział powstańców, przyprowadzony przez Worcella, rozpoczął marsz. Czyniąc zwodnicze obroty i nieustannie wprowadzając w błąd dowódców rosyjskich, Różycki, jak wilk, przemykał się przez pola i ostępy leśne. Czujny i ostrożny, przystawał czasem i szarpał nieprzyjaciela po drodze. Zwiódłszy kilka świetnych utarczek, z tych najgłośniejsze pod Krasnopolem i Uchaniami, dotarł szczęśliwie do Zamościa, gdzie połączył się z wojskiem polskiem.

Dokonał w ten sposób świetnego czynu pod względem wo-

jennym, ale jako partyzant dzielny i odważny mógł większe oddać usługi, pozostając na Wołyniu i jednocząc pod swemi sztandarami rozproszonych, a szukających oparcia powstańców.

Z chwilą opuszczenia przezeń Wołynia — Ruś dla powstania polskiego przepadła...

Nielepiej powiodła się wyprawa na Litwę...

Wybuch listopadowy wywołał w całej Litwie ogromne wrażenie. Wieści z Warszawy przyjmowano z nadzwyczajnem wzruszeniem i czekano tylko ukazania się wojsk polskich, aby porwać się do broni. Głowy płonęły, umysły były wzburzone. Młodzież wileńska natychmiast chciała rozpocząć powstanie, ale starsi obywatele zwichnęli te usiłowania, przekonawszy niecierpliwych, iż należy czekać na rozkazy z Warszawy. Czekano jednak nadaremnie, bo Chłopicki ani myślał o Litwie. Czas drogi upływał w bezczynności. Tylko rząd rosyjski czuwał. Mianowawszy nowego generał-gubernatora Chrapowickiego, polecił mu stosować środki najostrzejsze, byle tylko do powstania na Litwie nie dopuścić. Chrapowicki, człowiek srogi, a nawet okrutny, znalazł dzielnego pomocnika w Nowosilcowie, który przed rewolucją uciekł z Królestwa i przybył do Wilna. Rozpoczęło się uśmierzanie kraju, a rozpoczęło się od tego, iż zaaresztowano wybitniejszych a znanych z patrjotyzmu obywateli i wywieziono w głąb Rosji. Ogłoszono w całej Litwie stan wojenny i karę śmierci wyznaczono za najmniejszy opór władzy. Nowosilcow zajął się młodzieżą i przepełnił nią liczne więzienia. Przy pomocy szpiega i prowokatora Kudrewicza odkrył wkrótce spisek. Sześć głów młodzieńczych, marzących o powstaniu, spadło. Ciężko dyszała Litwa pod srogą ręką Chrapowickiego.

Mimo to wzburzenie nie ustawało. W Wilnie, tuż pod bokiem władz rosyjskich, utworzony został główny komitet, mający kierować powstaniem. Komitet ten, czekający wkrocze-

nia wojsk polskich, zwlekał nieustannie z wyznaczeniem terminu, wogóle zaś działał powolnie i niedołężnie. Ale po wsiach gromadzono broń, amunicję i szykowano się do walki.

Pierwsza poruszyła się Żmudź, a przykład dali włościanie powiatu telszewskiego.

Uprzedzając termin poboru rekruta do wojska rosyjskiego, powstali oni jeszcze w lutym, utworzywszy oddział zbrojny pod dowództwem włościanina Giedryma i niejakiego Borysewicza. Napadnięci przez Moskali, cofali się w porządku cztery mile i weszli do Prus. Lecz przykład był dany.

W miesiąc potem, d. 17 marca, zebrali się obywatele żmudzcy we wsi Cytowianach u obywatela Przeciszewskiego i tam, nie czekając zezwolenia komitetu wileńskiego, uchwalili powstać. Uroczyście spisano tę uchwałę i przystąpiono do dzieła. Powstańcy zaatakowali najpierw Rosienie, a że miasta tego broniła nieznaczna załoga, więc wzięli je łatwo, po Rosieniach zdobyli Telsze, a następnie Szawle...

Od tej pory ruch przybierał coraz szersze rozmiary.

Chrapowicki zniszczeniem i śmiercią starał się uspokić Litwę. Szlachcica, schwytanego z bronią w ręku, bez sądu rozstrzeliwano, włościan, co połączyli się z ruchem, zabijano rózgami. Pułkownik Werzelin, przeznaczony do stłumienia powstania w powiecie oszmiańskim, zbliżył się do Oszmiany, i, ogniem armatnim wznieciwszy pożar, rzucił swe wojska na nieszczęsne miasto. Żołnierze, którym dozwolono rabunku, zrabowali kościoły, splondrowali domy, wyrznęli mnóstwo kobiet starców, dzieci. Nieszczęsna Oszmiana spłynęła krwią, pozostały po niej popioły i zgliszcza, pełne ciał pomordowanych mieszkańców.

Ale ten straszny przykład nie odstraszył nikogo...

Za Żmudzią powstała reszta kraju. Bory i puszcze litewskie zapełniły się wnet licznemi oddziałami powstańców, ruch tłumiony wybuchł nagle i szerzył się jak pożar...

W Mińszczyźnie pułkownik Radziszewski zgromadził zgórą 3.000 ludzi i trzymał się w niedostępnej pozycji śród bagien i lasów. W okolicach Wilna komendę nad połączonemi oddziałami powierzono Karolowi Załuskiemu, na Żmudzi zasłynął partyzant Jacewicz. Powstańcy walczyli ze zmiennem szczęściem, gdy jednak Chrapowicki otrzymał posiłki, ruch zbrojny zaczął się zmniejszać.

Nagle po całej Litwie gruchnęła wieść, że wojska polskie ciągną powstańcom na pomoc. Nowy duch wstąpił w serca, wszystko żywiej zaczęło się ruszać i podnosić głowę.

Wieść była prawdziwa. Na Litwę szedł Chłapowski, szedł z wyborowem oddziałem, złożonym z 800 ludzi, śród których było stu instruktorów, przeznacoznych dla zorganizowania i wyćwiczenia oddziałów powstańczych.

Skorzystawszy z odwrotu gwardyj, co otwierało mu drogę, Chłapowski posunął się naprzód i dnia 22 maja stanął na ziemi litewskiej. Był to sprężysty i energiczny generał. Wyćwiczony w szkole Napoleona, znał się doskonale na wojnie, zdanie miał wyrobione, sąd wytrawny, ambicję wielką. W postawie i zachowaniu się jego było coś imponującego, coś, co nakazywało szacunek i odstraszało zarazem. Zimnem wiało od tego pysznego generała. Chłapowski chciał odegrać wielką rolę, niestety, przy wszystkich swoich zaletach nie miał dość hartu, by oprzeć się fatalnym wypadkom i nie ulec nieszczęściu.

Pierwsze kroki tego generała uwieńczyło powodzenie. Doszedłszy do Bielska, napadł niespodzianie na stojący tam garnizon wojsk rosyjskich, zabrał do niewoli 500 żołnierzy i zdobył 1.000 sztuk różnej broni. Później zwrócił się ku puszczy białowieskiej, rozbił zagradzającego mu drogę generała Lindena, a następnie, połączywszy się z partyzantami: Tyszkiewiczem, Krasowskim i Ronkem, pomaszerował na Lidę i, wypędziwszy stamtąd wojska rosyjskie, posunął się ku Trokom.

Sława Chłapowskiego szeroko rozbrzmiała po Litwie. Ze wszystkich stron śpieszyły ku niemu oddziały partyzanckie, a wszędzie witano go z entuzjazmem. Łączeniu się powstańców litewskich z wojskiem polskiem często towarzyszyły sceny, które jeszcze po wielu latach uczestnicy tych wydarzeń z największem wspominali wzruszeniem. Szczególniej pamiętne było spotkanie się wojska regularnego z oddziałem partyzanckim w Gabryelowie. W oddziale tym pełniła służbę w szeregach głośna już na Litwie Emilja Platerówna. Żołnierze polscy powitali ją z ogromnem uniesieniem. Nawet zimny Chłapowski nie mógł się oprzeć wzruszeniu, które ogarnęło żołnierzy. Nie chciał jednakże mieć w szeregach swoich kobiety. Radził więc, aby wróciła do domu. Ale Platerówna odparła, że postanowiła walczyć dopóty, dopóki Polska nie odzyska niepodległości *). Chłapowski mianował ją dowódcą pierwszej kompanji pierwszego pułku litewskiego.

Siły Chłapowskiego, wzmocnione oddziałami partyzantów, wzrosły niebawem do 5.000 ludzi.

Tymczasem i Giełgud, stosownie do rozkazu, otrzymanego po fatalnej bitwie ostrołęckiej, ruszył ze swoją dywizją ku granicom Litwy. Pochód otwierał generał Dembiński, prowadzący ze sobą 3.000 ludzi. W Rajgrodzie wojska polskie stoczyły zwycięską bitwę z generałem Sackenem, który w tej

*) Emilja Platerówna należała do czynnych organizatorek powstania w powiecie wiłkomierskim. Zaciągnąwszy się do szeregów, brała czynny udział w nieudanej wyprawie na Dynaburg, potem walczyła pod komendą Załuskiego, później jeszcze w oddziale, którym dowodził śmiały partyzant Parczewski. Gdy Chłapowski przechodził później granicę pruską, Platerówna w gorących słowach miała mu wypowiedzieć swoją pogardę. Nie chcąc składać broni, opuściła oddział Chłapowskiego i śród największych niebezpieczeństw przedzierała się do pozostałego na Litwie wojska polskiego. W drodze zachorowała i nie miała już powrócić do zdrowia. Ukrywała się na Litwie w jednym z dworów szlacheckich pod nazwiskiem Korowińskiej. Umarła w grudniu 1831 roku.

rozprawie stracił 2.000 żołnierzy w zabitych i rannych, a mógł być całkowicie rozbity, gdyby nie niedołęstwo Giełguda.

Wojska polskie wszędzie witano z entuzjazmem, a w oddawaniu usług i okazywaniu im życzliwości szczególniej odznaczyli się włościanie. „Każdy kmiotek — powiada jeden z pamiętnikarzy — chętnie dzielił się ostatnim kęsem chleba, bez żadnej nagrody; gdzie tylko przechodził oddział polski, wszędzie znajdował na końcu wioski rzędem stojące niewiasty i dzieci z napojem i posiłkiem dla strudzonych. Jeszcze armaty grzmiały po bitwach... a już na pobojowisku włościanki z okolicy opatrywały rannych i krzepiły ich mleczywem“...

Giełguda przyjmowała Litwa, jak wybawcę i oswobodziciela.

Upajał się on wywieranem wrażeniem i rządził, jak król. Przybywszy do Kiejdan, ustanowił rząd centralny dla Litwy i Żmudzi, a prezesem tego rządu zamianował senatora i generała Tyszkiewicza...

Siły powstańcze przy odrobinie dobrej woli i energji łatwo można było podnieść do 25.000 ludzi, a z armją taką wiele można było dokonać.

Ale generał Giełgud był drugiem wydaniem Skrzyneckiego, jednakże bez determinacji naczelnego wodza na polu bitwy. Opieszały, leniwy, niezdecydowany, trawił drogi czas na ucztach, biesiadach, ciesząc się własną władzą i owacjami, jakie mu urządzano. Niebawem zjawił się w Kiejdanach generał Chłapowski, a jako niższy rangą stanął pod rozkazami Giełguda. Chłapowski przywiózł ze sobą projekt zdobycia Wilna, co było rzeczą możliwą, gdyż stolicę Litwy zajmowało zaledwie 6.000 Moskali. Giełgud, rozumiejąc, że trzeba coś przedsięwziąć, projekt zatwierdził, ale, miast wydać natychmiast wojsku rozkazy, zwlekał pod różnemi pozorami i trwał w bezczynności. Wszystko szło jak najgorzej. Pułkownik Szy-

manowski, wysłany na Żmudź dla poparcia tam powstania, doznał porażki pod Szawlami, które usiłował zdobyć, a wieść o tej porażce rozniosła się szybko i wszędzie wywarła wrażenie fatalne.

Tymczasem Rosjanie, korzystając z bezczynności Giełguda, skoncentrowali w okolicach Wilna 24.000 wojska i 72 działa. Wtedy dopiero Giełgud zdecydował się projekt Chłapowskiego wykonać. Połączywszy wojska regularne z oddziałami powstańczemi, można było zebrać 20.000 wojska i z armją tą próbować szczęścia. Stało się inaczej. Nieudolny Giełgud rozproszył swe siły i z 6.000 regularnych żołnierzy, z 1.200 powstańców partyzanta Zaliwskiego oraz 5.000 ludzi w świeżo sformowanych oddziałach ochotników litewskich postanowił zdobyć Wilno, bronione przez znacznie liczniejsze wojska na dobrych pozycjach, umocnionych w dodatku silną artylerją.

To szaleństwo dowódcy krwawą zakończyło się klęską. Dnia 19 czerwca na wzgórzach Ponarskich, okalających stolicę Litwy, doszło do bitwy.

Wojsko polskie, straciwszy 2.000 ludzi, cofnęło się zdemoralizowane i oburzone najwyższem niedołęstwem wodza.

Odwrót odbywał się nieporządnie i zakończył się nową klęską pod Szawlami, które po raz drugi nadaremnie usiłowano opanować.

Dnia 9 lipca po naradzie wojennej w Kurszanach, naradzie długiej i burzliwej, Giełgud zdecydował się rozdzielić armję na trzy kolumny, któreby wspierały się wzajem, lecz na własną działały rękę. Dowództwo objęli generałowie Chłapowski, Roland i Dembiński.

Stosownie do przyjętego planu Chłapowski, do którego przyłączył się Giełgud, miał maszerować ku Kownu, Roland zwrócić się ku Połądze, a Dembiński wkroczyć do Kurlandji. Plan ten nie został wykonany. Oddział Chłapowskiego, zamiast posuwać się w oznaczonym kierunku, stanął nad gra-

EMILJA PLATER

nicą pruską z wyraźną intencją przekroczenia granicy i złożenia broni wobec władz pruskich.

Ta myśl haniebna do tego stopnia opanowała Giełguda i Chłapowskiego, że o niczem więcej nie myśleli. I Roland, naciskany przez znaczne siły nieprzyjacielskie, również zmienił marszrutę, ale poto, by połączyć się z Chłapowskim i wspólnemi siłami stawiać czoło Rosjanom. Trzynastego lipca kolumny Rolanda dosięgły granicy i z przerażeniem ujrzały oddział Chłapowskiego, wkraczający na terytorjum Prus.

Widok ten podziałał na wojsko piorunująco. Dreszcz oburzenia przeszedł szeregi.

— Zdrada! zdrada! — zaczęli krzyczeć żołnierze.

Giełgud stał już po stronie pruskiej i otoczony licznym sztabem rozmawiał z oficerami pruskimi. Młody oficer, Kazimierz Skulski, będący w szeregach Rolanda, zapłonął na ten widok strasznym a łatwym do wytłumaczenia gniewem. Nic nie mówiąc, spiął ostrogami konia i w pełnym galopie podjechał do Giełguda.

— Bracia, tak giną zdrajcy ojczyzny! — zawołał nagle i wymierzył z pistoletu. Huknął strzał — i Giełgud runął martwy na ziemię.

Wojsko stało oszołomione, cichość zaległa szeregi. Skulski śród powszechnego osłupienia oddalił się zwolna i w oczach całej armji uszedł przez nikogo niezatrzymany.

Dopiero po chwili żołnierze podnieśli straszną wrzawę. Okrzyk: „zdrada!“ znów przeszył powietrze i największe zamieszanie zapanowało w armji. Żołnierze rzucali broń, to przechodzili zpowrotem granicę, to znowu rozpierzchali się na wszystkie strony. Demoralizacja ogarnęła wszystkich. Roland, żołnierz waleczny, ale bez charakteru i wyższych zdolności, odstąpił od granicy i dalej walczyć postanowił, ale w postanowieniu nie wytrwał. W dwa dni później, otoczony

z trzech stron przez generałów Kreutza, Sackena i Schirmana, zwołał radę wojenną i, stosownie do uchwały, która na tej radzie zapadła, poszedł za przykładem Chłapowskiego i dnia 15 lipca przekroczył fatalną granicę...

W ten sposób 8.000 doskonałych żołnierzy, a w tej liczbie 400 oficerów, zostało straconych dla sprawy powstania.

Oręż polski znów dotknęła hańba.

Na Litwie pozostał Dembiński.

Oddział jego liczył 3.500 żołnierzy i 4 działa. Oddział ten, pozbawiony żywności, amunicji, pieniędzy, a nadto zarażony demoralizacją, szerzoną przez Giełguda, smutny przedstawiał widok. Lecz Dembiński ani myślał wstępować w ślady Rolanda i Chłapowskiego. Wobec tego dwie drogi miał przed sobą: walczyć dalej na Litwie, lub wracać do Królestwa.

Pozostając na Litwie, nie mógł myśleć o prowadzeniu wojny regularnej, bo na to był za słaby. Ale podtrzymywać partyzantkę i podsycać ogień powstańczy nie było zadaniem trudnem. Przy swojej energji, zdolnościach i odwadze miał nawet Dembiński piękne do popisu pole. O wiele więcej niebezpieczeństw przedstawiał powrót do Królestwa. Wojska rosyjskie, po wyparciu Chłapowskiego i Rolanda, wszystkie swe siły mogły zwrócić przeciw Dembińskiemu. Chcąc dostać się do Królestwa, trzeba było przebić się przez te siły, należało w obliczu nieprzyjaciela przechodzić rzeki, przedzierać się przez puszcze, bory i bagna, zdobywać żywność i amunicję, słowem, dokonać rzeczy niezwykle trudnej, prawie niemożliwej.

Nie uląkł się tego wszystkiego Dembiński i słynny swój marsz niebawem rozpoczął.

Decyzja Dembińskiego, wielce dla niego zaszczytna, miała, niestety, bardzo niekorzystne następstwa. Był on ostatnią tarczą powstania na Litwie, które odtąd, pozostawione samo

sobie, a wyczerpane walką i klęskami, nie mogło stawić czoła nieprzyjacielowi. Wojska rosyjskie, dokonawszy uśmierzenia Litwy, wtargnęły do Królestwa i powiększyły walczącą tam armję.

W ten sposób wyprawy na Ruś i Litwę, zakończone złożeniem broni, nic nie przyniosły powstaniu, prócz klęski, i to klęski haniebnej...

X.

SKRZYNECKI I DEMBIŃSKI

I na głównym teatrze wojny wszystko szło jak najgorzej...

Skrzynecki, powróciwszy do Warszawy po fatalnej bitwie ostrołęckiej, na nic zdecydować się nie chciał. Liczył on nieustannie na pomoc Europy, tó projektował układy z Dybiczem, to znowu wiele nadziei przywiązywał do działania Giełguda, spodziewając się, że główna armja rosyjska, zagrożona na tyłach przez powstanie litewskie, sama Królestwo opuści. Było to możliwe, ale pod warunkiem, że Giełgud ziści pokładane w nim nadzieje. Stało się inaczej — i Skrzynecki, myślący o tem, jakby zwyciężyć bez bitwy, trwał w bezczynności. Powstanie skutkiem niedołęstwa zwierzchniej komendy chyliło się do upadku.

Widział to Rząd Narodowy, ale sam niedołężny, sam przyczyniający się do upadku sprawy, nie śmiał wystąpić przeciw Skrzyneckiemu. Ośmieliło to naczelnego wodza. Nie tylko nie ukorzył się po doznanej klęsce, ale, rozzuchwalony bezkarnością, podniósł głowę i sam zamierzył powalić rząd i całą władzę skupić w swych rękach. Rozpoczął knuć intrygę. Według jego planów, Sejm winien był przygotować wybuchową minę, która miała wysadzić w powietrze istniejącą

władzę. Skrzynecki znalazł dla swojego projektu sojuszników w gronie poselskiem, a hr. Jan Ledóchowski, człek krzykliwy, namiętny, zaślepiony, dał się użyć za narzędzie.

Już dnia 31 maja na wniosek tego posła Izba jednomyślnie uchwaliła wyrazić podziękowanie naczelnemu wodzowi i wojsku za to, że się dobrze zasłużyli ojczyźnie. Wprawdzie posłowie nie znali jeszcze wszystkich szczegółów fatalnej wyprawy przeciw gwardjom, ale okropny wynik bitwy ostrołęckiej nie był już tajemnicą.

Jednakże wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu Skrzynecki na wniosek jednego krzykacza otrzymał podziękowanie przedstawicielstwa narodu za swoją małoduszność, za swój karygodny upór, za swoją opieszałość i swoje błędy, za niesłychane lekceważenie obowiązków wodza, za bitwę haniebnie przegraną!...

A potem wszczęły się w Sejmie obrady nad zmianą istniejącego rządu.

Na dwa obozy podzielili się posłowie, publiczność i prasa. Tych, co domagali się reformy, zwano r e f o r m i s t a m i, ich przeciwnicy nosili miano a n t y r e f o r m i s t ó w. Namiętne spory rozlegały się po całej stolicy. Ostatecznie nieznaczną większością głosów w Sejmie rząd pięciogłowy utrzymał się przy władzy, a Skrzynecki pozostał na czele wojska.

Cała ta intryga obniżyła tylko powagę Rządu Narodowego, a zarazem przekonała wodza, że z nikim nie potrzebuje się liczyć.

Bezkarność święciła swój triumf i rozprzęgała wszystkie istniejące władze...

Sejm wkrótce po tej uchwale, jakby za najlepszych czasów, zajął się mianowaniem nowych senatorów, a Skrzynecki, zamiast planów wojennych, zaczął układać listy oficerów i wyższych wojskowych, których przedstawiał do awansu. Mianował więc nowych generałów brygady i dywizji oraz no-

wych pułkowników. Awanse te po odniesionej klęsce i w czasie zupełnej bezczynności wyglądały na drwiny. Ale Rząd Narodowy nie śmiał przeciwstawić się Skrzyneckiemu i posłusznie zatwierdzał wszystkie nominacje. Szefem sztabu mianowany został gen. Łubieński, człowiek nie bez zdolności, ale pozbawiony wiary w pomyślny wynik wojny, bez wyobraźni twórczej i bez odwagi, jaką w planach operacyjnych wykazywał Prądzyński.

Tymczasem przyszła do Warszawy wieść o śmierci Dybicza, który 13 czerwca nagle życie zakończył.

Był to wypadek ważny i doniosły, gdyż armja rosyjska, pozbawiona władzy naczelnej, powstrzymana była w przedsięwziętych działaniach i przed przybyciem nowego wodza, jak to przewidywano, skazana została na bezczynność. Orężowi polskiemu znowu uśmiechnęło się szczęście.

Postanowił skorzystać z tego Prądzyński i, projektując ruch zaczepny przeciw głównej armji, natychmiast przedstawił plan odpowiedni naczelnemu wodzowi. Ale Skrzynecki plan odrzucił, gdyż walnej bitwy z główną siłą rosyjską za wszelką cenę postanowił unikać. Napisał natomiast do generała Chrzanowskiego, który z korpusem, posłanym na odsiecz Dwernickiemu, obozował pod Zamościem, by ruszył na Wołyń i tam wzniecił powstanie. Chrzanowski zgodził się polecenie wykonać, ale pod warunkiem, że korpus jego otrzyma posiłki, a generał Rüdiger, działający podówczas w Lubelskiem, zostanie zniesiony. Skrzynecki postanowił spełnić to żądanie i przeciw Rüdigerowi wysłał świeżo nominowanego generała dywizji Jankowskiego. Wybór był fatalny. Jankowski okazał się najniedołężniejszym z wodzów. Mimo szczęścia, które od początku mu sprzyjało, tak pokierował ruchami, że Rüdiger, będący w krytycznem położeniu, wymknął się szczęśliwie i klęski niechybnej uniknął.

Błędy, popełnione przez Jankowskiego, były tak widocz-

GEN. HENRYK DEMBIŃSKI

ne, iż opinja publiczna głośno oskarżała go o zdradę. Zarzut ten robiono również generałowi Bukowskiemu, który brał udział w działaniach przeciw Rüdigerowi, a wykazał tyle nieudolności i tchórzostwa, że tylko jawną zdradą niepowodzenia jego umiano sobie tłumaczyć.

Tymczasem wódz naczelny wyprawiał uczty, biesiady, czytywał gazety francuskie i czekał wiadomości o pomyślnych wypadkach. Rząd rozsyłał noty dyplomatyczne, a Sejm trawił czas na jałowych rozprawach.

Opinja zaczęła szemrać. Naraz w Warszawie gruchnęła wieść, że pomiędzy wielu znanemi osobistościami zawiązał się spisek, mający na celu pomaganie wojskom rosyjskim. Na czele tego spisku — jak niosła wieść — miał stanąć były komendant Zamościa, generał Hurtig. Twierdzono dalej, że generał Sałacki daje znać Rosjanom o poruszeniach wojsk polskich, że Jankowski i Bukowski przez spiskowych zostali przekupieni i że tem się tłumaczy ich nieudaná wyprawa. Oskarżono dalej cukiernika Lessla, szambelana Fanshave, Rosjankę Bazanową, która w Warszawie prowadziła dom otwarty i dużo osób u siebie przyjmowała...

Wieści o tym spisku, wieści bardzo niejasne, przyszły z Galicji i tysiącem plotek rozbiegły się po mieście.

Lud warszawski domagał się kary i zemsty. Dnia 29 czerwca doszło nawet do groźnych rozruchów. Tłum wybił szyby w cukierni Lessla, a na wiadomość, że przed domem Hurtiga przy ulicy Świętojerskiej ustawiono straże, z wielkim hałasem ruszył na tę ulicę. Gwardja narodowa próbowała nie dopuścić do zbiegowiska, ale gniewny lud przemocą udaremnił wysiłki gwardji i otoczył dom generała. Rozległy się groźne okrzyki:

— Śmierć zdrajcy!...

Hurtig ukazał się w oknie i chciał się usprawiedliwiać...

— Obywatele! — zawołał, — jam niewinny!...

W odpowiedzi na to grad kamieni posypał się w okno mieszkania i nowe nienawistne okrzyki przeszyły powietrze:

— Na latarnię ze zdrajcami! — wołano i coraz większe wzburzenie ogarniało lud zgromadzony. Straże wyprowadziły Hurtiga, by przeprowadzić go na zamek. Wtedy tłum rozerwał szeregi, rzucił się na generała, zerwał mu szlify, poszarpał na nim mundur, obsypał go tysiącem najstraszniejszych przekleństw. Ledwie z życiem udało się straży wprowadzić Hurtiga do zamku. Ale na placu Zamkowym tłum wzrósł i w dalszym ciągu burzył się, złorzeczył, hałasował. Przejeżdżał w tym czasie przez plac ks. Czartoryski. Wnet fale ludu szczelnie otoczyły powóz i z tysięcy piersi dobył się okrzyk olbrzymi, potężny:

— Sprawiedliwości!

Książę z odkrytą głową przemawiał do ludu. Donośnym głosem oświadczył, że sąd zbierze się natychmiast, że w ciągu 24 godzin rozpatrzy sprawę i wyda wyrok. Czartoryski zapewniał, że winni zdrady poniosą zasłużoną karę.

Ale przyrzeczenie to nie zostało spełnione. Płynęły dni, tygodnie, sąd nie wydawał wyroku i winni nie zostali ukarani. Opinja coraz bardziej była zatrwożona, a wieści, przychodzące z placu boju, budziły coraz większy niepokój i coraz większy gniew wywoływały w stolicy.

Istotnie położenie było bardzo groźne.

Dowództwo nad armją rosyjską otrzymał feldmarszałek Paskiewicz. Nowy wódz stanął w końcu czerwca w Pułtusku i postanowił przejść Wisłę, by zagrozić Warszawie, nieosłonionej od południa rzeką. Feldmarszałek działał bardzo ostrożnie, a nawet trwożliwie, ruchy jego były niepewne, często zgoła niestosowne. Lecz Skrzynecki ani myślał przeszkadzać zamiarom Paskiewicza. Nie korzystał z jego błędów, nie czynił absolutnie nic, by stolicę zabezpieczyć od najścia. Więc armja rosyjska uskuteczniła swój ruch w najzupełniej-

szym porządku. W początkach lipca rozłożyła się w okolicach Płocka, a 17 i 18 tegoż miesiąca przeprawiła się przez rzucone mosty i przeszła Wisłę w okolicach Raciążka. Przeprawa odbywała się w ogromnym niepokoju, gdyż Paskiewicz był pewien, że przejście Wisły poprzedzi krwawa i uporczywa walka. Nikt jednakże Wisły nie bronił i wojska rosyjskie, skupione w jednej masie, dalszy rozpoczęły pochód...

Wtedy dopiero niczem niewytłumaczona, a równająca się zbrodni bezczynność Skrzyneckiego wywołała interwencję Sejmu. Zdawałoby się, że po tylu dowodach niedołęstwa naczelnego wodza, po tylu strasznych błędach i klęskach poniesionych, Sejm przejrzy wreszcie, odbierze dowództwo Skrzyneckiemu i wraz z uwięzionymi generałami Jankowskim i Bukowskim pod sąd wojenny go odda. Nic z tego. Sejm wyłonił komisję, która wespół z członkami Rządu Narodowego i gronem wyższych wojskowych miała zbadać położenie i powziąć ostateczną co do dalszych działań decyzję. Dnia 27 lipca odbyło się posiedzenie owej wielkiej rady. Skrzynecki zasiadł pomiędzy członkami rządu w postawie pewnej siebie, a nawet wyzywającej, jakby to on miał sądzić zebranych. Gdy Bonawentura Niemojowski zażądał, aby obecni generałowie wypowiedzieli opinję o stanie rzeczy, jaki się wytworzył na terenie działań wojennych, a gen. Sierawski zabrał głos, Skrzynecki przerwał mu żywo i zawołał, że wojskowi nie mogą przemawiać bez jego zezwolenia. Protestowali przeciw temu posłowie, ale Skrzyneckiego poparł gen. Łubieński i kilku wojskowych. Książę Czartoryski nie zdołał opanować sytuacji, którą całkowicie owładnął Skrzynecki.

W ten sposób stłumiony został wszelki głos krytyki.

Gdy jednak przystąpiono do omawiania planów na przyszłość, Skrzynecki nie mógł już zahamować dyskusji. Plan jego wywarł na obecnych najfatalniejsze wrażenie. Naczelny wódz nie miał zamiaru przeszkadzać posuwaniu się wojsk ro-

syjskich ku Warszawie, natomiast pod stolicą obiecywał stoczyć walną bitwę. Wszyscy odczuli nieszczerość tego przemówienia, wszyscy zrozumieli, że wódz naczelny myśli o kapitulacji. Powiew śmierci przeszedł przez salę obrad i zmroził zebranych.

Chwila była tragiczna.

W takiej to chwili udzielono głosu gen. Prądzyńskiemu. Wszystkie oczy skupiły się na nim i w sali zapanowała cisza. A Prądzyński druzgocącemi argumentami wykazał całą zgubność planu Skrzyneckiego i w słowach dobitnych a jasnych przedstawił, że jedynym ratunkiem jest natychmiastowe wyruszenie przeciw nieprzyjacielowi i wydanie mu generalnej bitwy.

Prądzyński wszystkich przekonał i porwał.

Wówczas Skrzynecki, zrozumiawszy, że dalsze upieranie się przy swoim planie pozbawi go dowództwa, zapowiedział, że, zgodnie z opinją zebranych, niezwłocznie wyda bitwę. W ten sposób utrzymał się przy władzy, ale nie myślał przyrzeczenia spełnić.

Opuściwszy Warszawę, stanął w Bolimowie i, zamiast z całą armją ruszyć naprzód, pogrążył się w bezczynności. A Paskiewicz zbliżał się ku stolicy.

Publiczność warszawska, wysoce tem wszystkiem zaniepokojona, coraz głośniej zaczynała wyrażać swe niezadowolenie. Domagano się bitwy i coraz głośniej mówiono o zdradzie. Nareszcie i Sejm, najcierpliwsza i najgnuśniejsza z władz, jaka kiedykolwiek istniała, ów Sejm, który od czasów złożenia przez Chłopickiego dyktatury nie zdobył się ani na jeden krok pożyteczny, ów Sejm, który z takiem lekkiem sercem odrzucił reformę włościańską i z takiem samem sercem patrzał na równającą się zdradzie bezczynność wodza, ów Sejm gadatliwy, niezdarny, niezdolny do czynu, powziął nareszcie pierwszą stanowczą decyzję. Lecz, pożal się Boże, co to była

za decyzja! I teraz jeszcze nie śmiał pociągnąć Skrzyneckiego do odpowiedzialności, lecz utworzył nową delegację i, obdarzywszy ją nieograniczonem pełnomocnictwem, polecił pojechać jej do kwatery naczelnego wodza i postąpić z nim stosownie do uznania.

Delegacja ta, złożona z dwóch członków rządu, księcia Czartoryskiego i Wincentego Niemojowskiego, z senatorów Ostrowskiego i Wężyka oraz pięciu członków Izby poselskiej, wyruszyła 10 sierpnia do Bolimowa i rozpoczęła tam sejmikowanie. Delegaci, nie mający pojęcia o działaniach wojennych, zaczęli zasięgać rady wojskowych wszelkich stopni, wysłuchiwać oskarżeń i obrony. Skrzynecki zachowywał się dumnie, odpowiadał hardo i z całej delegacji nic sobie najwidoczniej nie robił...

Niebawem całe wojsko zaczęło się naradzać, sejmikować, potworzyły się partje, koterje, a od sprzecznych zdań, swarów i hałasów zaszumiało w Bolimowie, jak w ulu. Rozkład sejmowy przedostał się do wojska, zmroził zapał żołnierzy, zdemoralizował szeregi. Rozluźniła się dyscyplina, jak dym zaczęło się rozwiewać zaufanie armji, a nadzieja zwycięstwa, przyćmiona skandalem, zbladła i przygasła.

Lecz delegacja nie mogła się zdecydować sama na odebranie Skrzyneckiemu dowództwa.

Do stanowienia o tem zawezwano aż 68 wojskowych różnych stopni i dopiero wypowiedzenie się w sprawie naczelnego dowództwa tak licznego grona wyrwało z rąk Skrzyneckiego buławę.

W taki sposób zeszedł z widowni powstania człowiek, który los kampanji kilkakrotnie miał w swoich rękach i nic nie uczynił, aby tym losem pokierować. Odwrót po zwycięstwie, odniesionem na polach igańskich, wypuszczenie gwardyj, pokierowanie krwawą bitwą ostrołęcką, wybór nieudolnych ludzi, przeznaczonych na ważne wyprawy, ludzi takich, jak

Giełgud i Jankowski, bezczynność w Warszawie, bezczynność w Bolimowie, bezczynność o każdym czasie i w każdem miejscu, bezczynność bez względu na wszelkie okoliczności, powołujące do czynu, oto ogniwa w łańcuchu wielkich błędów, otaczających pamięć Skrzyneckiego. Niepowetowaną krzywdę, jaką powstaniu zaraz w pierwszych jego tygodniach wyrządził Chłopicki, uzupełnił ten nowy wódz-dyplomata, wódz-kunktator, wierzący bardziej w siłę pisanych przez siebie świstków do mężów stanu w Europie, niż w siłę miecza, kierowanego męstwem słuszności i rozpaczy.

*

* *

Po odebraniu Skrzyneckiemu władzy trzeba było obejrzeć się za następcą.

Następca ten zjawił się sam, a zjawił się, jak zwiastun wybawienia.

Był nim generał Henryk Dembiński.

Stosownie do uchwał rady wojennej w Kurszanach, ruszył on najpierw ku granicom Kurlandji. Po drodze zawadził o Miszkucie, rozbił stojącą tam kompanję piechoty, zabrał do niewoli stu żołnierzy, a zarazem zdobył 6.000 ładunków i 500 dukatów. Później z trzech stron zaatakował Poniewież, wypłoszył stamtąd rosyjską załogę, a część jej wziął do niewoli. Nadto zabrał nieprzyjacielowi obfite zapasy, a że mieszkańcy Poniewieża przyszli z pomocą, więc wojsko zostało zaopatrzone w niezbędne potrzeby.

W Poniewieżu dopiero zdecydował się Dembiński na powrót do Królestwa.

Od tej pory zwrócił na siebie uwagę nieprzyjaciela i nieustannie był osaczany. Trop w trop za nim szedł ze znacznemi siłami generał Savoini i ścigał wojska polskie. Generał

ten, mylony zręcznemi obrotami, nie mógł się zorjentować, w jakim kierunku zamierza iść Dembiński, więc zamiast uprzedzić go w punktach, przez które wypadała droga, deptał mu po piętach. Korzystał z tego dowódca polski, palił za sobą mosty, osłaniał się rzeką, borem, bagnami, wiódł z przedniemi strażami utarczki i posuwał się dalej. Przeszedł w ten sposób Wilję, a później Niemen. Wreszcie spostrzegli swe błędy generałowie rosyjscy i na granicy Królestwa umyślili ze wszech stron osaczyć Dembińskiego. Położenie jego stało się krytyczne, ale tym razem szczęście przyszło mu z pomocą. Generałowie rosyjscy, otrzymawszy mylną wiadomość o postępowaniu znacznych sił polskich, ciągnących naprzeciw Dembińskiego, zaprzestali na pewien czas pościgu. W ten sposób oddział wymknął się z zasadzki, lecz wkrótce nowe niebezpieczeństwa zagrodziły Dembińskiemu drogę. Na jego tyłach szedł Savoini, a od frontu usiłował przeciąć odwrót generał Rosen. I z tej matni dzięki trafnie wybranemu kierunkowi i błędom dowódców rosyjskich, zdołał wybrnąć Dembiński i ocalić swój korpus.

Gdy zbliżał się do Warszawy, wieść o jego świetnym odwrocie błyskawicznie rozniosła się po stolicy i mnóstwo ludu wysypało się na spotkanie szczęśliwego generała.

Widok był niezwykły. Dembiński prowadził ze sobą żołnierzy, wybiedzonych, wychudłych, czarnych od skwaru słonecznego, ubranych najdziwaczniej we wszelkiego rodzaju ubiory: mundury polskie i rosyjskie, siermięgi, czamary, kurtki strzeleckie, kapoty mieszczańskie; pstrokaciznę tę podnosiła jeszcze rozmaitość broni. Obok karabinów kalibrowych widać było janczarki, fuzje, karabele, kindżały. Taką samą mieszaninę przedstawiały konie ras wszelkich oraz ciągnące za wojskiem tabory.

Zastępy publiczności, poprzedzone przez członków Rządu i Sejmu, wyległy na błonia praskie.

Oddział Dembińskiego przywitano pieśnią: „Jeszcze Polska nie zginęła“ i rozgłośnemi okrzykami na cześć wodza i jego dzielnych żołnierzy.

Od tej pory wszystkie oczy zwrócone były na tego generała...

Niestety, jakiś fatalizm zawisł nad powstaniem: Dembiński, bez wątpienia świetny partyzant, nie był mężem, jakiego wymagała chwila. Ani charakterem, ani umysłem nie wzniósł się ponad poziom przeciętności. Mianowany w nagrodę za okazane usługi gubernatorem Warszawy, okazał się człowiekiem drażliwym, porywczym, nieorjentującym się w sytuacji i stosunkach. Despotyzmem i nietaktem swoim naraził sobie żywioły rewolucyjne i obudził najwyższą niechęć śród opozycji sejmowej. Uznanie, jakiem go otaczano, prysło bardzo szybko. Okazało się, że ten dzielny generał jest umysłem ciasnym, głową bardzo przeciętną. Jego nieznośna zarozumiałość w krótkim czasie zraziła do niego najbardziej oddanych zwolenników.

Wyniesiony przez delegację sejmową na następcę naczelnego wodza, Dembiński, zamiast nowym czynem wojennym wzbudzić zaufanie, postąpił sobie w najwyższym stopniu nierozważnie. Oto, obejmując dowództwo, postanowił dokonać przeglądu wojsk i przegląd ten w towarzystwie Skrzyneckiego odbywał. Żołnierz, który pamiętał dawnego wodza w bitwach pod Dobrem, Grochowem, który na karb Skrzyneckiego kładł zwycięstwa pod Wielkim Dembem, Wawrem, Iganiami, a na polach Ostrołęki widział naczelnego wodza, śmiało idącego w odmęt śmierci, nie zdawał sobie sprawy ze strasznych jego przewinień i błędów.

Więc wojska przywitały strąconego wodza okrzykami sympatji i życzliwości.

Skrzynecki zaś wygłosił mowę i przemówienie swoje okrzykiem na cześć nowego wodza zakończył.

— Niech żyje Skrzynecki! — odpowiedzieli żołnierze.

— Niech żyje Dembiński! — powtórzył Skrzynecki, ale wojsko z uporem na cześć Skrzyneckiego powtarzało wiwaty.

Wtedy Dembiński głos zabrał i w mowie swej nazwał Skrzyneckiego „mężem bez trwogi i skazy", ba! obiecywał nawet brać z niego przykład i iść jego śladem...

Była to rycerskość nie na miejscu, a obietnica naśladowania Skrzyneckiego wręcz straszna. Toż Skrzynecki swą bezczynnością naraził się całemu społeczeństwu, a przez młodzież patrjotyczną głośno był oskarżany o zdradę. W takich warunkach obietnica naśladowania go mogła wzbudzić największą obawę. Ale Dembiński dla dogodzenia próżności swemu poprzednikowi nie liczył się ze słowami, nie zdając sobie sprawy, że słowa te wywołają wybuch oburzenia w stolicy.

Na domiar nieszczęścia, pierwsze kroki Dembińskiego pozwalały przypuszczać, że istotnie pójdzie drogą swego poprzednika. Zamiast iść naprzód i szukać bitwy, Dembiński nakazał ruch wsteczny ku Warszawie. Nie uważał on za rzecz możliwą stoczenie walnej bitwy pod stolicą i z innemi planami się nosił, ale ludność Warszawy i wojsko, członkowie Rządu i Sejmu, kraj cały domagał się bitwy...

Dembiński ruchem swoim do reszty zdemoraliziwał armję, oburzył oficerów i, przeciwstawiwszy swą wolę powszechnemu głosowi, naraził sobie wszystkich.

Wrzenie ogarnęło Warszawę, złowrogi okrzyk: „zdrada!" znów obił się o jej mury...

Burza wisiała w powietrzu...

XI.

NOC 15 SIERPNIA I KRUKOWIECKI

Wieść o dalszem cofaniu się wojsk polskich była iskrą, która zapaliła wzburzone umysły...

Towarzystwo Patrjotyczne, zabite przez Lubeckiego, a powołane do życia po upadku dyktatury, lecz długi czas wlokące swój żywot cicho i ospale, ocknęło się naraz i podniosło głowę.

Na posiedzeniach Towarzystwa znowu zaczęły gromadzić się liczne zastępy publiczności, a temperatura tych posiedzeń codziennie stawała się gorętsza. Niepomyślne wypadki, wstrząsające opinją, omawiane były szeroko, a żywo, zapalczywie, namiętnie. Rej w Towarzystwie wiedli teraz ludzie, którzy w pierwotnym klubie żadnej nie odgrywali roli. Zasłynął w ostatnich czasach swojemi mowami ksiądz Puławski, człowiek namiętny, ognisty, lecz ogromnie niespokojny i nie cieszący się dobrą opinją, popularnym stał się Jan Czyński, zwolennik środków gwałtownych, rewolucyjnych, a dalej Krępowiecki, Płużański i kilku innych. Wszyscy oni energicznie krytykowali istniejący stan rzeczy i w ludzie stołecznym podniecali niezadowolenie, zapalali uczucia oburzenia i gniewu.

W takim stanie rzeczy Rząd Narodowy wzniecał ku sobie niechęć coraz większą.

Książę Czartoryski, w którego rękach spoczywał ster polityki zagranicznej, dokładał wszelkich usiłowań, aby poruszyć nieczułe na niedolę polską gabinety. Liczył najwięcej na Francję, ale gdy wszystkie nadzieje, jakie w rządzie francuskim pokładał, zawiodły, zwrócił się ku Austrji. Najpierw, jak wiadomo, ofiarowywał koronę polską jednemu z arcyksiążąt austrjackich, a gdy powstanie zaczęło chylić się do upadku, powziął myśl rozpaczliwą. Oto opracował notę, w której całe Królestwo oddawał Austrji, przyjmując bez zastrzeżeń wszelkie warunki gabinetu wiedeńskiego, zapewniając nawet, że naród polski przyjmie taki ustrój, jaki się rządowi austrjackiemu nadać podoba. Członkowie Rządu Narodowego podpisali to pismo. Jedynie Lelewel odmówił swojego podpisu na tym strasznym akcie. Oburzył się na to Czartoryski — i pomiędzy nim a Lelewelem doszło do gwałtownej sceny.

Mimo protestu uczonego pismo wysłane zostało do Wiednia, ale, oczywiście, żadnego nie odniosło skutku.

Odtąd gorycz panowała na posiedzeniach rządu, nieufność wzajemna przepełniała serca, poczucie niemocy przytłaczało piersi. Rząd Narodowy tracił resztkę powagi i ginął własną niemocą: dni jego były porachowane.

Właśnie w tym samym czasie ukazał się na widowni publicznej generał Krukowiecki, mianowany po bitwie grochowskiej gubernatorem Warszawy. Wskutek nieporozumień ze Skrzyneckim i z rządem, Krukowiecki urząd swój złożył i od tej pory stał się zagorzałym przeciwnikiem zarówno naczelnego wodza, jak i członków rządu. Był to starzec bystry i niepozbawiony zdolności, ale próżny, namiętny, przewrotny. Widział on, że w istniejącem położeniu wszystkie władze są zachwiane i przewidywał katastrofę. Ambitny, chciwy w najwyższym stopniu władzy, a przytem najlepszego mniemania o sobie, zamarzył o pochwyceniu w swe ręce steru powsta-

nia. Na stanowisku gubernatora wykazał dużo energji i postępowaniem śmiałem a przedsiębiorczem umiał zyskać zaufanie mas ludowych stolicy. Złożywszy urząd, przyłączył się do niezadowolonej rzeszy, potakiwał wszelkiej krytyce, zarzucał Skrzyneckiemu zdradę, rządowi — nieudolność, przysięgał, że niech tylko władzę pochwyci, a natychmiast załatwi się ze zdrajcami. Przeciwko układom, o których coraz głośniej w Warszawie mówiono, piorunował zawzięcie, bezczynność na polu bitwy przedstawiał, jako zbrodnię. Stary intrygant zaręczał na prawo i na lewo, że po dojściu do władzy wszystko z gruntu odmieni. Urzędników i generałów niezdolnych obiecywał niezwłocznie usunąć, tych zaś, co w polu lub na urzędach wykazali złą wolę, przykładnie ukarać. Nadto miał się otoczyć ludźmi młodymi, śmiałymi, a zdolnymi odpowiedzieć wielkim potrzebom chwili. Gdy mu zwracano uwagę, że na takie rządy Sejm nie pozwoli, odgrażał się, że kraju zgubić nie da i Sejm potrafi rozpędzić. A że nieprzyjaciel zbliżał się do Warszawy, więc mówił dużo o jej obronie, zapewniając, że raczej wysadzi ją w powietrze, niż odda Paskiewiczowi...

Krukowiecki umiał dla swoich celów wyzyskać Lelewela, usidlał wybitniejszych członków klubu, Czyńskiego i Krępowieckiego, potrafił natchnąć wiarą w swą wielkość Nabielaka, a nawet Mochnackiemu zdołał zawrócić głowę.

W oczach tych ludzi Krukowiecki stał się mężem opatrznościowym, jedynym człowiekiem zdolnym uratować sprawę. Młodzież rewolucyjna, biorąc jego zaklęcia i przysięgi za dobrą monetę, obiecała mu swoje poparcie. Na tle działalności Krukowieckiego i konszachtów, które rozpoczął, po mieście zaczęły krążyć coraz częściej niepokojące plotki i pogłoski.

Mówiono o gwałtownem wstrząśnieniu i manifestacji rewolucyjnej, która miała obalić rząd dotychczasowy i na czele powstania postawić Krukowieckiego. To znowu zapowiadano

na dzień 18 sierpnia rozruchy, mające w dziejach rewolucji listopadowej nową zapoczątkować erę.

Lecz wybuch nastąpił prędzej i niezależnie od woli zwolenników Krukowieckiego.

Struna cierpliwości publicznej była przeciągnięta, wzburzenie dochodziło do szczytu. Nowa Polska, będąca organem Towarzystwa Patrjotycznego, w najostrzejszych wyrazach krytykowała działalność generałów, szarpała rząd, gradem potępień miotała w członków Sejmu, zarzucając im, że, nie przeprowadziwszy reformy włościańskiej, pozbawili powstanie najważniejszej siły: siły mas ludowych. Z trybuny Towarzystwa również padały namiętne oskarżenia pod adresem władz istniejących i złowrogi okrzyk: „zdrada!" coraz częściej rozlegał się w salach posiedzeń i coraz częściej słyszany był na ulicy. Huczała Warszawa, szemrał lud i coraz większym zapalał się gniewem.

W takiem usposobieniu zastał stolicę dzień 15 sierpnia...

Dnia tego wieczorem tłum świąteczny zebrał się na placu Krasińskich i rozprawiał żywo o grożącem stolicy niebezpieczeństwie. Dużo osób, idących do teatru, przyłączyło się do tłumu i ciekawie nadstawiało ucha. Mnóstwo wieści i plotek podawano sobie, a z ust do ust krążyła pogłoska, że Towarzystwo Patrjotyczne zamierza przedsięwziąć jakieś kroki stanowcze. Rozdawano niewiadomo przez kogo sporządzone listy zdrajców, pokazywano sobie afisze, na których widniała szubienica, a pod nią nazwiska wielu najwybitniejszych osobistości. Ks. Czartoryski, Skrzynecki, Barzykowski i inni na liście tej figurowali...

Wszystko to spowodowało, że tłumy pociągnęły na posiedzenie Towarzystwa i, gwarne, wzburzone, czekały rozpoczęcia obrad.

Po zagajeniu zebrania przez Czyńskiego, głos zabrał Płużański i, omawiając położenie obecne, w najostrzejszych sło-

wach godził w Skrzyneckiego. Wzywał on zebranych, aby udali się na posiedzenie rządu i zażądali postawienia Skrzyneckiego przed sądem...

— Wojsko — wołał Płużański — chce się bić i pewne jest zwycięstwa, ale wodzowie do walki żołnierza prowadzić nie chcą. Zdrada! zdrada!...

— Zdrada! — powtórzyły tłumy i okrzyk ten wyleciał z sali obrad, dostał się na ulicę i niby pierwszy grzmot, zwiastujący burzę, gruchnął po całej Warszawie.

Po Płużańskim przemawiał ksiądz Puławski i namiętną, ognistą mową rozkołysał i rozpalił wzburzone namiętności. Okrzyki „zdrada!“ i „na rząd! na rząd!“ grzmiały coraz groźniej i coraz gwałtowniej. Wówczas Czyński zaproponował, aby wybrano deputację, która miała zażądać od rządu wyjaśnień, a przedewszystkiem dowiedzieć się, dlaczego Skrzynecki, acz pozbawiony dowództwa, pozostaje przy wojsku i dlaczego armja, zamiast walczyć z nieprzyjacielem, do Warszawy powraca. Wniosek został przyjęty, wybrano deputację, a na jej czele stanęli ks. Puławski, Czyński i Płużański...

Deputacja opuściła salę obrad i skierowała się ku pałacowi namiestnikowskiemu, gdzie rząd odbywał posiedzenia. Za deputacją pociągnęły tłumy, zgromadzone na placu Krasińskich, i olbrzymia masa ludu groźna i gniewna otoczyła miejsce obrad rządu.

Tymczasem delegaci wtargnęli do pałacu i, stanąwszy przed członkami rządu, wyjaśnili cel swego przybycia. Książę Czartoryski zapewnił deputację, iż nie dopuści do żadnego kroku, któryby splamić mógł honor narodu, że położenie jest trudne, ale bynajmniej nie rozpaczliwe, że jeżeliby nie udało się wojskom polskim zwyciężyć, to nieprzyjaciel, wszedłszy do Warszawy, nic prócz popiołu i zgliszcz nie zastanie. Barzykowski w porywczych słowach starał się przekonać de-

putację, że postępowanie Towarzystwa jest niewłaściwe i wystąpieniem swojem zaostrzył tylko sytuację. Deputacja jednak, nie postawiwszy żadnych żądań i nic nie zdziaławszy, poprzestała na tych ogólnikowych zapewnieniach i, opuściwszy pałac rządowy, zaniosła odpowiedź ludowi.

Ale lud uspokoić się nie dał. Odpowiedź rządu dolała oliwy do ognia i tłumy coraz głośniej hałasowały.

Ktoś krzyknął: — Na zamek!

W zamku osadzeni byli podejrzani o należenie do spisku generałowie. Wnet liczne głosy pochwyciły owo hasło i z tysiącznych piersi wydobył się potężny okrzyk:

— Na zamek! śmierć zdrajcom!...

Tłumy, złorzecząc i hałasując, popłynęły na plac Zamkowy i, huczące a groźne, jak wichrem szarpana fala, rozlały się po placu.

— Śmierć zdrajcom! Śmierć zdrajcom! — wołano nieustannie. I otoczono zamek.

Niebawem warta, stojąca na straży, pierzchła, drzwi zatarasowane pękły i tłum, jak pocisk kary i zemsty, wtargnął do wnętrza. Najpierw padł ofiarą sprawca swoich i naczelnego wodza błędów, generał Jankowski, a później reszta uwięzionych. Dali więc gardła generałowie Bukowski i Sałacki, szambelan Fanshave, Rosjanka Bazanowa, urzędnik banku Bentkowski, wreszcie generał Hurtig, były komendant Zamościa, słynący, jako prześladowca więźniów, oddawanych mu pod opiekę. Trupy wywleczono z zamku i powieszono niebawem na latarniach.

Po tej egzekucji rozległy się okrzyki:

— Wieszać szpiegów!

W pobliżu rogatek wolskich znajdowało się więzienie, w którem osadzono słynnych szpiegów z czasów w. ks. Konstantego. Wzburzony tłum ruszył ku rogatkom i niebawem obficie krew popłynęła. Szyją przypłacili swoje rzemiosło

szpiegowie: Szlej, Makrot, Grünberg, Szymanowski i wielu innych, nie doczekała świtu szajka defraudantów i oszustów, oczekujących wyroku sądowego...

W chwili, kiedy tłumy rozprawiały się ze szpiegami, prezes rządu ks. Czartoryski, przebrany w mundur oficerski, śpieszył konno do obozu, bo w Warszawie nie czuł się bezpiecznym. Przy rogatkach chciano go zatrzymać. Ale książę spiął konia ostrogami i skrył się w ciemnościach. Kilka kul świsnęło mu koło uszu, lecz żadna nie dosięgła i Czartoryski szczęśliwie przedostał się do obozu.

Nazajutrz wstał dzień mglisty, pochmurny. Warszawa okropny przedstawiała widok. Przed więzieniem leżały na bruku pomordowane ofiary, na latarniach, w kilku punktach miasta, widniały straszliwie wyglądające ciała wisielców, a publiczność, w małych grupach zebrana, ze zgrozą omawiała okropne wypadki ubiegłej nocy.

Rząd Narodowy obradował od samego rana. Smutne to były obrady. Rząd nie wiedział, co robić, jak się zachować, czuł tylko swoją bezsilność i rozumiał, że władzy nie zdoła już utrzymać w swych rękach. Jeden Lelewel, którego niesłusznie posądzano, że kierował ludem podczas rozruchów, twierdził, że należy wyzyskać wypadki, starać się podnieść ducha w stolicy i cały gniew ludu skierować przeciw wrogowi, zbliżającemu się już do Warszawy. Ale Czartoryski był nieobecny, Niemojowski oświadczył, że nie nadaje się do działań rewolucyjnych, a Barzykowski utrzymywał, że rząd natychmiast powinien podać się do dymisji. Zgodzono się na ten wniosek, ponieważ jednak trzeba było przedtem stworzyć jakąś, choćby tymczasową władzę w mieście, postanowiono tedy prosić Krukowieckiego, aby objął urząd gubernatora.

Istotnie miał on popularność w mieście i w tej chwili wydawał się najodpowiedniejszym na to stanowisko.

Krukowiecki skorzystał ze sprzyjających mu okoliczno-

ści i odrazu wypłynął na widownię, jako osoba najwidoczniejsza. W dwa dni później Rząd Narodowy przestał egzystować, a Sejm, straciwszy w oczach ogółu wszelką powagę, również na Krukowieckiego zwrócił swe oczy i w jego popularności szukał i oparcia dla siebie, i ratunku dla upadającej sprawy powstania.

Dnia 17 sierpnia Krukowiecki został ogłoszony prezesem rządu. Sejm dał mu władzę wielką, prawie dyktatorską...

W ten sposób krwawa noc 15 sierpnia ziściła marzenia przebiegłego starca. Dorwał się do władzy przedtem jeszcze, nim zdążyli władzę tę przygotować jego zwolennicy.

Wybór był fatalny: w rękach Krukowieckiego miało skonać dzieło listopadowe...

I skonać musiało. Krukowiecki należał do ludzi, dla których wyniesienie się osobiste jest najwyższą ambicją. Aby otrzymać władzę, robił wszystko, a we wszystkiem nie sprawę, lecz siebie miał na widoku. Lekkomyślny intrygant i warchoł nie mógł w tak krytycznej chwili uratować sprawy. Wprawdzie deklamował pięknie o swem przywiązaniu do ojczyzny, piorunował przeciw układom, zaklinał się na siwe włosy i przysięgał, że ukarze zdrajców, co swem niedołęstwem cały naród postawili nad przepaścią zginienia. Ale w duszy knuł zdradziecko plan inny. Podobnie jak Skrzynecki, nie wierzył i on w skuteczność dalszej walki, lecz myślał o zagajeniu układów. Siły powstania były jeszcze poważne, a jedno większe powodzenie mogło zmienić postać rzeczy i rząd rosyjski uczynić skłonniejszym do ustępstw. Na te ustępstwa liczył nowy prezes rządu. Był pewien, że układy i jemu zabezpieczą przyszłość, wyniosą go może na stanowisko wielkorządcy w Królestwie, oczywiście, w Królestwie pod władzą Mikołaja. Ale z zamiarami takiemi nie mógł się zdradzać przed czasem. Noc 15 sierpnia była krwawą przestrogą,

a przecież tej nocy Krukowiecki zawdzięczał swą władzę. Więc w pierwszych dniach swoich rządów nie przestał grać roli, której zawdzięczał swoje wyniesienie.

Wprawdzie obietnic nie dotrzymał, na stanowisko wiceprezesa rządu powołał Bonawenturę Niemojowskiego, co przypominało rząd dawny, bo Niemojowski należał do stronnictwa, które w rządzie pięciogłowym, reprezentowane przez jego brata Wincentego i Teofila Morawskiego, straciło zaufanie i popularność, a wszelkiej łączności z dawnym rządem stanowczo należało unikać. Ale obok tego przejawił Krukowiecki sporo energji i zdecydowania. Skrzyneckiemu rozkazał armję opuścić, Dembińskiego pozbawił naczelnego dowództwa i oddał je gen. Małachowskiemu. Wybór był nieszczególny, bo Małachowski, człowiek najlepszych chęci i dużych w przeszłości zasług, ale już stary i niedołężny, bez wyższych zdolności, nie miał odpowiednich kwalifikacyj, by armją dowodzić. Ale że nikt z innych generałów, nie wyłączając Prądzyńskiego, nie czuł się na siłach objąć w obecnem położeniu dowództwa naczelnego, więc wyboru nie było. Co do młodych i śmiałych ludzi, którymi miał się Krukowiecki otoczyć, to uczynił on to, ale z wielką ostrożnością, gdyż rozumiał dobrze, iż zamiary jego nie dogadzają widokom rewolucjonistów. Bał się ich przebiegły starzec i w miarę tego, jak zamiary swoje ujawniał, oddalał od siebie niedawnych sprzymierzeńców, a później nawet kazał ich szpiegować. Jednakże mimo to wszystko czynność, jaką Krukowiecki w pierwszych dniach po objęciu władzy rozwijał, dobre uczyniła wrażenie. Umysły się uspokoiły, stronnictwa przycichły, powracał ład i porządek, ufność na nowo wstępowała w serca.

Taki stan rzeczy wyraźnie wskazywał Krukowieckiemu drogę, którą należało kroczyć...

Mógł on podobnie, jak w swoim czasie Chłopicki, natchnąć stolicę i wojsko niezłomną chęcią walki, mógł zażą-

dać największych ofiar, a wszystko świadczyło, że głos jego będzie usłyszany.

Ale prezes rządu nie wierzył w skuteczność walki i z innemi zamiarami obejmował władzę. Wszakże rozumiał, że położenie jest trudne i że zamiary te łatwo urzeczywistnić się nie dadzą. Mniej lub więcej znaczne powodzenie, osiągnięte na polu bitwy, ułatwiało ogromnie układy i wymaganiom ze strony polskiej nadawało powagi.

Więc Krukowiecki zaraz w kilka dni po objęciu władzy zwołał radę wojenną i w myśl uchwały, która na tej radzie zapadła, zdecydował się na ruch zaczepny przeciw generałowi Rosenowi. Ten ostatni stał ze swoim korpusem na prawym brzegu Wisły pomiędzy Siedlcami a Brześciem Litewskim, a znaczna odległość od głównych sił rosyjskich stanowisko tego korpusu czyniła wysoce niebezpiecznem.

Wyprawa przeciw Rosenowi miała wszelkie widoki powodzenia, ale Warszawa była zagrożona przez Paskiewicza, a w takich okolicznościach osłabianie załogi stołecznej stawało się krokiem wysoce ryzykownym. Nie bacząc na to, zdecydowano jeszcze wyprawić całą dywizję w województwo płockie, by z tego województwa, niewyniszczonego dotąd przez wojnę, czerpać zapasy żywności, a zarazem znieść drobne oddziały rosyjskie, śpieszące przeprawić się na drugi brzeg Wisły w celu połączenia się z Paskiewiczem.

W Płockie wysłano gen. Łubieńskiego, a przeciwko Rosenowi — generała Ramorino.

Ten ostatni miał pod sobą 20.000 najlepszego wojska. Był to cudzoziemiec, z pochodzenia Włoch, niegdyś oficer francuski, człowiek o dość awanturniczej przeszłości, nie znający ni kraju, ni ludzi. Losy walki niewiele go obchodziły. Do Polski przybył, wiedziony żądzą przygód i sławy, na nieszczęście powstania, jedynie karjera popchnęła go w szeregi wojsk polskich.

Ramorino zdradził pokładane w nim zaufanie i zaraz na początku wyprawy wykazał tyle nieudolności, że książę Czartoryski, który w tej wyprawie brał udział w charakterze świadka, napisał do Krukowieckiego list ostrzegawczy. Naskutek tego listu Krukowiecki polecił Prądzyńskiemu połączyć się z Ramoriną i wesprzeć go swoją radą. A Prądzyński, zamiast zażądać naczelnego dowództwa nad całym korpusem, przyjął narzuconą mu rolę doradcy i natychmiast wyjechał do obozu. Bystrym swoim umysłem ocenił on zaraz sytuację i, korzystając ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, które, mimo popełnione dotychczas błędy, pozwalały jeszcze na pobicie Rosena, ułożył plan odpowiedni. W myśl tego planu podzielono korpus na dwie kolumny, które jednocześnie miały się zejść pod Międzyrzeczem i otoczyć obozujące tam wojska Rosena. Nad jedną z tych kolumn objął dowództwo Ramorino, nad drugą — Prądzyński. Prądzyński postąpił stosownie do umowy, ale Ramorino, podobnie jak Skrzynecki, mający w swoim czasie stanąć pod Iganiami, ani myślał o wykonaniu planu. Skutkiem tego wyprawa nie osiągnęła celu i Rosen uszedł cało. Prądzyński po żywej sprzeczce z generałem Ramorino opuścił jego korpus i powrócił do Warszawy. Zrozpaczony wynikiem wyprawy, zniechęcony, zgorzkniały stracił całą energję, podupadł na duchu i zwątpił o wszystkiem.

Tymczasem Paskiewicz pierwszy nawiązał rokowania.

Krukowiecki ze strony polskiej Prądzyńskiego przeznaczył na negocjatora. Nieszczęsny Prądzyński podjął się tej misji i dnia 4 września traktował z generałem rosyjskim Dannenbergiem, który nie szczędził obietnic i wszelkich gwarancyj, byle tylko rząd polski uznał cesarza Mikołaja, poddał bez boju Warszawę, a całą armję polską skoncentrował w województwie płockiem. W razie spełnienia tych żądań generał rosyjski obiecywał zmianę konstytucji, stosownie do żądań narodu, oraz całkowitą za udział w powstaniu amnestję.

Krukowiecki usilnie obstawał za dalszem prowadzeniem układów, ale większość ministrów, zdając sobie dobrze sprawę z tego, do czego te negocjacje doprowadzą, stanowczo myśl tę odrzuciła.

Wobec tego najenergiczniej należało przygotować się do obrony.

Dnia 5 września armja rosyjska otoczyła stolicę, a główne siły stanęły naprzeciw Woli. 86.000 ludzi i 438 armat przywiódł ze sobą Paskiewicz. Ale wojsko rosyjskie w posępnem milczeniu spoglądało na wznoszące się przed niem szańce, a w mieście osaczonem widziało ponurą otchłań wielkiego grobu. Wyobrażano sobie, że stolica jest podminowana, na każdy dom patrzano, jak na fortecę. Na polach Grochowa, Igań i Ostrołęki Polacy wykazali tyle męstwa i odwagi, że w obozie rosyjskim nie spodziewano się łatwego zdobycia stolicy. Paskiewicz z wielką trwogą myślał o szturmie. Liczył się z jego niepowodzeniem i projektował w takim wypadku cofnąć się w stronę Rawy i Łowicza, obiecując sobie przy pomocy wszystkich posiłków ponowić raz jeszcze próbę oblężenia przed zimą. Ale odparcie Moskali mogło spowodować najgorsze dla armji rosyjskiej następstwa i szalę powodzenia w dalszej walce przechylić na stronę polską.

Istotnie Warszawa pod rządem silnym i energicznym mogła stać się grobem dla nieprzyjaciela. 50.000 piechoty przed odkomenderowaniem Ramoriny miała stolica do obrony, 10.000 jazdy było na usługi oblężenia, a ziemie na prawym brzegu Wisły mogły dostarczać potrzebnej żywności. Nadto był w mieście lud, głodny walki i zemsty. Wszystko, co żywiej czuło, cierpiało, pragnęło, gotowe było stanąć na okopach i walczyć do ostatniego tchnienia. Ale Krukowiecki osłabił garnizon Warszawy, nic natomiast dla jej wzmocnienia nie czynił. Wojsku rozkazów nie wydawał, ludu nie uzbrajał,

barykad nie budował, pragnących walczyć nie prowadził na szańce.

A Małachowski, starzec czcigodny, ale już niedołężny, nie wiedział jak kierować obroną, a co gorsza nie znajdował już należytego śród podwładnych posłuchu.

— „Na łożu śmierci utrzymywać będę, — mówił w parę lat potem generał Bem — że Warszawa była nie do wzięcia".

Ale by szturmy zwycięsko wytrzymać — a kilka nieudanych szturmów było stanowczą klęską dla armji rosyjskiej — aby odeprzeć zamach na tę piędź ziemi, która teraz stawała się całą Polską, trzeba było, zdaniem Bema, komendy...

Niestety, nie miał kto już i obroną kierować...

Byli poszczególni dowódcy, lecz ogólnego kierunku wszelkich działań w tym krytycznym dla Polski momencie nie odważył się wziąć w swe ręce Krukowiecki — nie było przeto naczelnego wodza...

Bo Krukowiecki w skuteczność obrony nie wierzył...

XII.

OBLĘŻENIE WARSZAWY

Dowództwo nad linją fortyfikacyjną, idącą od Wisły przez Marymont, Powązki i Wolę, objął generał Dembiński: fortyfikacjami, ciągnącemi się od Woli przez Rakowiec, Królikarnię i Czerniaków, dowodził generał Umiński.

Na tej szesnastowiorstowej przestrzeni rozlokowano 30.000 wojska i 92 działa artylerji konnej, które podczas szturmu miały śpieszyć z pomocą na punkty najbardziej zagrożone.

Linja obronna Warszawy, tworząca półkole, dotykająca swemi kończynami Wisły, opasana była dwoma rzędami bateryj. W środku tego półkola, na gruncie Woli, wznosiła się fortyfikacja Nr. 56. Fortyfikacja ta, wysunięta naprzód, jak strażnica, a otoczona głębokim rowem i okopami wysokości 12 stóp, miała w swym obrębie kościół i cmentarz, okolony wysokim murem. W murze porobiono strzelnice, a całą fortyfikację ze względu na jej ważną pozycję wzmocniono staranniej, niż inne.

Dostęp do tej placówki osłaniał wysoki szaniec Nr. 57 i reduta 54.

Woli bronił generał Sowiński.

Był to stary weteran, nieczynny dotąd w szeregach, bo kalectwo nie pozwalało mu na to: w r. 1812, w bitwie pod

Możajskiem kula armatnia urwała mu nogę. Sowiński pracował w ministerjum wojny, gdy jednak nieprzyjaciel osaczył Warszawę, stary wojak sam udał się do Małachowskiego i prosił o dowództwo w punkcie najniebezpieczniejszym.

Małachowski powierzył mu Wolę.

Obrona tej pozycji wymagała co najmniej czterotysięcznej załogi, ponieważ jednak wojsk było mało, a nikt w obozie polskim nie przypuszczał, by szturm rozpoczął się od Woli, przeto Sowińskiemu dano wszystkiego trzy bataljony, liczące razem 1.300 żołnierzy. Jednym z tych bataljonów dowodził Piotr Wysocki, niedawno podporucznik grenadjerów gwardji, obecnie podpułkownik w X pułku piechoty.

Sowiński, acz doskonale zdawał sobie sprawę, że za słabe posiada siły, aby szturm odeprzeć, zapewnił wodza, że, póki żyw, fortyfikacyj nie odda.

Na słowie starca można było polegać.

W pamiętnym a krwawym dniu 6 września wojska rosyjskie już o godz. 4 z rana posunęły się naprzód. Generał Umiński, zwiedziony fałszywemi obrotami, był pewien, że przeciwko niemu główne uderzenie szykuje nieprzyjaciel. Stał więc na zajętych stanowiskach nieporuszony i choć wkrótce wyjaśniło się, że punktem najbardziej zagrożonym jest Wola — Umiński ucierał się z niewielkiemi siłami Rosjan i na Wolę z pomocą nie śpieszył.

Małachowski nie zorjentował się w sytuacji, nikt więc nad całością obrony nie czuwał.

Tymczasem 100 dział rosyjskich zbliżyło się do fortyfikacyj, osłaniających Wolę, i w ciągu dwu godzin sypało na nie ulewnym deszczem ognia i żelaza. A gdy fortyfikacje zostały uszkodzone, korpusy generałów Kreutza i Pahlena ruszyły do szturmu...

Rosjanie opanowali najpierw szaniec Nr. 55, który dla braku wojsk pozostawiony był bez załogi. Z szańca tego gen.

Geismar poprowadził kolumny ku reducie Nr. 54. Jednocześnie zaś ku temu samemu punktowi od frontu posuwał się ze znacznemi siłami generał Sulima.

Tylko pół bataljonu broni zagrożonej placówki, ale broni jej dzielnie.

Reduta grzmi, błyska, sypie kartaczami i jak dymiąca skała opiera się szturmującym falom. Zbliżają się Rosjanie, z dwu stron otaczają redutę i niby mrowie zalegają okopy. Piechota rosyjska z okrzykiem: „hura!“ wpada do wnętrza. Sroży się nierówna walka, lecz trwa bardzo krótko, gdyż część załogi ginie od uderzeń bagnetów, reszta nie może wytrzymać gwałtownego natarcia przemożnych sił nieprzyjaciela. Rosjanie stają się panami reduty.

Nagłe kłęby białego dymu wznoszą się nad zdobytą placówką, błyskawica ognia otacza okopy, ogłuszający huk rozdziera powietrze. Reduta drży, chwieje się, kołysze, rozpada, — poczem ze strasznym gruchotem, w tumanach dymu i blaskach pożarnych, jak słup ognisty, ulatuje w niebo...

To lont zapalony nieznany z imienia bohater rzucił do magazynu amunicyjnego *).

Prochy eksplodowały — i zarówno zdobywcy, jak polegli obrońcy, żywi i umarli, działa, broń, wszystko, co znajdowało się w reducie, zginęło pod gruzami lub, wyrzucone w powietrze, jako gruz powróciło na ziemię.

Zkolei zaatakowali Rosjanie szaniec Nr. 57.

Stu trzydziestu żołnierzy broniło tego szańca z rozpaczą i wściekłością. Ale tysiączne masy, jak nieprzenikniona chmura, przywarły do szańca i formalnie zalały obrońców. Wszczęła się straszna rzeź, bo do ostatniego tchu walczyli oblężeni i prawie co do nogi legli na posterunku.

*) Czyn ten długi czas niesłusznie przypisywano porucznikowi artylerji Ordonowi, uwiecznionemu w znanym wierszu Mickiewicza: Reduta Ordona.

Wówczas artylerja rosyjska zbliżyła się do głównej fortyfikacji.

Rozpoczęła się okropna kanonada i trwała zgórą godzinę. Grzmoty za grzmotami nieprzerwanym ciągiem huczały w przestworzach. Noc uczyniła się od dymów, powietrze rozgorzało od ognia, ziemia rozedrgała od lecących po niej z sykiem i świstem granatów. Naraz działa rosyjskie przycichły. Dymy opadły, a wtedy żołnierze, stojący na szańcach, ujrzeli idące do szturmu kolumny. Zrobiła się cisza. Ku obrońcom Woli szła śmierć i szybkim zbliżała się krokiem...

Z trzech stron zagrażano fortyfikacji.

Generał Lüders z pułkami morskiemi posuwał się ku prawej stronie okopów, generał Martynow z połową korpusu Pahlena szedł ku środkowi, a na lewą stronę fortyfikacji wiódł trzy pułki generał Berg...

Świsnęły kartacze Woli, ale za mało armat posiada Sowiński, aby powstrzymać szturmujących. Więc Rosjanie posuwają się naprzód, dosięgają wałów, rzucają w rowy faszyny, wory i kosze, wypchane słomą, przystawiają drabiny, podsadzają się wzajem i, choć wielu z nich ginie, drą się nieustannie na wały. Szturm po szturmie odpierają Polacy — i wysiłki generałów Lüdersa i Martynowa idą na marne. Ale część X pułku piechoty, broniąca lewej strony fortyfikacji, ujrzawszy dwanaście bataljonów, prowadzonych przez generała Berga, opuściła szańce i cofnęła się poza drugą linję obronną. Ten ruch, podyktowany tchórzostwem czy też zdradą komenderującego oficera, rozstrzygnął o losie walki. Berg wtargnął do środka fortyfikacji i zajął tyły broniącym się wojskom. Trzeba było się cofać. Skorzystały z tego kolumny Martynowa i przekroczyły wały, tak uporczywie dotąd bronione. Niebawem dwadzieścia kilka bataljonów otoczyło ze wszech stron trzy bataljony polskie.

Sowiński gromadzi wkoło siebie żołnierzy i broni się do

GEN. JÓZEF SOWIŃSKI

upadłego. W walce tej ranę odnosi Piotr Wysocki i dostaje się do niewoli. A Sowiński, widząc, że nie dotrzyma przemagającej sile, cofa się za garstką walecznych ku murom kościołka, lecz, zobaczywszy w załomie oszańcowań samotną armatę, zatrzymuje się przy niej, każe ją nabić i dać ognia do zbliżających się wrogów. Na rozkaz generała raz i drugi ryknęło działo polskie. Tymczasem Moskale wdarli się pomiędzy mury, rozwalili barykadę, którą obrońcy wznieśli naprędce przed drzwiami kościoła, wtargnęli do wnętrza i rzeź rozpoczęli w samym kościołku i w jego obmurowaniach. Dostrzegają wreszcie dymiącą armatę i białego starca z tlejącym lontem w ręku. Chmara grenadjerów rzuca się na ten widok ku generałowi, a oficer rosyjski wzywa do poddania się garstkę walecznych.

— Ognia! — komenderuje w odpowiedzi na to Sowiński.

Grenadjerzy poprzez tuman sinego dymu rzucają się z wściekłością ku gromadce szaleńców.

— Kolbą i bagnetem, wiara! — woła nieustraszony Sowiński, sam podnosi karabin z ziemi, opiera się o armatę i odparowuje ciosy napastników. Lecz przemoc bierze górę. Padają śmiercią mężnych obrońcy. Sowiński sam jeden broni się do ostatka. Kilka razy pchnięty bagnetami, pochyla się ku armacie, ale nie mogąc zgiąć drewnianej nogi, przypada stojącym trupem ku lawecie i trwa tak w obliczu swoich morderców, jak posąg chwały i grozy. Jego postać, zbryzgana krwią, wytrąca oręż z rąk wroga. Sami Moskale zeznawali później, że było coś strasznego i wielkiego zarazem w zwłokach bohaterskiego starca.

Stary weteran dotrzymał słowa: do ostatniego tchu bronił powierzonej mu placówki i śmiercią bohaterską obronę tę przypieczętował.

Zdobycie Woli przygnębiający wpływ wywarło na umysły. Wyżsi wojskowi zwątpili o skuteczności dalszej obrony —

i z chwilą tą los Warszawy został rozstrzygnięty. Wprawdzie Małachowski próbował odebrać utracone stanowisko, ale bezskutecznie. Piechota, przeznaczona do wydarcia Woli Rosjanom, z furją ruszyła naprzód, kilkakroć odparta, po kilkakroć ponawiała ataki, pozostawiona jednak sama sobie, nie mogła przełamać dziesięciokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela i Wola została w rękach Paskiewicza.

Krukowiecki zupełnie podupadł na duchu. Położenie istotnie było krytyczne, groźne — i tylko wielki hart mógł jeszcze uratować stolicę. Należało, nie tracąc jednej chwili, odwołać się do ludności miasta, przedstawić jej istotne położenie, dostarczyć broni i całą Warszawę sfanatyzować myślą o dalszej walce. Trzeba było uderzyć w uczucia, które szukały dla siebie ujścia w czynie i wezwania do tego czynu czekały nadaremnie. Lecz Krukowiecki nie znalazł w sobie iskierki energji i zapału. Zamiast myśleć o ostatecznych środkach ratunku, zwołał ministrów i oświadczył im, że po stracie Woli dalsza obrona jest niemożliwa, wobec czego układy należy wznowić. Ministrowie również nie wznieśli się na wysokość położenia, lecz zawierzyli Krukowieckiemu na słowo i upoważnili go do zapytania Paskiewicza, na jakich warunkach może traktować z narodem polskim...

W gruncie rzeczy los Warszawy już został przesądzony.

Misję porozumienia się z Moskalami powierzono Prądzyńskiemu. I ten dzielny generał, którego miejsce było na wałach, podjął się owej misji i nazajutrz o godz. 5 z rana udał się do obozu rosyjskiego. Paskiewicz przyjął go gniewnie i szorstko. Zamiast jakiejkolwiek odpowiedzi chciał wiedzieć, czy cesarz Mikołaj jest królem polskim w oczach Krukowieckiego. Rozmowa skończyła się tem, iż nieszczęsny Prądzyński napisał deklarację, w której oświadczał, że prezes rządu polskiego wraz z całym narodem zamierza dokonać aktu posłuszeństwa. Otrzymawszy taką deklarację, Paskiewicz zgodził

się na parogodzinny rozejm i zażądał widzenia się z Krukowieckim.

Tegoż dnia o godz. 9 z rana odbyło się spotkanie w karczmie pod Wolą.

Podczas rozmowy doszło do żywej sprzeczki, bo zarówno Paskiewicz jak Krukowiecki nie hamowali swojego gniewu. Gdy Paskiewicz groźnym tonem zażądał, aby „buntownicy" poddali się natychmiast i prosili o łaskę cesarza, Krukowiecki odpowiedział jeszcze bardziej podniesionym głosem, że poddanym cesarza nie jest i nie pozwoli siebie w ten sposób traktować. A gdy Paskiewicz nie zmienił tonu, stary lis krzyknął, że zrywa rokowania, zerwał się z miejsca i ruszył ku drzwiom. Umitygował go obecny przy tem w. ks. Michał i rozmowa przy wzburzeniu stron obu potoczyła się dalej. Krukowiecki twierdził, że nie ma upoważnienia od Sejmu, by układy prowadzić, więc skończono na tem, iż wódz rosyjski zobowiązał się wstrzymać działania wojenne do godz. 1 w południe, Krukowiecki zaś miał przed tą godziną wyjednać potrzebne upoważnienie i rozpocząć układy.

Rada ministrów, z wyjątkiem Bonawentury Niemojowskiego i Morawskiego, którzy się podali do dymisji, zaakceptowała czynności Krukowieckiego. O godz. 10 rano zebrał się Sejm i rozpoczął gadatliwe obrady. Dyskutowano jak za najlepszych czasów, i dopiero grom trzystu dział rosyjskich, które odezwały się o godz. 1.30, wymógł na Sejmie decyzję. Krukowiecki otrzymał upoważnienie — i natychmiast znowu za pośrednictwem Prądzyńskiego zagaił układy. Ostateczne warunki, jakie uzyska od Paskiewicza, miał przedstawić do zatwierdzenia Sejmowi...

Tymczasem działa rosyjskie grzmiały nieprzerwanie. Na całej linji wzniesionych fortyfikacyj toczył się bój zawzięty. Żołnierze i oficerowie rang niższych wszędzie wypełniali swoją powinność, walczyli z męstwem, umierali z determina-

cją. Ale nie było naczelnego wodza, nie było zwierzchniczej komendy. Rozkazy Małachowskiego krzyżował rozkazami swemi Krukowiecki, a dość powiedzieć, że jeszcze przed otrzymaniem odpowiedzi Paskiewicza polecił wojsku cofać się na Pragę.

Anarchja wkradła się w szeregi, żołnierz, walczący bez nadziei, stawał się męczennikiem, z rozpaczą szedł w ogień i z rozpaczą szańce opuszczał. W takich warunkach Rosjanie w przeciągu kilku godzin zdobyli drugą linję fortyfikacyjną i bezpośrednio zaczęli zagrażać stolicy. Już przedmieścia ogarnął pożar.

Wtedy Krukowiecki, niepomny na swoje zaklęcia i przysięgi, napisał list do Mikołaja i, kołatając do jego „ojcowskiego serca", poddawał się wraz z narodem „królowi" polskiemu.

List ten, jako dowód swoich intencyj i usposobienia, złożył na ręce generała Berga, któremu do obozu rosyjskiego towarzyszył Prądzyński. Rola tego znakomitego i tak wielce zasłużonego powstaniu generała była w tych dniach bardzo smutna. Jego pośrednictwo w haniebnych układach wytłumaczyć można tylko brakiem charakteru i odwagi cywilnej. On, który tak przydałby się na szańcach podczas szturmu, jeździł z obozu do obozu, woził zdradzieckie listy Krukowieckiego, dobre imię swoje na szwank wystawiał, a usługi, oddane powstaniu, samem pośrednictwem przekreślał i niweczył.

Zaszła jednak rzecz niespodziana.

Oto generał Małachowski, widząc cofające się wojska przed ukończeniem walki, wpadł do izby poselskiej i, zastawszy tam marszałka Ostrowskiego, który w przerwie pomiędzy jednem a drugiem posiedzeniem naradzał się z kilkoma posłami, zawołał:

— Panowie, ratujcie ojczyznę, bo Krukowiecki ją zdradza!

Ostrowski pośpieszył do Krukowieckiego i zażądał poka-

zania sobie warunków, przesłanych Paskiewiczowi. Krukowiecki przyjął Ostrowskiego z najwyższym gniewem.

— Słuchaj tej kanonady, — wołał prezes rządu, — patrz na przedmieście gorejące, tak Paskiewicz na moje propozycje odpowiada.

Ale ostatecznie Ostrowski dowiedział się prawdy. Wówczas oburzony marszałek zażądał od Krukowieckiego, by zgłosił swoją dymisję i, nie czekając na odpowiedź, pobiegł do pałacu rządowego, zgromadził w jednej z sal tylu członków Sejmu, ilu ich było wpobliżu i podzielił się z nimi otrzymaną od Krukowieckiego wiadomością. Mowa Ostrowskiego podziałała piorunująco. Wzruszeni członkowie Sejmu udzielili dymisji Krukowieckiemu i na stanowisko prezesa Rządu Narodowego wynieśli Bonawenturę Niemojowskiego.

Gdy Prądzyński wraz z generałem rosyjskim Bergiem powrócił do Warszawy, by skończyć ostatecznie układy, nie zastał już dawnego rządu ani Krukowieckiego u steru władzy. Niemojowski nie chciał traktować z pełnomocnikiem Paskiewicza. Doszło do gorszących scen wobec generała Berga. Przywołano Krukowieckiego, by dokończył dzieła, które rozpoczął, i ów akt poddania podpisał. Krukowiecki przybył rozgniewany, krzyczał, groził, pienił się jak wściekły, wreszcie oświadczył, że ponieważ prezesem rządu już nie jest, przeto nic podpisywać nie będzie. Skończyło się na tem, że kapitulację podpisał generał Małachowski. Kapitulacja ta oddawała Warszawę Paskiewiczowi, z tem jedynie zastrzeżeniem, że wojsko polskie, wszelkie władze i wszyscy mieszkańcy, co chcieliby opuścić stolicę, otrzymają 48 godzin czasu.

Tymczasem Krukowiecki dosiadł konia i chciał dostać się na Pragę, gdzie gromadziły się wojska polskie, ale straże, strzegące mostu, nie przepuściły go i nie pozwoliły mu połączyć się z armją.

Więc wrócił do Warszawy i zamknął się we własnem mieszkaniu...

A nieszczęsny Prądzyński, który osobą swą ręczył, że Krukowiecki ma pełne prawo do zawarcia układów, wraz z generałem Bergiem powrócił do obozu rosyjskiego i dobrowolnie oddał się w ręce Paskiewicza.

Dotrzymał słowa nieprzyjacielowi, niema co mówić, ale złamał przysięgę, złożoną ojczyźnie...

W tych dwóch dniach walki Polacy stracili w zabitych, rannych i jeńcach zgórą 9.000 ludzi, nadto dostali się do niewoli rosyjskiej wszyscy, co przebywali w szpitalach. Paskiewicz obliczał swe straty na 11.000, lecz były one bez porównania większe.

Ale dla Polaków nie straty w ludziach, lecz oddanie w ręce nieprzyjacielskie stolicy, upadek ducha w szeregach, utrata zaufania do wodzów, niewiara w możność dalszej walki, rozprzężenie, które ogarnęło wojsko i wszystkie władze oraz przekonanie, że wraz ze stratą Warszawy wszystko zostało stracone, to były najstraszniejsze rezultaty nieudanej obrony stolicy.

Nastała noc, ponura noc z dnia 7 na 8 września...

Łuny płonących przedmieść oświetlały Warszawę, czarne dymy zwisały nad miastem. W blasku pożarnym, jak cienie krzątali się mieszkańcy. Kto czuł żywiej i głębiej, a zwycięzcom oddać się nie chciał, w czyich piersiach tlała iskra nieokreślonej nadziei, ten pakował trochę drobiazgów i z węzełkiem podróżnym na plecach uchodził na Pragę, by połączyć się z wojskiem. Rozdzierające sceny rozgrywały się wszędzie, na każdym kroku słychać było jęki, szlochania, przekleństwa. Rozpacz chodziła po ulicach, z każdego domu wiało zniszczeniem i żałobą. Miasto, nawiedzone klęską, wiło się w bólu, łkało rozdzierającym głosem, wybuchało złorzeczeniem. Okrzyk: „Zdrada!“ leciał z ulicy w ulicę i krew mroził w ży-

łach. Lecz czas naglił. Więc ludzie żegnali się, jak przed skonem, wyrywali się z objęć rodzin — i ze łzą w oku opuszczali Warszawę.

Wszystko w największym nieporządku tłoczyło się na Pragę...

Jazda, piechota, artylerja, członkowie Rządu i Sejmu, ministrowie, urzędnicy, mnóstwo rannych, a ledwo wlokących się o własnej sile żołnierzy, starcy, dzieci, kobiety, wszystko to, niesione żalem lub wściekłością, bezładnie posuwało się przez most na Wiśle i w bezładnych masach skupiało się na Pradze...

Na drugi dzień, o godz. 7 rano zwycięska armja Paskiewicza wkroczyła w mury Warszawy...

Powstanie otrzymało cios w samo serce...

ZAKOŃCZENIE

Poddanie Warszawy było stratą ogromną, w Warszawie bowiem skoncentrowane były magazyny, fabryki i warsztaty, opatrujące wojsko we wszelkie potrzeby, w Warszawie unosił się duch powstania, w Warszawie biło serce rewolucji.

Ta strata, bardzo trudna do powetowania, nie była mimo wszystko klęską, której przy energji i męstwie nie dałoby się naprawić. Triumf Paskiewicza łatwo mógł się zakończyć porażką. Po stratach, poniesionych podczas szturmu stolicy, armja rosyjska liczyła 80.000 żołnierzy. Z tej liczby 12.000 zmuszony był unieruchomić wódz rosyjski na strzeżenie Warszawy i Pragi, kilkanaście tysięcy musiało osłaniać szosę brzeską i transporty, ciągnące z Brześcia ku Warszawie, inne punkty również wymagały zasłony, a w ten sposób Paskiewicz nie mógł wyprowadzić w pole więcej, niż 50.000 ludzi...

Wprawdzie główna armja polska poniosła znaczne straty podczas szturmów Warszawy, ale po połączeniu się z dywizją generała Łubieńskiego urosła do 33.000. Korpus generała Ramoriny liczył 20.000 dobrego wojska, korpus Samuela Różyckiego 8.000, załogi Modlina i Zamościa — 10.000. Było tedy jeszcze 70.000 ludzi, dźwigających broń, a z siłą taką wiele można było dokonać. Obok tego powstanie miało kraj cały na swoje usługi. Litwa i Ruś, ogołocone z wojsk rosyjskich,

również mogły przyjść z pomocą i stać się terenem walki. Paskiewicz, zamknięty w Warszawie i zmuszony stać nieustannie na straży swej zdobyczy, był mimo wszystko w położeniu trudnem i kłopotliwem.

Jedno poważniejsze zwycięstwo Polaków mogło zmienić stan rzeczy i wynagrodzić upadek Warszawy. Ale wyżsi wojskowi opuścili bezwładnie ramiona i duch rycerski zamarł w szeregach. Po obozie polskim tłukła się blada rozpacz i zazierała w oczy przerażonym żołnierzom. Gwiazda powodzenia zgasła — i zwątpienie stało się powszechnem. Gdy główna armja skoncentrowała się na Pradze, wszyscy, co bystrzej na rzeczy patrzyli, domagali się pochodu ku korpusowi gen. Ramoriny, bo wtedy połączone siły urastały do 50.000, a więc do liczby, równającej się sile, jaką mógł na jednym punkcie zgromadzić feldmarszałek Paskiewicz. Lecz Małachowski cofnął się do Modlina.

Historyk rosyjski Puzyrewski powiada, że Małachowski, stanąwszy z armją swoją w Modlinie, znalazł się w bardzo wygodnej pozycji, gdyż mógł działać na obu brzegach Wisły, przerzucając stosownie do potrzeby oddziały wojsk swoich na jedną lub na drugą stronę rzeki. A przeciw 30.000 Polaków, według Puzyrewskiego, mógł wystawić Paskiewicz około 40.000 żołnierzy. Pozycja wojsk polskich równoważyła siły.

Tak przedstawiała się sytuacja wojenna w najkrytyczniejszej chwili powstania, po upadku Warszawy, po przegranych bitwach, po wielkich błędach Chłopickiego, po nieszczęściach, które spowodował Skrzynecki, po ośmiu miesiącach niszczącej wojny z całą potęgą północnego kolosa!

Była jeszcze możność dalszej walki, było jeszcze nawet w tym okropnym momencie prawdopodobieństwo zwycięstwa, były materjalne siły do dalszego prowadzenia wojny, nie było tylko siły moralnej, nie było wiary w przyszłość.

Powstanie przed otrzymaniem strasznego ciosu przegrane

już było w wewnętrznem przeświadczeniu narodu — i żadna siła materjalna nie mogła zrównoważyć tej klęski moralnej, tego upadku wiary i upadku ducha.

Małachowski z Modlina wysłał rozkaz Ramorinie i żądał od niego, aby natychmiast rozpoczął ze swoim korpusem marsz ku głównym siłom polskim.

Ale Ramorino szedł już w przeciwnym kierunku.

Tymczasem coraz większa demoralizacja i coraz większa nieufność wkradała się w szeregi głównej armji, szarpanej rozterkami, a przeczuwającej koniec najsmutniejszy.

W obozie polskim znajdowali się członkowie Rządu i Sejmu, ministrowie, urzędnicy, wielu działaczów z Towarzystwa Patrjotycznego, wreszcie mnóstwo osób cywilnych, które opuściły stolicę, by nie dostać się w ręce Paskiewicza. Rozbitkowie ci wrzawą nieustanną powiększali tylko istniejące w szeregach rozprzężenie. W dodatku wódz rosyjski za pośrednictwem gen. Berga prowadził w dalszym ciągu układy i nadzieją zaszczytnej kapitulacji paraliżował powstające w kwaterze polskiej zamiary. Generał Berg wykazał wiele przebiegłości dyplomatycznej i sprytu, umiał on łudzić i zwodzić, aby wkońcu przerwać wszelkie pertraktacje i zażądać poddania się bez zastrzeżeń. Bonawentura Niemojowski nie był człowiekiem, zdolnym zapanować nad sytuacją. Władze cywilne zamierały, wojsko szemrało coraz głośniej. Nieudolny Małachowski podał się do dymisji, ale nowy wódz naczelny, generał Rybiński, ani chciał, ani umiał zdecydować się na jakiś krok stanowczy. Niezadowolenie, panujące w armji, rosło z dniem każdym, szeregi zaczęła przerzedzać dezercja. Gdy wodzem naczelnym ogłoszony został generał Umiński, część wojska podniosła taką wrzawę, iż Umiński musiał władzę swą złożyć i znów ustąpić miejsca Rybińskiemu.

Armja polska z Modlina pociągnęła do Zakroczymia, a stamtąd do Płocka. Bliskość granicy pruskiej zaszczepiła

zdradliwą myśl w umysłach władz naczelnych i myśl ta jak zaraza jęła toczyć szeregi.

Tymczasem gen. Ramorino ani myślał usłuchać odebranego rozkazu i, zamiast śpieszyć ze swym pięknym korpusem ku głównej sile wojsk polskich, postanowił udać się do Zamościa. Oficerowi, który przywiózł rozkaz naczelnego wodza, tłumaczył, że rozkaz ten jest niemożliwy do wykonania, co było oczywistą i rzucającą się w oczy nieprawdą.

Nadaremnie posyłano mu nowe rozkazy. Ramorino, człowiek bez czci i sumienia, nic sobie z nich nie robił. Przeczuwał on upadek władz wszelkich, wiedział, że nikt go nie pociągnie do odpowiedzialności, więc ani myślał stosować się do rozkazów. Na własną rękę układał się z generałami rosyjskimi i posuwał się ku Zamościowi, lecz granicę austrjacką miał na widoku.

Jakoż w dniu 17 września przekroczył granicę i piękny swój korpus wydał Austrjakom.

Ta haniebna zdrada pociągnęła za sobą nowy a okropny skutek. W ślad za Ramoriną poszedł gen. Różycki i w dziesięć dni później, stoczywszy nieszczęśliwą bitwę pod Michałowem, również przeszedł granicę.

Rosjanie żądali teraz poddania Modlina, wykonania przez całe wojsko przysięgi na wierność Mikołajowi i natychmiastowego przejścia wszystkich wojsk polskich pod rozkazy feldmarszałka. Rząd, Sejm, redaktorowie gazet i wybitniejsi działacze w dniu 25 września wyjechali z Płocka i na własną rękę przedzierali się ku granicy pruskiej. W ślad za nimi wyruszyła armja i już 30 września obozowała w Lipnie, a 2 października stanęła obozem w Rachowie. Tegoż dnia generałowie na radzie wojennej, złożonej w Świedziebnie, zdecydowali schronić się do Prus.

Posuwało się więc wojsko ku granicy pruskiej, opuszczało

kraj, opuszczało sprawę i honor narodu i wstępowało na pole hańby.

Wojska rosyjskie kroczyły tuż za armją polską i coraz silniej ją naciskały.

Do ostatniej chwili generałowie nieprzyjacielscy kusili Polaków obietnicami, byle tylko zechcieli się poddać, ale myśl przekroczenia granicy była powzięta i rokowania z władzami pruskiemi już rozpoczęte.

Dnia 5 października armja polska, wiedziona przez generała pruskiego Schmidta, przeszła granicę...

Na czele armji jechał generał Rybiński w otoczeniu swego sztabu, za sztabem posuwała się kawalerja, następnie ciągnęły armaty, a za artylerją maszerowała piechota. Krakusy, idący w arjergardzie pod wodzą generała Dembińskiego, do ostatniej chwili ostrzeliwali się następującym na tylne straże kozakom.

— Dowidzenia! — wołali do kozaków żołnierze polscy, stanąwszy nad granicą, i ostatniemi strzałami do nieprzyjaciół żegnali ziemię ojczystą. Byli przekonani, że niebawem z bronią w ręku wtargną zpowrotem do kraju i nowy bój rozpoczną.

Niejasna myśl o legjonach przyświecała w tej chwili wychodźcom i z myślą tą wojsko polskie ruszyło w dalszy pochód. Szeregi zaległa posępna cisza. W głuchem milczeniu posuwano się naprzód. O ćwierć mili za linją graniczną oczekiwał powstańców generał pruski von Zöppelin z pułkiem huzarów, silnym oddziałem piechoty i baterją armat, zwróconych paszczami ku zbliżającej się armji. Trębacze polscy po raz ostatni zagrali pieśń narodową, ale Prusacy grobowem milczeniem odpowiedzieli na to powitanie...

Rozpoczęło się składanie broni.

W największym porządku posuwali się żołnierze ku wskazanemu miejscu.

— Stój! składaj broń! — rozlegała się komenda.

I żołnierz, posłuszny wezwaniu, rzucał karabin lub lancę, a potem zasłaniał twarz rękoma, by ukryć łzy, spływające po twarzy. Teraz dopiero przed oczyma wychodźców stanęło widmo hańby i przerażeniem napełniło serca. Wspomniano wysiłki bohaterskie i krwawe boje, stoczone na polach Grochowa, Igań, Ostrołęki, wspomniano tysiączne ofiary i kraj, zalany wojskiem nieprzyjacielskiem. Wszystkie błędy, jak żywe, ocknęły się naraz w pamięci i przeczucie klęsk nowych, przeczucie, jako śmierć smutne, owionęło dusze...

Ale pogrzeb sprzętów wojennych i oręża, podniesionego w obronie honoru i wolności Polski, odbywał się dalej. Rosły stosy lanc, karabinów, przechodziły w ręce Prusaków armaty, furgony, aż armja polska przestała egzystować...

Głuchy bunt wezbrał w piersi rozbitków, ale było już za późno...

*

* *

Sprawa powstania była właściwie już całkowicie przesądzona po upadku Warszawy. Wieść o poddaniu stolicy wszędzie wstrząsające uczyniła wrażenie. We wszystkich zakątkach kraju, dokąd tylko złowróżbne echo klęski dotarło, zasępiały się czoła i zimne przerażenie przeszywało serca. Polska zstępowała do grobu. Czuli to wszyscy, ale niemoc, zaszczepiona przez naczelne władze powstańcze, kraj cały trzymała w odrętwieniu. Czekano jakichś nadzwyczajnych wypadków, czekano zmiłowania i cudu. Ale co zdziałały małoduszność, egoizm, niedołęstwo i zdrada, tego nic już naprawić nie mogło.

Było jeszcze wojsko dzielne i do wszelkich poświęceń gotowe, była jeszcze możność dalszego prowadzenia wojny. Ale

nie było już wiary w zwycięstwo, nie było widomej woli, ani nadziei, ucieleśnionej w człowieku. Zawiodły wszystkie rządy i wszyscy wodzowie. Śród ludzi, których powstanie wyniosło z nicości lub zapomnienia, wszyscy w owej chwili do zapomnienia lub nicości wracali. Sztandar powstańczy, chwiejący się nieustannie, zgorzał doszczętnie w płomieniach, pustoszących Warszawę, rewolucja pozostała bez swego znaku i steru, zawisła niejako w powietrzu, straciła moc życia i czynu.

Dzieło listopadowe, dźwignięte zbrojnem ramieniem podchorążych na widownię świata, znikało z tej widowni nie na mocy poniesionej klęski, lecz skutkiem własnego bezwładu.

Powstania nie zgubiła przemoc. Po zwycięstwach, odniesionych na polach Wawra, Dembego, Igań, armja polska zrównała się liczebnie z armją rosyjską, a sprawnością bojową i męstwem znacznie ją przewyższała. Krwawa topiel ostrołęcka pochłonęła najdzielniejszy element bojowy, ale nowozaciężny żołnierz od początku powstania składał dowody wielkich przymiotów wojennych i na okopach Warszawy zaświadczył o swojej dzielności. A przecież nawet po opanowaniu stolicy wódz rosyjski nie mógł z przemagającą siłą wystąpić przeciw Polakom, pod warunkiem, że się wojska polskie połączą, czemu Rosjanie przeszkodzić nie mogli...

Powstania nie zgubił brak środków materjalnych. Raport Paskiewicza po zdobyciu Warszawy świadczy o wielkiem bogactwie wszelkiego rodzaju sprzętów wojennych, odzieży i amunicji, które tam były zgromadzone. Skarb opłacał dotąd wielkie koszty wojny, a choć nieraz wypadło walczyć z trudnościami, to przecież ani razu wypłaty nie były przez rząd wstrzymane.

Powstania nie zgubił brak męstwa i poświęcenia, ani brak ofiarności publicznej.

Przyczyn upadku przedewszystkiem w organizacji wewnętrznej, w psychice powstania szukać należy.

Chcąc jakiekolwiek rozpoczęte dzieło zakończyć triumfem, trzeba ten triumf w samym sobie przeżyć, trzeba się z tym triumfem sprząc w jedną nierozerwalną całość, trzeba w zwycięstwo wierzyć, jak wierzy się w niczem niecofnioną konieczność.

Paliła się ta wiara w sercach podchorążych, gdy na hasło Wysockiego w poważnem i groźnem milczeniu nabijali karabiny, ta sama wiara prowadziła na Belweder śmiałków Nabielaka, ta sama wiara ognistemi słowy wybuchała z piersi Mochnackiego, kiedy z trybuny rewolucyjnej grzmiał przeciw ówczesnym dzierżycielom władzy. Ale ta wiara nie przeniknęła do wszystkich warstw narodu, nie ogarnęła sfer kierowniczych i naczelnej władzy wojskowej.

Tragedją powstania jest przedewszystkiem ta okoliczność, że młodzież, co je stworzyła, nie tylko nie umiała rozwinąć własnego dzieła, ale natychmiast znikła z widowni i wraz z sobą uniosła bezpowrotnie wielką wiarę, wielki zapał i wielkie poświęcenie dla sprawy. Wraz z twórcami pamiętnej nocy znikła szybka i śmiała decyzja, powstanie osadzone zostało na miejscu, spętane przedtem jeszcze, nim zdołało się rozwinąć...

Dzieło listopadowe zgubił przedewszystkiem brak charakterów. Nie było ich w Radzie Administracyjnej i późniejszych rządach, nie było ich w Towarzystwie Patrjotycznem, nie było śród władz wojskowych. W walce, która w pierwszych dniach powstania rozegrała się pomiędzy twórcami rewolucji a jej przeciwnikami, zrodziły się wszystkie błędy, które czas dalszy ciągle wyolbrzymiał. Walka ta, prowadzona przez ludzi z charakterem, musiała się zakończyć zwycięstwem jednej strony i stanowczą a bezwzględną porażką drugiej. Tymczasem nie skończyła się niczem. Bo cóż się okazało? Oto mężowie, widzący w powstaniu zgubę Polski, usiłujący nawet powstanie to stłumić bagnetami rosyjskiemi, mężowie ci, po poskromieniu klubu grudniowego, mimo przeświadczenia, że

prowadzą kraj do zguby, sami zaczęli robić powstanie. Stała się rzecz nieprawdopodobna: na czele dzieła listopadowego stanęli jego najzagorzalsi przeciwnicy. Wprawdzie w ten sposób zatriumfowała myśl rewolucyjna, ale był to triumf pozorny, chwilowy, przemijający, jak mgła, a złudny, jak miraż. Ludzie, co brali w swe ręce ster powstania, ulegali wypadkom, i to jest niezaprzeczoną prawdą, ale historja mówi nam dzisiaj, że uległością swoją nie ratowali sprawy, lecz ratowali jedynie swoją znikomą władzę, swą krótkotrwałą popularność i egzystencję. Walka o charakter powstania nie rozegrała się w samem społeczeństwie i to jest jedną z głównych, jeżeli nie główną przyczyną klęski.

Powstanie listopadowe nie miało charakteru.

Noc 29 listopada była aktem owej wielkiej wiary, co czyni cuda, była jednocześnie krokiem odwagi, zapału i entuzjazmu, i tylko działania, natchnione tą samą wiarą, odwagą i zapałem, mogły zbawić sprawę. Musi być jakaś ciągłość i konsekwencja w rozwijaniu wypadków. Ta ciągłość znikła, gdy zniknęli z widowni twórcy pamiętnej nocy. Powstanie przemieniło się w kompromis, w zlepek czynników sprzecznych, a wzajemnie się wyłączających. Ciężka odpowiedzialność za to spada na sprawców wybuchu, cięższa jeszcze na tych, co wbrew swojemu przeświadczeniu stanęli na czele dzieła, w które nie wierzyli, któremu byli przeciwni...

Połowiczność i chwiejność zarówno w wyborze środków, jak w sposobie działania, oto co przez cały czas cechowało powstanie. Tylko na takiem tle mogli egzystować i sprawować władzę członkowie pierwszych rządów, dyktator, rząd pięciogłowy, wodzowie tacy, jak Skrzynecki i Dembiński, wreszcie członkowie obu izb poselskich. Na całej przestrzeni powstania, jeśli rzucimy okiem na ludzi, którym wypadki dały większe wpływy, nie dostrzeżemy ani jednego charakteru. Sejm, z którego łona wychodziły nominacje na członków rządu i wo-

dzów, jest najlepszem zwierciadłem zabijającej powstanie chwiejności i niedołęstwa. Dziełu rewolucyjnemu tylko głowy rewolucyjne przewodniczyć mogą. Takich głów nie było wśród ówczesnych kierowników powstania. Nie zwyciężała myśl jasna, śmiała i rewolucyjna — triumf odnosiły jedynie półśrodki. Gadaniną w Sejmie, pisaniem not dyplomatycznych, kunktatorstwem i mędrkowaniem na terenie wojny chciano zbawić Polskę. Egoizm izb poselskich odepchnął od udziału w walce masy ludowe. Nie zadano sobie pracy, by z łona ludu wydobyć utajoną siłę i rzucić tę siłę na szalę wypadków. A przecież lud sam garnął się do szeregów, nie szczędził krwi i życia, a na Litwie pierwszy porwał się do broni. Lud miał zdrowy instynkt, miał już świadomość celu, lecz rozproszony na olbrzymich przestrzeniach, nie mógł stworzyć organu, któryby pożądania mas szerokich spajał i łączył, tworzył z nich siłę groźną i potężną. Jedynie Warszawa mogła wytworzyć poważny ośrodek rewolucyjny. Ale nie należy zapominać, że to, co stanowiło rdzeń, duszę i serce masy stołecznej, myślało przedewszystkiem o zaciągnięciu się w szeregi i na polu bitwy szukało rozwiązania sprawy. To zaś, co pozostało w mieście, najmniej było zdolne do narzucenia powstaniu swej woli.

Zlekceważenie reformy włościańskiej było niewątpliwie ciężkim błędem, ale nie było bynajmniej wyłączną przyczyną upadku powstania. Wojna 1831-go roku była wojną dwóch organizacyj, była wojną państwa z państwem, a w historji znakomitej większości wojen europejskich nie decydowały o zwycięstwie reformy socjalne. Podjął taką reformę w powstaniu poprzedniem jegó Naczelnik, Kościuszko, a jednak uzbrojone ramię ludu polskiego nie zdołało wówczas ocalić sprawy narodowej. Bo lud wtedy tylko stanowi potęgę, kiedy jest siłą uświadomioną, zdolną do działań samodzielnych. Ani w roku 1794-ym, ani w r. 1831 lud polski nie miał jeszcze po-

czucia swej mocy. Nie to przecież było przyczyną upadku dzieła listopadowego.

Historycy, tłumaczący klęskę jedynie nieuświadomieniem ludu, zapominają najczęściej o ówczesnym rozkładzie i wzajemnym stosunku sił społecznych w Polsce, zapominają również, iż całkiem niezależnie od stanu tego uświadomienia wodzowie polscy niejednokrotnie mieli w swych rękach widoki wielkich zwycięstw i z widocznej przewagi swojej nie chcieli lub nie umieli korzystać; zapominają, że Rząd Narodowy pozostawiał bez kary najcięższe błędy i lekkomyślność zbrodniczą, że Sejm składał podziękowanie Skrzyneckiemu wtedy, kiedy pod sąd wojenny powinien był go oddać. Zbyt wiele władze kierownicze powstania popełniły błędów, zbyt wiele dźwigały na sobie przewinień, aby je rozgrzeszyć i tylko jeden ich błąd, stosunek do włościan, uczynić główną i jedyną przyczyną katastrofy.

System walki odpornej, tak niezgodny z duchem powstania, więcej złego wyrządził sprawie, niż wojska nieprzyjacielskie. Nie było stojących na wysokości zadania wodzów, choć były w armji polskiej niepospolite zdolności i talenty.

Powstanie listopadowe skończyło samobójstwem.

I skończyć tak musiało, bo pozbawione u szczytów charakteru, energji i wiary, nie wytworzyło atmosfery, która rodzi odwagę i zdecydowanie, usuwa z pola działań niedołęstwo, karze małoduszność i w walczącym narodzie potęguje wolę zwycięstwa. Olbrzymie dzieła tylko z olbrzymich powstają wysileń. Do takich wysiłków nie byli zdolni przywódcy powstania.

Ale błędy i winy przywódców nie mogą przesłonić wiekopomnych czynów pokolenia, co się porwało do walki o honor i prawa narodu. Wielką sławą okrył się bohaterski szeregowiec, którego armji powstańczej obficie dostarczał lud polski, świetnie spełnił swoje zadania pełen męstwa oficer,

podtrzymujący na polach bitew najświetniejsze tradycje rycerskiej przeszłości. Patrjotyczna młodzież opuszczała zarówno wyższe uczelnie, jak mury szkolne i z zapałem zaciągała się do szeregów. Wydatną pomoc walczącym niosły kobiety. Ze wszystkich dzielnic i zaborów rozszarpanej Polski spieszono na plac boju. Wielkie dowody poświęcenia składał cały naród, a ofiarna krew najlepszych jego synów była dla świata wymownem świadectwem, że Polska żyje i ma prawo do życia.

Ze źródła tej wielkiej prawdy czerpały następne pokolenia otuchę i moc do dalszej walki o wolność, całość i niepodległość ojczyzny. To też mimo tragicznego końca stanowi powstanie listopadowe jedną z najpiękniejszych kart w porozbiorowych dziejach naszego narodu. Jest pomnikiem chwały polskiej, jest błyszczącem bezcenną krwią ogniwem, co splotło przeszłość z przyszłością.

Dzieło, rozpoczęte uzbrojonem ramieniem młodzieży w pamiętną noc 29 listopada, zrodził duch buntu przeciw obcej przemocy, duch czynu i walki, który przez długie lata niewoli płonął w narodzie i już za naszych czasów wrócił ojczyźnie utraconą wolność.

W tem tkwi wielkość ideowa i doniosłość historyczna powstania listopadowego.

Biblioteka
UMCS
Lublin

TREŚĆ

		Str.
	Wstęp	5
1.	Królestwo Kongresowe	9
2.	Noc 29 listopada	35
3.	Pierwsze dni powstania	49
4.	Dyktatura. Sejm. Rząd Narodowy	62
5.	Bitwa pod Grochowem	78
6.	Wawer. Wielkie Dembe. Iganie	95
7.	Działalność Sejmu i Rządu	109
8.	Bitwa pod Ostrołęką	118
9.	Wyprawy na Ruś i Litwę	132
10.	Skrzynecki i Dembiński	148
11.	Noc 15 sierpnia i Krukowiecki	160
12.	Oblężenie Warszawy	173
	Zakończenie	184

PORTRETY

	przed str.		przed str.
Lelewel	3	Skrzynecki	97
Mickiewicz	25	Prądzyński	105
W. ks. Konstanty	33	Marsz. Ostrowski	112
Wysocki	40	Bem	128
Mochnacki	57	Chłapowski	137
Czartoryski	73	Platerówna	145
Dwernicki	81	Dembiński	152
Chłopicki	89	Sowiński	177